

Plik na stronie został zamieszczony jedynie w celach promocyjnych. Od momentu ściągnięcia na dysk plik należy usunąć w ciągu 24 h.

*Libba Bray, Cassandra Clare,
Claudia Gray, Maureen Johnson
Sarah Mlynowski*

WAKACJE Z PIEKŁA

*Wyd. Amber 2010
Tłumaczenie: Marta Czub, Maja Kittel*

Spis treści:

Sarah M <i>Łowy</i>	3
Cassandra C <i>Dom luster</i>	19
Claudia G <i>Nie lubię twojej dziewczyny</i>	37
Maureen J <i>Dekret o podejrzanych</i>	57
Libba B <i>Nigdzie nie jest bezpiecznie</i>	80

Sarah Mlynowski

town

Krem do opalania? - pyta mnie Liz. - Jest.

- Coś na głowę?

- Jest.

- Okulary przeciwsłoneczne? Wskazuję na parę, którą mam na głowie.

- Jestem gotowa. Możemy iść?

- Bikini?

- Yy...

- Kristin, włożyłaś nowe niebieskie bikini, które kupiliśmy w zeszłym tygodniu, prawda?

- Wiesz...

Liz sięga na drugą stronę podwójnego łóżka, podwija mi koszulę i ciężko wzdycha.

- O nie, tylko nie to jednocześnie brązowe paskudztwo. Nie wolno ci nosić niczego, co kupiłaś, zanim mnie poznałaś, zgoda? - Liz już się wystroiła w maleńkie białe bikini; o ile dwa sznurki podtrzymujące trzy trójkąciki można nazwać kostiumem.

- Ale spalę się na słońcu... - jęczę.

- Nie spalisz się. Dlatego kupiliśmy krem z filtrem SPF 100 czy ileś tam. Nie bądź dzieckiem. Wkładaj nowy kostium i idźmy wreszcie na pokład.

Czuję się niepewnie, i nie dlatego, że tkwię w klaustrofobicznej kajucie na statku rejsowym. Chociaż to na pewno nie pomaga.

Bardzo się cieszę, że tu jestem-oczywiście, że tak -ale też trochę się denerwuję. Nigdy nie wypływałam w rejs. A jeśli dostanę choroby morskiej? Statek jeszcze nawet nie opuścił portu, a już się kołysze jak pijane krzesło na biegunach. A jeśli się ostro przechyli i wpadnę do morza? A jeśli uderzymy w górę lodową i wylądujemy na dnie oceanu?

Nazwa rejsu - Droga Donikąd - brzmi upiornie. Taką wymyślili pewnie dlatego, że nie płyniemy do żadnego określonego celu; będziemy się włóczyć po międzynarodowych wodach i po trzech dniach i trzech nocach śmigniemy z powrotem do Nowego Jorku. Tak czy inaczej, brzmi ponuro. Gdybym ja zajmowała się marketingiem, nazwałabym ten rejs Morski Wędrowiec, Oceaniczna Przygoda albo jakoś tak, żeby nie krzyczała: Ślepy Zaulek.

Ale ja już taka jestem.

Dobra. Nie stresuję się, że fiknę za burtę.

Naprawdę boję się, bo... W porządku, powiem. Nie wybrałam się na tę wycieczkę - na ten rejs donikąd -bez celu. Zamierzam to zrobić.

Tak. To będzie mój pierwszy raz.

Kurczę, nie wierzę, że naprawdę wreszcie to zrobię.

- Jesteś pewna z tym bikini? - pytam nieśmiało. Nie przeszkadza mi mój widok w lustrze.

Średni biust, brązowe włosy do ramion, nie za gruba, nie za chuda. Nazwijcie mnie Panna Nijaka. Przeciętna do bólu. Tylko oczy mam super. Takie zielono-brązowo--niebieskie. Zwariowane.

- Kristin, w tym ohydny jednocześnie kostiumie twoje szanse, żeby kogokolwiek poderwać, wynoszą zero. Mniej niż zero. Minus jeden.

I tu jest kolejny problem. Właściwie nie mam konkretnego kandydata, z którym chcę dokonać tego wielkiego czynu. A zatem pierwszy krok: znaleźć faceta. Drugi: omotać go. Trzeci: zabrać się do rzeczy.

Nie, skąd, żadnej presji. Biorę głęboki oddech.

Tylko kto w ogóle na mnie spojrzy, jeśli Liz będzie leżała nad basenem tuż obok? W białym sznurkowym bikini, z rudymi lokami do pasa i nogami, które są dłuższe niż ja cała? Żywa Mała Syrenka. Założę się, że przeżyłaby nawet, gdybyśmy powędrowali w ślady „Titanica”: rozpuściłaby włosy i dwunastu facetów porzuciłoby swoje miejsce w szalupie, żeby ją ratować.

Rozpinam torbę.

- W porządku, przebiorę się.

- Tylko szybko. Chcę być na pokładzie, kiedy statek...

Zanim Liz kończy zdanie, podłoga zaczyna się przemieszczać. Wyglądam za okno i widzę oddalające się nabrzeże.

Kolana mi drżą. Czy to początki choroby morskiej? A może po prostu boję się tego, co nastąpi...

Jak wynika z mapy, którą znalazłyśmy w pokoju, statek ma dwanaście pięter. Dwanaście pięter! Totalne szaleństwo! Może statki nie są aż tak złe, jak myślałam. A może w ogóle wprowadzę się na stałe. Są tu spa, fryzjer, siłownia, biblioteka, miliard pokoi, kilkanaście restauracji. Cztery baseny. Czego jeszcze trzeba?

W windzie spotykamy dziewczynę mniej więcej w naszym wieku. Drobną blondynkę z tak zarumienioną skórą, jak gdyby właśnie mocno ją wyszorowała.

- Hej! - mówi Liz z szerokim uśmiechem. - Wybierasz się na basen na dwunastym piętrze?

Liz zagaduje każdego. W ogóle się nie boi. Ja z kolei, kiedy mam się odezwać do obcej osoby, czuję się, jak sparaliżowana.

- Mhm - przytakuje dziewczyna. - Podobno ten na dwunastym piętrze jest najlepszy. Odkryty.

A ja muszę natychmiast zacząć się opalać.

- Też jestem zbyt blada - stwierdza Liz. - I co sądzisz o statku?

- Świetny. To mój pierwszy rejs.

- Mój też - ośmielam się wtrącić.

- Płyniesz z rodziną? - pyta Liz. Dziewczyna bawi się końcówką blond kucyka.

- Owszem. Zabrała mnie moja szurnięta matka. Zdążyła wziąć już chyba butelkę yicodinu* i straciła przytomność. Pewnie prześpi całe cztery dni. Miała płynąć z nowym facetem, ale ją rzucił w zeszłym tygodniu. Wcale mu się nie dziwię.

No cóż, sporo informacji. Wymieniam spojrzenia z Liz, ale natychmiast znów skupiamy uwagę na dziewczynie.

- Przynajmniej załapałaś się na wycieczkę - zauważam.

- Szczęściara ze mnie - prycha ona. - Fatalna pora na rejs. Czytałyście w tym tygodniu „National Eagle”?

Liz pogardliwie kręci głową.

- Nie zaglądam do tabloidów. Ja też nie. No, może czasem.

- A co tam piszą?

- Jesteście strachliwe? - pyta.

- Owszem.

- W takim razie chyba nie powinnam wam mówić.

Drzwi windy się otwierają. Aua. Ale jasno. Dobrze, że mam okulary z wypasionymi szklarni - nie przepuszczają Uy blasku jakiegokolwiek światła. Muszę chronić swój największy skarb.

Zsuwam okulary z czubka głowy na nos i poprawiam uroczy słomiany kapelusz.

* Lek o działaniu przeciwbólowym, w dużych dawkach odurzający (przyp. red.).

BY HAZAJA
www.chomikuj.pl/Hazaja

Badamy otoczenie. Przed nami ogromny, kwadratowy, migoczący basen, dwa kiczowate bary kryte daszkami z gontów i restauracja na tarasie. Wszędzie pełno ludzi.

- Może tam, na samym końcu? - Wskazuję kilka pustych białoniebieskich leżaków.

- Chodź, usiądź z nami - proponuje Liz nowej dziewczynie.

- Dzięki - odpowiada tamta z uśmiechem. - Jeśli nie będę przeszkadzać. Nazywam się Hailey. Przedstawiamy się, a Liz zgarnia trzy jasnobrzoskwiniowe ręczniki plażowe z kosza i zajmuje puste miejsca.

Ciskam torbę między leżaki, otwieram parasol i rozkładam ręcznik.

- A wy tu z rodzicami? - pyta Hailey, grzebiąc w torbie. Po chwili wyciąga parę ogromniastych okularów przeciwsłonecznych i egzemplarz „National Eagle”.

Ciągle się zastanawiam, o czym jest ten artykuł. Czy naprawdę chcę wiedzieć?

- Nie, tylko we dwie. - Liz wyciąga się na leżaku.

- Super. Jesteście siostrami? - pyta Hailey.

- Coś w tym rodzaju - mówi Liz.

- Duchowymi - dodaję, śmiejąc się.

- To wasz prezent z okazji ukończenia szkoły?

- Owszem - przyznaje Liz.

- No to macie szczęście.

Ja jeszcze nic mam, ale planuję to zmienić. Tylko co to za straszna opowieść, którą Hailey trzyma w tajemnicy?

- No to zdradź nam, co takiego piszą o statkach rejsowych.

- Powiem, ale jeśli nie będziecie mogły dziś zasnąć, to nie moja wina. Artykuł nosi tytuł *Wampiry atakują statki*. Idiotyczne, no nie?

- Pewnie. - Statek kołysze się, przyprowadzając mnie o skurcz żołądka.

- No właśnie. Liz prycha.

- Ej, przecież to „Eagle”. Gorszy szmatławiec niż „Enquirer”. Wszystko zmyślają.

- Może nie tym razem - protestuje Hailey. Siadam na leżaku.

- Czeka, co tam właściwie piszą?

- Że giną pasażerowie rejsów. Od pół roku. Przez wampiry.

- Uhm, a czy wiedzą, że wampiry nie istnieją? - pytam.

- Najwidoczniej nie słyszeli.

Kręcę głową.

- Ten cały „Eagle” chyba ma poważne problemy ze sprzedażą.

- Nie wiadomo - wtrąca się Liz. - Może wampiry naprawdę zabijają ludzi w czasie rejsów.

Trudno powiedzieć, co jest prawdą, a co nie.

Kopię ją lekko w łydkę.

- Albo jakiś psychopata obrabia dziewczyny, które wlały w siebie za dużo wódki z tonikiem, a potem wyrzuca je za burtę, zanim ktokolwiek się zorientuje, że zaginęły? - pytam.

- Brzmi prawdopodobnie - Hailey na to, kartkując gazetę.

- Nie wódki, tylko raczej Krwawej Mary - żartuje Liz.

- Słyszałam, że to się zdarza o wiele częściej, niż podają w gazecie - wyjaśnia Hailey. - Są jakieś specjalne prawa dotyczące wód międzynarodowych. Trudniej ścigać przestępców.

- I szukać ciał - dodaje Liz.

- Straszne - mówię, drżąc. Owijam ręcznikiem ramiona.

Hailey robi wielkie oczy.

- No, ja nie zamierzam się nigdzie włóczyć po nocy, to na pewno.

- Będziemy trzymać się z dala od tych złych facetów - obiecuje Liz, po czym przewraca się na brzuch.

Przymykam oczy. Czas na odpoczynek.

Ooooooch. We włosach czuję powiew znad oceanu, wokół chlupocze woda i lśni słońce.

Cudownie. Doskonale.

Już przysypiam, kiedy nagle tuż przede mną pojawia się cień.

Otwieram powoli jedno oko, by sprawdzić, co się dzieje, i druga powieka sama błyskawicznie wędruje w górę.

Cześć.

To facet. Ciacho, w moim wieku, może siedemnastolatek. Stoi między moimi świeżo wypedikuiowanymi stopami a basenem. Ma na sobie kąpielówki w czarno-szary szachownicę. Krótkie blond włosy, seksownie wyrzeźbione ramiona.

Czyżby to ten jedyny?

Gładko daje nura do wody i nawet mnie nie opryskuje, choć przydałaby mi się ochłoda.

Dokąd on się wybiera? Wracaj, Szachisto, wracaj!

- Wskakuj - zachęca Liz, podpierając się na łokciach.

- Co? - pytam odrobinę przestraszona.

- Przecież ci się podoba, prawda? Niezły, co?

- Uhm. Przecież go nie znam! - protestuję.

- Ale masz ochotę poznać, tak?

- Chyba tak.

- No to dawaj.

Waham się. A jeśli nurkując, opiję się chlorowanej wody i jeszcze zgubię górę od bikini?

- Jeśli chcesz kogoś mieć, musisz za nim iść.

- Wiem, ale...

Hailey podnosi wzrok znad gazety i mierzy wzrokiem Szachistę, który właśnie robi kolejne długości basenu.

- On naprawdę jest słodki, Kristin. Do dzieła! Liz uśmiecha się, jak gdyby chciała powiedzieć:

„Popatrz, nawet dziewczyna, którą dopiero co poznałyśmy, radzi ci spróbować”.

Ma rację. Wiem, że ma. W przeciwieństwie do mnie, zna się na rzeczy. W przeciwieństwie do mnie, już to kiedyś robiła. Wiele, wiele razy.

Ale... Nie chcę wyjść na idiotkę. A jeśli mnie odrzuci? Jeśli ma dziewczynę? Żonę? Dzieci?

Okej, może i jest trochę za młody na żonę i dzieci, mimo to...

Liz wzdycha.

- Patrz i się ucz. - Płynnym ruchem zdejmuje okulary, ręcznik i iPoda, a potem elegancko przebija taflę daleko od brzegu basenu.

^nurza się z gracją supermodelki, jej włosy lśnią od wody; prostuje ramiona, by wyeksponować minimalistyczny stanik od bikini. Jest dokładnie na trasie Szachisty.

Niemal na nią wpływa. W ostatniej chwili wystawia głowę, krztusząc się.

- Strasznie przepraszam - mruczy Liz. - Może zrobić ci usta-usta?

Hailey wybuchając śmiechem. Wyraz twarzy Szachisty mówi: o tak, zrobimy usta--usta, jeśli to nie problem.

- Przepraszam. Muszę nauczyć się patrzeć, gdzie Płynę,

- Nie wiem, czy mogę przyjąć przeprosiny - odpowiada Liz, przeciągając samogłoski. -

Chyba powinieneś mi to wynagrodzić drinkiem.

- Zrobię wszystko, żebyś się nie gniewała. - Szachista gwałtownie mruga, jakby nie wierzył w swoje szczęście. Razem płyną do barku.

- O rany. - Hailey kręci głową.

- Liz to mistrzyni - odpowiadam.

- Ale przecież nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat! Jak może pić?

- Ma swoje sposoby.

- Ukradła ci faceta. Powinnaś jej co najmniej wyrwać włosy. Wzruszam ramionami.

- Na tej łódce są jeszcze inne ryby do złowienia. Godzinę później Liz znów pojawia się przy naszych leżakach.

- I jaki jest? - pytam. Przeczesa jej palcami mokre włosy.

- Kto, Jarred? Niezły. Zapraszał mnie na lunch. Powiedziałam, że może później się z nim gdzieś spotkamy.

- Ma jakichś fajnych kolegów? - zagaduje Hailey.

- Nie pytałam, ale w ten weekend naszym priorytetem jest ona. - Liz wskazuje na mnie. - Musi rozwiązać pewien problem.

- Jaki?

Czuję, że się rumienię, i to nie od słońca.

- Dziewictwo. - Liz uśmiecha się lekko.

- O, nie rób tego - protestuje Hailey. - Żałuję, że nie zczekałam dłużej. Straciłam je zeszłej jesieni, na początku pierwszej liceum, z totalnym kretynek. Pochwalił się całej szkole.

- Debil - pryham.

- Więc zaufaj mi i się nie spiesz. Zaczekaj na kogoś, w kim się zakochasz.

- Nie słuchaj jej - wtrąca się Liz. - Kiedy się zakochasz, będziesz za bardzo przerażona.

- No, może - przyznaje Hailey z wahaniem. - Więc przynajmniej zrób to z kimś, kogo zupełnie nie znasz, wtedy nieważne, komu o tym opowie. Na pewno nie waszym wspólnym znajomym. A byłeś już kiedyś blisko utraty dziewictwa?

- Owszem, raz.

- I co?

Milczę przez chwilę.

- Chodziłam z takim jednym Tomem... Myślałam, że to się stanie. Siedzieliśmy w jego pokoju. Rodzice wyszli. I właśnie zaczynałam, kiedy...

- Kiedy co?

- Po prostu stchórzyłam. I zwiłam.

- Musiał być zachwycony - śmieje się Hailey.

- Na pewno już doszedł do siebie - odpowiadam. Nigdy więcej go nie widziałam. I chyba dobrze dla nas obojga.

- A co z tobą? - zwraca się Hailey do Liz. - Od kiedy nie jesteś dziewczicą?

Liz kręci głową.

- Rany, chyba od stu lat. - Wzrusza ramionami. -Kto pamięta takie rzeczy?

Hailey się przeciąga.

- Chyba powinnam sprawdzić, co robi mama. Upewnić się, czy nie skacze za burtę...

- Albo czy nie zaatakowały jej wampiry. - Liz puszcza oko.

Hailey wybucha śmiechem.

- Znajdę was gdzieś tu później?

- Jasne - odpowiadam.

- Super.

- Będziemy w kasynie. - Liz sadowi się na leżaku. - Spotkajmy się o dziewiątej.

- W porządku, dzięki.

- Ej, zaczekaj!- wołam. -Skończyłaś czytać „Eagle”?

- Tak. Chcesz?

- Jeśli mogę...

Hailey rzuca mi gazetę na leżak.

- Milej lektury.

Liz parska głośnym śmiechem, gdy odwracam pierwszą stronę.

- To nie jest śmieszne - mamrocze, wczytując się w szczegóły. - Mówią, że w ciągu ostatniego roku zniknęło siedem osób podróżujących na sześciu różnych statkach. Dwie osoby znaleziono w wodzie. Ktoś wyssał z nich krew. Wyssał im krew! Naprawdę zupełnie cię to nie martwi?

- Nie załamuj mnie. To brukowiec. Halo, przecież wampiry nie istnieją. Chyba tak naprawdę boisz się czegoś innego.

- Na przykład czego?

Liz patrzy na mnie przenikliwie.

- Tego, co masz zrobić.

- Dziękuję za sugestię, pani doktor, ale nie mówmy o tym, dobrze? - Układam się na leżaku, plecami do Liz.

- Zjadłabyś coś? - pyta kilka minut później.

- Nie. - Wciąż jestem na nią wściekła.

- Nie bądź dzieckiem. Ja umieram z głodu. Zaraz zorganizuję jakąś przekąskę. Niech tylko znajdę Jarreda.

- Hailey twierdzi, że powinnam ci powyrywać wszystkie kłaki.

- Ej, przecież jeśli zechcesz, to ci go oddam - proponuje Liz.

- Ale się nie krępuj. Dzięki za jałmużnę. Sama sobie kogoś znajdę. - Nabieram oceanicznego powietrza głęboko w płuca. - Obiecuję.

Z Hailey spotykamy się później tego wieczoru w kasynie, przy automacie z Jamesem Bondem. Czy wyskoczy z niego superprzystojny szpieg, jeśli wrzucę ćwierćdolarówkę?

- Wyglądacie rewelacyjnie - komplementuje nas Hailey.

- Ty też. - Naprawdę jest jej prześlicznie w prostej, czarnej, bawełnianej sukience.

- Już mi nie wciskaj. Wy prezentujecie się tak, jakbyście wybierały się na wielką galę, a ja jakbym szła na szkolną potańcówkę. - Hailey podziwia fioletową sukienkę bez ramiączek, którą przyjaciółka wcisnęła na mnie niemal siłą, i efektowną czerwoną kreację bez pleców Liz. - Mogę przyjść pogrzebać wam w szafie?

- Jasne - mówi Liz, poprawiając pasek przy bucie. - Pięknie pachniesz. Co to za perfumy?

- Dzięki! Nazywają się Parfum de Vie.

- Bardzo apetyczne.

- I co z twoją mamą? - pytam.

- Leży półprzytomna. Żalotne. - Hailey przewraca oczami, po czym prostuje ramiona. - Co zamierzacie

robić? Porozglądać się? Poszukać fajnych chłopców? Zabić jakiegoś wampira?

- Ja się piszę na pierwsze dwie pozycje. - Liz omiata wzrokiem salę. - Zaczniemy od baru.

Starszawy, ale bardzo seksowny barman pyta, czego się napijemy. Liz wymrukuje zamówienie, odpowiednio eksponując rowek między piersiami.

- Zaklepuję - mamrocze do nas, odwracając się.

- Przecież on mógłby być twoim ojcem - dziwi się Hailey.

- Lubię dojrzałych facetów. Ładniej pachną. Z mężczyznami jest jak z winem.

Wznosimy toast.

Gdy odstawiam swój kieliszek, zauważam jego. Jednego jedyne.

Wiem to od razu. To on. Jest doskonały.

Stoi przy stole do gry w oczko.

Szachista był całkiem przystojny, ale ten facet gra w zupełnie innej lidze. Ekstraklasie. Oszałamiający. Wysoki, lśniące ciemne włosy, wydatne kości policzkowe, ramiona jak u futbolisty. Dużo młodszy od barmana. Maksymalnie dwadzieścia dwa lata. I ma na sobie smoking.

Serio.

Po co komu sportowcy? Właśnie znalazłam własnego Jamesa Bonda. W dodatku takiego tradycyjnego, sprzed mody na blond. Jestem wielka.

- Zaklepuję - szepczę. Liz ściska mnie za ramię.

- Dobry wybór.

- Zakochałam się.

- Widzę. Wytrzymaj sobie podbródek, bo się okropnie zaśliniłaś.

- Gdzie, gdzie, pokaż? - Hailey aż podskakuje w miejscu.

- Tylko nie odwracaj się od razu - ostrzegam ją, potrząsając włosami możliwie najbardziej nonszalancko. - Popatrz na tego gościa przy stoliku do oczka.

Hailey niby tak sobie obraca się o sto osiemdziesiąt stopni.

- Oooo raany. Ale ciacho. Bierz go! Nerwowo skubię sukienkę.

- Ale jak?

Hailey lekko szturcha Liz.

- No właśnie, doradz. Skąd wiedziałaś, jak dorwać tego pływaka w basenie? A w ogóle gdzie on się po-dziewa? Umówiłaś się z nim?

Liz wzrusza ramionami.

- Nie, skończyłam z Jarredem. Był nudny.

- Pewnie już znalazłaś sobie kogoś nowego - śmieje się Hailey. - Zdradzisz nam swoją tajemnicę, abyśmy mogły pójść w twoje ślady?

Kiwa palcem, żebyśmy się przysunęły.

- Najważniejsza rzecz to odpowiednie podejście. Musicie myśleć, że jesteście ósmym cudem świata. Wtedy on też będzie tak was odbierał. Ale nie możecie się wywyższać. Raczej: „wymiatam, ale ty też wymiatasz, więc chyba do siebie pasujemy”.

- Wymiatam? - powtarzam.

- Owszem. - Liz stanowczo kiwa głową. - Totalnie wymiatam.

- W porządku - mówi Hailey. - Wymiatać to ja potrafię. I co jeszcze?

- Nic.

- Tylko tyle trzeba, żeby znaleźć sobie chłopaka? -dziwi się Hailey.

- Chłopaka? - Liz uśmiecha się z politowaniem. -A kto chce chłopaka? Instrukcja dotyczyła zdobywania fajnego faceta na noc albo dwie. - Masuje mi ramiona. - Gotowa?

- Tak - odpowiadam, kręcąc głową na „nie”.

- Idź pograj w pobliżu. Obok niego jest wolne miejsce.

- Ale ja nie umiem... - jęczę. Liz podaje mi czarny żeton.

- Celuj w dwadzieścia jeden.

- Yy, dwadzieścia jeden czego?

Słyszac śmiech Liz, biorę głęboki wdech i ruszam w stronę pustego krzesła. Dam radę.

- Zajęte? - pytam fatalnym, nosowym głosem.

Przechyliła głowę i oślepia mnie oszałamiającym uśmiechem.

- Ależ skąd. Siadaj.

Ostrożnie kładę swój żeton na filcowym stole.

- Dobrze się bawisz? - Usiłuję wydobyć uwodzicielski ton. Innymi słowy, teraz mówię tak, jakbym cierpiała na biegunkę.

- Owszem. Mój przyjaciel właśnie się ożenił. W jadalni odbywa się wesele. Wytańczyłem się za wszystkie czasy, więc wymknąłem się na przerwę.

To wyjaśniało smoking.

- Wymiatasz - rzucam nagle.
- Słucham?
- Yy, ee, wesele to... wspaniała impreza. Wyglądasz trochę za młodo jak na żonatyh przyjaciół.
- To wariat. Kumpel z college'u. Wiesz, jak to bywa. A ty gdzie studiujesz?
- Na Uniwersytecie Nowojorskim - kłamię bez zmrużenia oka. Czemu nie? Przecież i tak nie dowie się prawdy.
Przytakuje. Daje sobie wcisnąć kit.
- A ja na Pensylwańskim. - Nachyla się i kładzie mi rękę na ramieniu.
Moje ciało przeszywa prąd. Czuję zapach wody po goleniu.
- Masz niesamowite oczy - wyznaje bardzo powoli. Jego wargi formują każde słowo.
- Dzięki. - Z trudem chwytam oddech. Przerywa nam krupier, który rozdaje graczom po dwie karty.
James Bond puszcza moje ramię i rozsiada, się wygodniej na krześle. Ech.
Patrzę na swoje karty. Ósemka i walet. Co to znaczy? Próbuję uśmiechnąć się do Bonda, ale on chyba stracił mną zainteresowanie i całkowicie zaangażował się w grę.
- A pani? - pyta mnie krupier.
- Tak? - odpowiadam pytaniem na pytanie.
- Co dalej?
Nie mam pojęcia.
- Mogę dostać jeszcze jedną kartę? Bond gapi się na mnie oszołomiony.
- Co? Czemu?
Za późno. Rozdający wręcza mi czwórkę pik i eliminuje z gry. A niech to!
Jakoś nie czuję, żebym wymiatała. Raczej robię z siebie kretynkę.
- Co się stało?! - krzyczy Liz, kiedy wracam z pustymi rękami w każdym sensie. Ani żetonów, ani faceta.
- Wszystko straciłam. Nie umiem grać w oczko!
- Czemu nie poprosiłaś go o pomoc?
- Ludzie, którzy wymiatają, nie proszą o pomoc. Liz potrząsa lokami i układa je za ramieniem.
- Można wymiatać i nie znać zasad gry w oczko.
- No cóż, rozdający dostał asa i waleta, więc chyba wygrał, ale wcześniej...
Liz ściska mnie za ramię.
- Ale co z facetem? Wzdycham.
- Powiedział, że jeszcze się spotkamy, i znikł. Poddaję się. Chyba pooglądam telewizję w łóżku.
Liz poprawia sukienkę.
- A ja zajmę się barmanem. Rozumiem, że w tym układzie nie mogę przyprowadzić go do pokoju?
- Sorry.
- Nie ma problemu. Znajdę jakieś dobre miejsce.
- Byle nie na pokładzie - wtrąca się Hailey.
- Nie czekajcie na mnie. - Liz mruga do nas porozumiewawczo.
- Oto mistrzyni. - Hailey lekko się kłania. A ja jestem wyjątkowo tępą uczennicą.
- Czemu go tu nie ma? - zastanawiam się głośno. Liz ziewa.
- Bo jest dziewiąta rano. Naprawdę musiałyśmy przychodzić tak wcześnie? Jesteśmy same.
- Nie chciałam, żeby znowu mi zniknął.
- Daleko by nie zwiął. Musi siedzieć na tym statku.
- Chyba że jakiś wampir wyrzuci go za burtę - mówię, rozprostowując nogi. - O jedenastej dołączy do nas Hailey.

- Co o niej sądzisz?
- Lubię ją. A ty?
- Ma w sobie coś oryginalnego. I to mi się podoba.
- Może jest wampirem - sugeruję.
- Nie.
- Błada skóra, dobry węch, podróżuje sama...
- Z matką - poprawia mnie Liz.
- tak twierdzi.

Liz przymyka oczy i po chwili znów je otwiera.

- Zgłodniałam. Zjemy coś?
- Ja dziękuję. Jeszcze jestem najedzona po naszej północnej uczcie. Dzięki, że przyniosłaś mi przekąskę z baru.
- Nie ma sprawy. No to do zobaczenia później. -Posyła mi całusa i znika z pola widzenia. Samotność mi nie przeszkadza. Czuję wiatr we włosach, patrzę na jaskrawobłękitne niebo... Cudowny dzień.

Czy mógłby być jeszcze wspanialszy?

Tak. Gdybym zobaczyła Jamesa. Jasne, że nie nazywa się James Bond, ale co mi tam. Biorę głęboki wdech i przymykam oczy. Moim pierwszym mogłoby zostać tylu innych facetów. Ale James ma w sobie to coś... byłby doskonały. To on, tylko on! Oczywiście jeszcze o tym nie wie. Nie zna nawet mojego imienia. Ja właściwie też niewiele się o nim dowiedziałam - poza tym, że studiuje na Uniwersytecie Pensylwańskim i fantastycznie wygląda w smokingu. Po prostu jest idealny i już.

Muszę go odnaleźć.

O jedenastej zjawia się Hailey. O dwunastej wraca Liz, z rozczochranymi włosami i szelmowskim uśmiechem.

- Co tak długo? - pytam. Puszczą do mnie oko.
- Oj, chciałybyś wiedzieć.

Dochodzi druga, a Jamesa wciąż ani śladu, więc postanawiam rozejrzeć się po statku.

- Ciekawe, co się z nim stało - myślę na głos. -Skoro on nie zamierza przyjść do mnie, to ja poszukam jego. - Kto idzie ze mną śledzić Jamesa?

- Ja! - zgłasza się Liz i wsuwa klapki. Wszystkie trzy wstajemy.

- Zastanówmy się - mówi Liz. - Na statku są jeszcze trzy inne baseny. Przy którym go znajdziemy?

- Może zacznijmy od góry? - proponuje Hailey. Na początku sprawdzamy basen na jedenastym

piętrze. Brodzik dla dzieci. Jamesa nigdzie nie widać.

- Przynajmniej wiadomo, że nie ma dzieci - stwierdzam. - Proszę bardzo, to już trzeci fakt.

Kolejny basen - na dziesiątym piętrze. Treningowy. Długi, prostokątny i pełen hardcorowych mięśniaków, którzy robią setki długości.

Ale nie ma wśród nich Jamesa. Jesteśmy pod dachem, więc wsuwam okulary na głowę.

- Podoba mi się ten basen. - Hailey wbija szeroko otwarte oczy w ciężko trenujących facetów.

- Wrócimy tu potem?

- Patrzenie na to jest zbyt męczące - stęka Liz. -Idziemy dalej!

Ostatni basen. Dziewiąte piętro. Wsiadamy z windy i... O rany!

- Tu jest! - Wskazuję palcem. Mój James.' Z krwi i kości! W łaźni! Siedzi w zamkniętym pomieszczeniu, ale na nosie ma okulary przeciwsłoneczne. Wygląda jak pilot. Trzyma piwo i jest dokładnie tak obezwładniająco piękny, jakim go zapamiętałam, a obok niego... jakaś dziewczyna i...

Jakaś dziewczyna?! Kim ona jest i czemu łązi za moim facetem? Tylko mnie wolno za nim łązić.

Dziewczyna chichocze; śmieje się z czegoś, co powiedział. Co za piskliwy, irytujący chichot! Chętnie bym ją zamordowała.

James położył jej rękę na ramieniu.

- Buuuu - jęczę. - Mój chłopak chyba już ma dziewczynę. - Tupię w pokład stopą w sandale.
- Ale ty jesteś ładniejsza - pociesza mnie Hailey.
- Możesz go odbić - przytakuje Liz. Kręcę głową.
- Znajdę sobie wolnego mężczyznę. Nie muszę okradać jakiejś laski.
- Ona nie jest jego dziewczyną - oznajmia Liz. ~ Po prostu niewinny flirt. Widziałam ją wczoraj wieczorem, przyjechała z całą grupą. Do kolacji stanie się już historią.
- Tak sądzisz? - pytam pełna nadziei.
- Obiecuję.

Późnym popołudniem się rozdzielamy. Hailey twierdzi, że musi się zdrzemnąć, Liz wybiera się na siłownię, ja do spa. Spotykamy się na kolacji, trochę szalejemy na dyskotecę. Dopiero potem znajdujemy Jamesa Bonda w kasynie.

Dobra wiadomość: dziewczyna z popołudnia rzeczywiście zniknęła.

Zła wiadomość: James ma dwie nowe. Uśmiecha się do nich, aż widać blask jego zębów.

- Następny proszę - szepcze Hailey.
- Ale on jest idealny... - wzdycham. - Spójrz tylko...
- Kristin, nie możesz wiązać się z kimś, kto ciągle kogoś podrywa. - Kręci głową. - Nie obraż się, Liz, ale to dość podejrzan.
- Nie obrażam się - oznajmia radośnie Liz.
- Wiesz, mnie raczej nie chodzi o budowanie głębokiej relacji - mamrocę.
- Ale to świr. Co się stało z dziewczyną z łaźni? Już o niej zapomniał?

Ramieniem delikatnie ociera się o plecy jednej z dziewcząt, tej w różowym topie. Druga, z włosami zaplecionymi w ciasny kok, wije się na stołku ze znudzonym i poirytowanym wyrazem twarzy. Po chwili szepcze coś do panienki w różowym i znika.

- No, wspaniale. Nasze gołąbeczki zostały same. - Podnoszę ręce. - Ja się poddaję.
- Chodźmy po lody - proponuje Hailey. - Rozdają w jadalni. Na pewno tam są fajniejsi faceci. Nie tacy zadufani w sobie.
- Ale ja bardzo lubię takich facetów-odpowiadam smutno.

Wracamy do holu.

- Idźcie przodem. Muszę z kimś pogadać - mówi Liz.
- Z wczorajszym przyjacielem? - pyta porozumiewawczo Hailey.

Liz puszcza do niej oko.

W jadalni Hailey bierze dwie miseczki lodów: jedną dla siebie, drugą rzekomo dla matki.

- Oczywiście nie wierzę, że ona to zje. Pewnie się rozpuszcza.
- Twoja mama w ogóle wychodziła z pokoju?

To tak dziwne, że zaczynam wątpić w prawdziwość opowieści Hailey. Czemu chociaż raz nie widziałyśmy jej matki?

- Chyba tak, kilka razy. Ale tylko w nocy. Całymi dniami śpi. To idiotyczne.
- Pójść z tobą? - pytam, bo mam ochotę upewnić się, czy matka Hailey istnieje. A może to ona jest wampirem. Ha! Ha! Ha!
- Nie, nie martw się o nią. Wkurzyłaby się, gdybym przyprowadziła do pokoju kogoś obcego. Może umówimy się u ciebie? Przyjdę, kiedy tylko podrzucę te lody. Chyba macie balkon?
- Mamy, ale... - Niezbyt dobry pomysł. - Nie wiem, czy moja współlokatorka właśnie tam nie siedzi ze swoim przyjacielem. Nie chciałabym... im przeszkadzać.

- No i nastał ten *moment* - ogłasza następnego dnia Liz, gdy przychodzimy nad basen. - Nasz ostatni pełny dzień pobytu. Gotowa do działania, skarbie?

- Jestem gotowa już od trzech dni. - No, tak jakby. Mam nadzieję. Rozglądam się w poszukiwaniu Jego Przystojności. - Ale jego nawet tu nie ma.

- Przyjdzie - pociesza mnie Liz.
- Jeśli naprawdę chcesz to przeżyć, to raczej powinnaś wybrać kogoś innego - ostrzega Hailey. - Spiesz się, kochana.
- Ale to on jest moim wymarzoną mężczyzną - odpowiadam. - Muszę tylko dorwać go samego.
- Wątpię, czy ci się to uda w najbliższym czasie. - Hailey wskazuje palcem u nogi postaci po drugiej stronie basenu. - Patrz, kto tu przyszedł i to sam.
Nad basenem stoi dziewczyna z kokiem i rozmawia z jednym z kelnerów.
- No świetnie - mówię.
- Jej przyjaciółka w różowym pewnie właśnie jest w ramionach twojego faceta. Czas zamknąć ten rozdział.
Dziewczyna zauważa, że się na nią gapimy, i podchodzi szybkim krokiem.
- Czego ona może chcieć? - zastanawia się głośno Hailey.
- Hej, przepraszam, że przeszkadzam - zagaduje laska z kokiem, gdy tylko dociera do naszych leżaków. - Byłyście wczoraj wieczorem w kasynie, prawda?
- No - rzuca niedbale Liz.
- Widziałyście mnie z siostrą? Rozmawialiśmy z takim facetem. Ma na imię Jay.
Naprawdę? Jay? Prawie jak James! Czy to znak, że został stworzony, by być moim pierwszym?
- Tak, widziałam - przyznaję.
- A widziałyście moją siostrę potem? - pyta z nadzieją. - Gdziekolwiek?
Wszystkie trzy kręcimy głowami.
- Może wciąż jest z... Jayem... - sugeruję. Mam wielką ochotę dodać „moim Jayem”, ale się powstrzymuję.
Dziewczyna wzdycha.
- Mogę usiąść?
- Oczywiście, skarbie. - Liz podciąga kolana pod brodę, żeby zrobić jej miejsce.
- Nazywam się Ali. I moja siostra nie jest już z Jayem.
- Na pewno? - dopytuję pełna nadziei. Przytakuje.
- Rano poszłam do niego do pokoju. Nie było jej tam. Pytałam, co się z nią stało, ale nie miał pojęcia.
To dobra wiadomość, tak?
- Przecież wczoraj wieczorem gdzieś z nim poszła.
- Jay twierdzi, że nie. Ale ja tego nie rozumiem. Nie wróciła do pokoju. Łóżko jest zaścielone.
To gdzie ona może być?
Liz klepie ją po ramieniu.
- Może poderwała innego faceta?
- Nie wiem...
- No, poznała kogoś i poszła do niego do pokoju.
- Ale to zupełnie do niej niepodobne! Jay bardzo jej się spodobał, czemu miałaby szukać kogoś innego?
- Na pewno gdzieś tu się kręci. - Liz wciąż klepie dziewczynę po ramieniu. - Pomóc ci szukać?
- Mogłabyś? Naprawdę bardzo przyda mi się pomoc. Jesteśmy tu same i chyba zaczynam trochę panikować.
- Nie martw się - uspokaja Liz, przewiązując się pareo. - Z przyjemnością pokręcę się z tobą.
- Iść z wami? - pytam.
- Nie, zostańcie tutaj, na wypadek gdyby ona...
- Carly - wtrąca Ali.
- Na wypadek gdyby Carly się pojawiła.

- Nie boisz się? - zwraca się do mnie Hailey, ledwo Liz i nowa dziewczyna dochodzą do windy.

- Co?

- Nie boisz się?

- Czego? - Nie rozumiem, o co jej chodzi. Hailey siada po turecku.

- Wiesz, jej siostra spędziła wieczór z Jayem i rozplynęła się w powietrzu.

- Ale Jay powiedział, że Carly z nim nie było - protestuję.

- A jeśli kłamie? Wzruszam ramionami.

- Po co miałby kłamać?

- Żeby ukryć fakt, że coś jej zrobił!

- Na przykład co?

- No... coś złego! Spił ją, okradł, wypchnął za burtę. On może być mordercą. Nie wiemy o nim nic poza tym, że jest przystojny.

- Nieprawda. Podejrzewamy również, że nie ma dzieci i że lubi damskie towarzystwo. Jest tu z okazji ślubu kumpla i studiuje na Uniwersytecie Pensylwańskim.

- Tak twierdzi. Nie sądzisz, że to wszystko jest trochę dziwne? Dziewczyna, z którą spędził ostatni wieczór, zniknęła. I... właściwie co się stało z tamtą z łaźni? Jej też nigdzie nie widziałam. - Hailey blednie. - O rany!

- Co takiego?

- Pamiętasz artykuł o wampirze? A jeśli to on jest tym wampirem?

Niemal wybucham śmiechem.

- No co ty... Jay? Na pewno nie.

- Skąd wiesz?

Mój Jay nie jest wampirem.

- To niemożliwe.

- Owszem, możliwe! Zastanów się tylko. - Hailey masuje sobie skronie. - Widujemy go tylko w nocy.

- Guzik prawda. Spotkałyśmy go też w łaźni, w ciągu dnia.

- No dobra. - Na czoło Hailey występuje pot. - Ale wewnątrz! Nie siedział na słońcu!

- Mhm.

- Ty myślisz, że to żart, ale on może być niebezpieczny! Na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka. Nie pozwól, żeby dorwał cię samą.

Nie pozwól? Jak na razie, nie potrafię go zmusić, żeby spędził ze mną choć kilka chwil... *Liz* wraca po godzinie z zadowoloną miną.

- I wszystko gra! - Kładzie się na leżaku. - Siostra odnaleziona.

- Poważnie? - Hailey klaszcze w dłonie.

- Uhm. - Liz sięga do przepastnej torebki po krem do opalania.

- Dzięki Bogu - wzdycha Hailey. - Gdzie była?

- Wstała wcześniej i poszła do spa. Ali pewnie spała, gdy Carly wychodziła z pokoju.

- Ale przecież miała pościelone łóżko?

- Najwyraźniej sama to zrobiła. - Liz wzrusza ramionami.

'Ale kto sam sobie ścieli łóżko podczas rejsu? -pytam.

- No, o to musicie już zapytać Carly - odpowiada Liz.

Jakoś nie zamierzam o nic jej pytać. Napięcie na twarzy Hailey powoli ustępuje.

- O rany. Co za ulga.

- Hailey omal nie obwieściła wszem wobec, że Jay jest wampirem - chichoczę.

~ Zdenerwowałam się! - protestuje Hailey. Liz unosi brwi.

- Sądzisz, że Jay jest wampirem?

- Już nie. Ale trochę tak wygląda, nie uważacie?

- A jak właściwie wygląda wampir? - Wciąż się śmieję.

- No... ma białą skórę, ciemne włosy, ponure oczy.
- Mrau, seksi - mówi Liz z uśmiechem.
- Wampiry są seksi - przyznaje Hailey. Brad Pitt? Ujdzie. Angel? Ujdzie. Edward? Superciacho. Chętnie zrobiłabym to z wampirem.
Liz szturcha mnie w bok.
- A skoro o tym mowa...
- Wiem, wiem.
- Dziś wieczorem jest twoja ostatnia szansa - ciągnie Liz. - Musisz znaleźć tego swojego chłopaka wampira, związać go i nie puszczać, dopóki z nim nie skończysz. Dość już zwlekania. Rozumiesz?
- Jasne! - Walę pięściami w oparcie leżaka. - Dziś ruszam do ataku. Nie mam pojęcia, co mu powiem, ale...
- Po co masz z nim rozmawiać? - Liz porusza brwiami.
- Czy ty zawsze myślisz tak rynsztokowo? - Śmieję się.
- Sama mogłabyś tak pomyśleć, dla odmiany.
- Ale ona naprawdę musi jakoś zagadać - protestuje Hailey. - Przecież nie może od razu go pocałować.
- Szczerze wątpię, czy jemu by to przeszkadzało - odparowuje Liz.
- Nie wiem, czemu chcesz marnować na niego swoje dziewictwo - dodaje Hailey. - W porządku, jest przystojniacha, ale zachowuje się trochę jak palant. Prawdopodobnie w ciągu tych trzech dni umawiał się z co najmniej dwiema dziewczynami. To nie brzmi zachęcająco. Pogrywa z kobietami. Liz macha na to ręką.
- Tacy właśnie są najlepsi. Zaufaj mi, Kristin. To właśnie twój pierwszy i wymarzony. Wierz w to, a będziesz się lepiej bawić.
Przytakuję. Wiem, że ma rację.
- W takim razie co powinnam robić?
- Nie bój się niczego.
- Rób, jak uważasz - wtrąca się Hailey. - Ale na twoim miejscu brałabym nogi za pas. Kiedy widzę go przy barze, czuję, że to właściwy moment. Tu i teraz.
Siedzi sam. Czeka. Na mnie.
No dobra, może i nie na mnie, ale przynajmniej jest sam, tak? Zupełnie wystarczy.
Hailey i Liz są u nas w pokoju. Liz obiecała pożyczyć Hailey coś ładnego.
Prostuję ramiona i biorę głęboki wdech. Dam radę. Dam radę!
- Cześć... - Słyszę bicie własnego serca. - Chcesz drinka?
Obdarza mnie promiennym uśmiechem.
- Proponujesz mi drinka?
- Dokładnie tak.
- To chyba mój szczęśliwy wieczór - mówi z błyskiem w oczach.
O rany, jak on wspaniale pachnie. Piżmowo, słonawo, smakowicie! Wiedziałam, że tak będzie!
- O, niewątpliwie bardzo szczęśliwy - dodaję, rumieniąc się. Co ja wyprawiam? Gestem przywołuję barmana. - Czego się napijesz?
- Poproszę Krwawą Mary - odpowiada, uśmiechając się do mnie.
Serio? Ludzie naprawdę to piją? Liz pewnie by się roześmiała. Kto wie, może to i dobre.
- Dwa razy - zamawiam u barmana.
- Jestem Jay - przedstawia się, po czym duszkiem wypija drinka.
- Wiem - przyznaję śmiało. - Miło cię poznać. Nazywam się Kristin.
Cholera. Czy to bardzo źle, że podałam mu prawdziwe imię? Zresztą jakie to ma znaczenie?
- Skoro dziś jest mój szczęśliwy dzień, to może spróbujemy szczęścia w kasynie? - mówi. Ma czerwone zęby.

Rzeczywiście wygląda trochę jak wampir. Ale przecież nim nie jest. Oczywiście, że nie jest. Serce wali mi jak młotem. Czy naprawdę dam radę to zrobić?

- Możemy pograć... - Pochylam się, by podziwiać mój dekolt. A teraz czas na odwagę. - Chyba że wolałbyś bardziej zaciszne miejsce?

Oczy rozświetlają mu się jak świece.

- Poważnie? - Uśmiecha się. - O tak, bardzo chętnie. Masz ochotę zwiedzić mój pokój?

- Mieszkasz z kimś czy sam? - Serce łomocze mi coraz głośniejsze.

- Sam. I mam balkon.

- Brzmi nieźle. - Pochłaniam resztę drinka w nadziei, że podziała jak lek na odwagę.

No to do dzieła! Udało się! Dobra, może jeszcze tego nie zrobiłam, ale teraz jestem już naprawdę blisko.

Stoimy na jego balkonie. Na niebie czarnym jak roztopiona smoła błyszczą gwiazdy. Wiatr burzy mi włosy i przyprawia mnie o gęsią skórę. Trzymam się poręczy. Biorę głęboki haust morskiego powietrza.

- Przyjemnie tu, co? - pyta Jay.

- Niesamowicie. Otacza mnie ramieniem.

- Właśnie...

- Właśnie - powtarzam. Odwracam się do niego. Oto moja szansa. Wystarczy tylko, że nie stchórzę.

Twarz chłopaka powoli przybliży się do mojej. Centymetr po centymetrze. Wdycham słony zapach Jaya, niemal czuję jego smak.

I po chwili... zaczynamy się całować.

Całujemy się!

Hurra!

Coraz namiętniej, Jay przeczesuje mi włosy palcami. Przesuwa dłoń w dół moich pleców i przyciąga mnie bliżej do siebie. Przerywa pocałunek tylko na moment, żeby wyznać, że jestem piękna. Miło z jego strony. W ogóle jest bardzo miły.

Kurczę. Co ja wyprawiam? Czy dam radę?

Nie wiem, czuję się coraz gorzej.

Chyba jednak nie podołam.

Wyrywam się z jego objęć.

- Przepraszam, James. Znaczący, Jay. Ja... Myślałam, że mogę to zrobić, ale niestety...

- Co takiego? - Ze zdziwienia szeroko otwiera oczy.

- Muszę wyjść. Natychmiast. Uwierz mi, tak będzie lepiej.

- Ale... Ale... - Chwyta mnie za ramię. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Słucham?

- Nie możesz mnie nakręcać, a potem nie kończyć tego, co zaczęłaś. - Jego głos jest niski i burkliwy.

- To chyba tak nie działa.

- A ja myślę, że właśnie tak działa - protestuje, przyciągając mnie z powrotem do siebie.

- Naprawdę nie. Nie jestem jeszcze gotowa.

- Mnie wydawałaś się zupełnie gotowa.

Może ma rację. Staram się rozluźnić. Biorę głęboki wdech. Chcę tego z całych sił. A on z pewnością zasługuje, by być moim pierwszym.

- Hm... - Nabieram głęboko powietrza. Całuję brzeg jego warg. Potem policzek. Skubię go w ucho. Delikatnie. I zjeżdżam w dół szyi. Pachnie tak kusząco. Smakowicie. Parfum de Vie. Zapach życia. Ogarnięta rosnącym pragnieniem całuję go w szyję. Liżę. Zlizuję wodę po goleniu. Pycha.

- Cudownie... - mruczy.

Otwieram usta szerzej. Oto ta chwila. Jestem gotowa. Dam radę. Tylko się nie bać. Zatapiam zęby w jego szyi.

- Hej! - krzyczy. - To boli. - Usiłuje się wyrwać. Ale teraz już za późno, żeby się wycofać. Nadszedł

czas. Przyciągam Jaya z powrotem, przytrzymuję mu twarz chłodnymi dłońmi i gryzę raz jeszcze.

www.chomikuj.pl/Hazaja

Liz miała rację. *To* wcale nie takie trudne.

Jay wciąż usiłuje stawiać opór.

- Czemu mi to robisz? - pyta.

Bo chce mi się pić, myślę, ale nie wypowiadam tego na głos. Zaspokajam pragnienie.

- Czym... kim... ty jesteś? - bełkocze Jay, powoli tracąc przytomność.

Przełykam duży łyk krwi. To znacznie lepsze niż Krwawa Mary.

- Jestem wampirem - wyjaśniam, po czym wysysam z chłopaka resztę krwi.

Zrobiłam to! Zrobiłam!

Mój pierwszy raz. Muszę przyznać, że czuję się dumna.

Po posiłku wyrzucam zwłoki Jaya za burtę i patrzę, jak znikają w mrocznej otchłani.

Słyszając cichy plusk, odwracam się i wychodzę z pokoju.

Hailey i Liz są same na pokładzie z basenem. Hailey leży w poprzek leżaka. Ma szeroko otwarte oczy, jej ręce i nogi drżą w konwulsjach.

- Brawo, widzę, że się udało! - mówi Liz. - Najadłaś się?

- Po same uszy. To było fantastyczne. Pychota. Na pewno lepsze niż Szachista czy stary barman. Albo ta dziewczyna z łaźni.

- Świeży pokarm jest zawsze smaczniejszy niż resztki.

- Całkowita racja.

- Szkoda że nie spróbowałaś Ali ani Carly. - Liz kiwa głową. - Całkiem smaczne.

Patrzę na Hailey, która spogląda w niebo i wciąż jeszcze dygocze.

- Myślałam, że gdy wrócę, ona dawno będzie za burtą. Postanowiłaś ją przemienić?

- Tak. Nie masz nic przeciwko? Lubię ją. Myślę, że we trzy będziemy się nieźle bawić.

Oczywiście dałam jej wybór. Powiedziała, że chętnie spróbuje czegoś nowego. I nawet nie sądzi, żeby matka zauważyła jakąkolwiek zmianę.

Z drugiego końca pokładu dochodzą śmiechy. Podnosimy wzrok. Zbliżają się do nas jacyś dwaj studenci. Jeden z nich nosi czapkę drużyny Jankesów.

Hailey podpira się na łokciach.

- Dobrze się czujesz? - pytam.

Przytakuje, po czym podnosi rękę, która już nie drży, i wskazuje na faceta w czapce.

- Zaklepuję - szepcze.

Cassandra Clare

DownLuster

Dwie godziny na drodze gruntowej między lotniskiem w Kingston a miasteczkiem

Black River byłyby okropne, nawet gdybym nie miała kaca po wypiciu morza szampana na weselu. A mam, więc przez większość czasu gapię się przez okno i usiłuję powstrzymać od wymiotów. To niełatwe, zwłaszcza że ciągle mijamy zdechłe zwierzęta na poboczu, a czasem też hałdy tłących się śmieci, które śmierdzą palonym plastikiem.

Mama mówiła, że na Jamajce będzie jak w raju. Ale ona też upierała się, że wyjadą z Phillipem na miesiąc miodowy zaraz następnego dnia po weselu. Nie rozumiem, dlaczego postanowili zabrać ze sobą mnie i Evana, syna Phillipa. Tłumaczyli - to znaczy moja mama, bo Phillip jak zwykle siedział tylko i patrzył spode łba - że to ma związek z „zacieśnianiem więzi rodzinnych”. Skoro jednak Phillip milczy jak grób, a Evan siedzi wciśnięty w najdalszy kąt lepkiego siedzenia samochodu, nie wiem, jak mocne więzi uda nam się stworzyć.

Oczywiście biorąc pod uwagę to, co się wydarzyło wczoraj wieczorem w ogrodzie po przyjęciu, bliskie więzi to chyba ostatnia rzecz, której trzeba mnie i Evanowi.

Dom wynajęty przez mamę jest znacznie piękniejszy niż na zdjęciach w Internecie. Podłogi są lśniące, ciemne jak wypolerowana łupina orzecha włoskiego; ściany, niebieskie z zieloną przecierką, przywołują kolory morza i nieba. Są tu też taras i turkusowy basen. Pobliski klif opada na biały piasek i ciemne morze. Zachodzące słońce rzuca na powierzchnię wody czerwone, złote i pomarańczowe kręgi.

Mama zatrzymuje się w drzwiach i dotyka ręką szyi.

- Ach, Phillipie... spójrz!

Ale Phillip nie patrzy. Stoi przy drzwiach frontowych przy stosie bagaży i rozmawia przytłumionym, ostrym głosem z Damonem, boyem hotelowym. O tym, że chłopak nie powinien spodziewać się napiwku i że tak w ogóle to Phillip sam mógł sobie wnieść te cholerne walizki. Damon filozoficznie wzrusza ramionami w białej koszuli i wychodzi, mijając Evana, który opiera się o ścianę i wbija wzrok w swoje buty. Widać, że wstydzi się za ojca, ale kiedy próbuję się do niego uśmiechnąć, odwraca głowę, jakby się obraził.

Phillip spogląda na mnie. Może dostrzega moją minę - nie jestem pewna - ale tak czy inaczej, zupełnie źle ją interpretuje.

- Evanie, zanieś bagaż Violet do pokoju - rozkazuje. Syn zaczyna protestować. Ojciec posyła mu wściekłe spojrzenie.

- Bez gadania.

Evan zakłada sobie moją torbę na ramię i idzie za mną do pokoju numer 3. Są tu wychodzące na taras, zasłonięte żaluzjami okna, świetlik i wielkie, białe łóżko, na które opadają fałdy moskitiery. Evan z łomotem rzuca torbę na podłogę i się prostuje. Jego niebieskie oczy błyszczą.

- Dzięki - mówię. Wzrusza ramionami.

- Nie ma sprawy. - Rozgląda się. Mięśnie prężą mu się przy każdym ruchu. - Ładny pokój.

- Prawda? - Śmieję się nerwowo. - Jakie ogromne łóżko - dodaję i natychmiast zamieram.

Nie powinnam tego mówić. Nie powinnam wypowiadać słowa „łóżko” w obecności Evana, nie po tym, do czego doszło w ogrodzie różanym. Pomyśli, że żartuję, że jestem głupia, a może nawet, że proponuję...

- Dzieciaki! Kolacja! - Mama wsuwa głowę do pokoju i uśmiecha się radośnie.

Nigdy nie cieszyłam się bardziej na jej widok.

- Już idę, tylko się umyję. - Znikam w małej łazience, a Evan wymyka się, depcząc mojej mamie po piętach.

Ściany są wykafelkowane wygładzonym przez ocean szkłem w kolorze rozmytej zieleni, czerwieni i niebieskiego. Puszczam wodę w zlewie z brązu i ochlapuję sobie twarz - policzki mam czerwone jak róża.

Kolacja serwowana jest na tarasie; nasza rodzina zasiada przy długim, niskim stole, a personel domku znosi miski z jedzeniem: stopy sałatki ziemniaczanej, ostra surówka z kapusty, ryba przyrządzona z czosnkiem i piekącą papryczką, miska ciemnego, aromatycznego curry pełnego kawałków podduszonego mięsa.

Dania docierają do mnie, a ja próbuję przez ramię uśmiechnąć się do obsługi, ale wszyscy odwracają wzrok. Widzę tylko niewyraźne ciemne twarze i dłonie oraz błysk bransoletek z koralu i złota, kiedy czyjaś ręka odsuwa naczynie z sałatką, z którego skończyłam już sobie nakładać.

- Dziękuję - mówię, ale nikt nie odpowiada. Phillip grzebie widelcem w curry, jakby było nieświeże.

- Co to jest? - pyta nagle, nabija kawałek mięsa na widelec i wkłada go do ust.

- Curry z kozłiny, proszę pana - wyjaśnia najwyższa kucharka, kobieta z kościstą twarzą, z białą chustką na włosach.

Phillip wypluwa mięso na talerz, sięga po serwetkę i patrzy oskarżycielskim wzrokiem na kucharkę. Wbijam wzrok w stół i usiłuję stłumić chichot.

Następnego dnia upał oszałamia jak narkotyk. Leżę przy basenie na leżaku. Zsunęłam sobie ramiączka od niebieskiego kostiumu, żeby nie opalić się w paski. Mama nie pozwala mi kupić bikini. Phillip siedzi kawałek dalej w cieniu i czyta książkę *Podwodne królestwo*. Evan moczy nogi w basenie i gapi się przed siebie.

Chcę uchwycić jego wzrok, ale nie patrzy w moją stronę, więc wracam do lektury. Staram się czytać, ale słowa tańczą na kartce jak promienie słoneczne na powierzchni basenu. Przy takiej pogodzie wszystko tańczy.

W końcu odkładam książkę i idę do kuchni po colę. Kucharka, z którą wczoraj rozmawiał Phillip, zmywa naczynia po śniadaniu. Dziś ma na głowie jasnoczerwoną chustkę, w kolorze egzotycznego ptaka.

- W czym mogę pomóc, panienko? - pyta z akcentem miękkim jak płatki kwiatów.

- Przyszłam tylko po colę. - Czuję, że nie powinnam tu być, że kuchnia to królestwo personelu.

Zamiast wskazać lodówkę, kobieta oczywiście sama wyjmuję butelkę, otwiera i nalewa napój do szklanki.

- Dziękuję. - Biorę picie, a szkło przyjemnie chłodzi mi palce. - Jak się pani nazywa?

- Jak się nazywam? - Unosi ciemne brwi. Tworzą idealne łuki, jakby codziennie je sobie skubała. - Damaris.

- Damans i Damon - zauważam i w jednej chwili tego żałuję. Może ona nawet nie zna się dobrze z Damonem.

- To mój brat. - Zerka przez okno, a między jej brwiami pojawia się zmarszczka. - Widzę, że twój brat poszedł na plażę. Lepiej, żeby trzymał się z daleka od innych domów przy drodze. Większość z nich jest prywatna i nie wszystkie są bezpieczne.

Nie są bezpieczne? - myślę. Czyli co, pilnują ich złe psy albo ochroniarze, którzy zbyt chętnie chwytają za broń? Ale śliczna, pozbawiona wyrazu twarz Damaris niczego nie zdradza.

Odstawiam pustą szklankę na kredens.

- Evan to mój przyrodni brat - wyjaśniam, jakby to miało jakieś znaczenie; ale z jakiegoś powodu chcę, żeby o tym wiedziała.

Damaris nic nie odpowiada.

- Przekażę mu, żeby uważał - obiecuję.

Ścieżka prowadząca nad wodę jest piaszczysta, otoczona kamieniami i skarłowaciałą trawą. Plaża ciągnie się łukowato na południe, a wzdłuż niej stoją małe, jaskrawe domki

pomalowane na tropikalne kolory: ostry róż, wściekła zieleń, intensywna żółć jak na brzuchu żaby. Nasz dom, ostatni w szeregu, stoi przyciśnięty do skalistego klifu upstrzonego ciemnymi dziurami - wyglądają jak rodzynki w bladym cieście. To chyba jaskinie.

Evana nie ma na plaży. W ogóle dookoła pusto. Jest tylko jasna, kusząca połać piasku.

Dziwne, że nikt się nie opala; ale kiedy idę brzegiem morza, widzę, że większość domów jest zamknięta na głucho. Na niektórych bramach wiszą ciężkie kłódki. Domy są zakurzone i opustoszałe. Jedyne budynki, które wydają się zamieszkane, jest w kolorze kwitnącej róży i znajduje się najbliżej naszej willi. Ma wielki ogród, aż do plaży, a otaczają go mury pokryte mozaiką przedstawiającą fale i morskie stworzenia. Szczyt muru wyłożono kawałkami szkła, ale nie małymi, ostrymi odłamkami, żeby odstraszać intruzów, ale dużymi, kwadratowymi i prostokątnymi szybami, w których odbijają się morze i niebo. Tuż za bramą widnieje bujny ogród pełen jaskrawych kwiatów; drzwi do domu są zamknięte, a zasłony szczelnie zaciągnięte.

Całkowity bezruch. To niemożliwe, żebyśmy tylko my zatrzymali się w tej okolicy. Katalogi zawsze reklamują „bezludne plaże” jako wymarzony cel podróży, w rzeczywistości jednak takie miejsca przyprawiają o gęsią skórę. Na piasku dostrzegam ślady stóp, więc ktoś tędy przechodził, ale w zasięgu wzroku nie ma nikogo.

Dochodzę do końca plaży, zawracam i idę z powrotem. Słońce przypala mi szyję i ramiona.

Nad basenem jest chłodno, ale tutaj skwar przypomina ciężki, mokry koc. Przy domku poruszają się jakieś postacie; czarne sylwetki na tle słońca. Kiedy zbliżam się do ścieżki, która prowadzi na górę wzdłuż kęp trawy, z jednej ze skalnych dziur wyłania się chłopak.

To Evan. Bez koszuli, tylko w szortach i japonkach. Jest tak samo blady jak ja, ale jego jasne niczym pszenica włosy lśnią złociście w ostrym świetle. Na jego policzkach i nosie dostrzegam Mika piegów i bezskutecznie usiłuję sobie przypomnieć, czy miał już je wcześniej, czy też właśnie mu się pojawiły. Wydaje się zaskoczony, że mnie spotkał.

- Cześć.

- Cześć. - Czuję się głupio, jak zawsze w jego obecności od ślubu. - Damaris prosiła, żeby ci przekazać, że tu niezbyt bezpiecznie.

Mruży w słońcu niebieskie oczy.

- Damaris?

- Kucharka.

- Aha, no tak. - Rozgląda się po plaży. - Jak na mój gust jest bezpiecznie. Może chodziło jej o przyływy?

Wzruszam ramionami.

- Może. - Na pewno nie miała na myśli przyływu, ale nie zamierzam się w to zagłębiać.

- Chodź. - Macha ręką. - Coś ci pokażę.

Znów znika w ciemnej jamie w skale. Idę za nim, tłumiąc swoją klaustrofobię. Muszę wciągnąć brzuch, żeby precyzyjnie się przez wąskie przejście, a zaraz potem wchodzę do jakiejś groty. Słabe promienie wpadają przez skalną szczelinę, przez którą weszliśmy, ale to nie jedyne źródło światła: wilgotne ściany upstrzone są świecącymi plamami w różnych kolorach: chłodny błękit, blada zieleń, czysty róż.

- Mech fosforyzujący - tłumaczy Evan. Przesuwa dłonią po ścianie, a potem pokazuje mi palce; błyszczą jak płetwa ryby.

Jego oczy też świecą w ciemności. Pamiętam, jak go zobaczyłam po raz pierwszy: szedł sprężystym krokiem przez dziedziniec szkolny z torbą zarzuconą przez ramię, jego jasne włosy lśniły w słońcu. Poruszał się jak człowiek dążący do celu, jakby rozciągała się przed nim migocząca, niewidoczna droga, którą tylko on potrafi dostrzec; dokładnie wiedział, dokąd idzie. Nigdy wcześniej go nie widziałam - później się dowiedziałam, że dopiero w tym roku przeprowadził się z ojcem do naszego miasta z Portland. Poza tym lubiłam inny typ chłopaków. Podobali mi się hipstersi: wytarte dżinsy, okulary, elegancka fryzura. Evan był

schludny, wysportowany i błyszczał w słońcu niczym złoto, ale ja od tamtej chwili zapragnęłam go tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie pragnęłam.

Dotykam jego ręki... i moja dłoń też świeci, jakby wlał we mnie światło. Evan spina się, ale po chwili nasze ręce się splatają. Staję na palcach, żeby zbliżyć twarz do jego twarzy; całuje mnie, usta ma wilgotne i miękkie. Mocno wpija mi palce w ramiona, a zaraz potem się odsuwa. - Vi... - To przypomina jęk. - Nie możemy. Jasne. Omawialiśmy to już wcześniej, tamtej nocy w ogrodzie, kiedy całowaliśmy się, a potem kłóciliśmy przez kilka godzin. Musimy im powiedzieć, nie możemy się przyznać, nie wolno nam tego robić, przecież się nie dowiedzą, oczywiście że się dowiedzą, zabiją nas, ojciec mnie zabije. Nie.

Evan rusza do wyjścia z jaskini i prześlizguje się na zewnątrz. Biegnę za nim, wołam go, przeciskam się przez wąską szczelinę, ale ramiączko stroju kąpielowego zahacza się o ostry kawałek odstającej skały i dopiero po chwili udaje mi się wyplątać i dołączyć do Evana na plaży. Stoi i gapi się przed siebie z rozdziawionymi ustami. Podążam za jego wzrokiem i wszystko rozumiem.

W drzwiach różowego domu pojawia się kobieta. Otwiera pomalowaną na niebiesko żelazną bramę i wychodzi na piasek. Tyle że ona nie idzie tak po prostu. Porusza się jak fala. Jej biodra kołyszą się, a długie jasne włosy płyną jak piana na powierzchni morza. Kobieta ma na sobie wzorzysty sarong. Przez rozcięcie z boku widać pięknie opaloną nogę. Biały stanik zasłania piękne piersi; chętnie skrzyżowałabym ramiona na swoich, żeby nie było widać, jaka ze mnie deska. W jednej ręce trzyma butelkę bez etykiety.

Podchodzi do nas i zsuwa okulary na głowę. Jeśli jeszcze się łudziłam, że jej twarz okaże się brzydsza od reszty, to w tym momencie moja nadzieja całkowicie pryska. Kobieta jest cudowna. Evan otwarcie się na nią gapi.

- Jesteście dziećmi z Willi. - Mówi ze słabym, nieuchwytnym akcentem. - Prawda?

- Na to wygląda - odpowiada Evan urażony, że nazwała go dziećmi.

Kobieta przechyla butelkę. Błady płyn nabiera w słońcu dziwnego, tęczowego połysku.

- Musi wam się tu nudzić poza sezonem - ciągnie nieznajoma. - Właściwie nikogo tu nie ma.

Oprócz mnie. Ja jestem cały czas. - Uśmiecha się. - Nazywam się Palmer. Anne Palmer, Gdybyście czegoś potrzebowali, zapraszam do siebie.

Evan milczy, więc ja zabieram głos.

- Dziękujemy - mówię sztywno. Kobieta wcale mi nie wygląda na Anne. Anne to proste, przyjazne imię. - Ale niczego nam nie brakuje.

Kąciki jej ust podwijają się jak płonący papier.

- Nikt nie ma wszystkiego, czego mu trzeba. Szturcham Evana w ramię.

- Powinniśmy wracać do domu.

Ale on mnie ignoruje; patrzy na panią Palmer, która wciąż się uśmiecha.

- Wiesz co... - podejmuje kobieta. - Wyglądasz mi na miłego, silnego chłopaka. Przydałaby mi się twoja pomoc. Mój stary samochód... klasyk, jak to określają, zwykle chodzi bez zarzutu, ale zdarzają się problemy z zapłonem. Mógłbyś zerknąć?

Spodziewam się, że Evan wyjaśni, że nie zna się na samochodach. Nigdy nie słyszałam, żeby się nimi interesował. On jednak na to:

- Jasne, chętnie.

Pani Palmer odchyła głowę, a słońce połyskuje w jej włosach.

- Cudownie. W zamian mogę ci zaproponować coś chłodnego do picia. - Butelka w jej ręku błyska tęczowo.

- Świetnie. - Evan rzuca mi krótkie spojrzenie. - Violet, powiedz starym, gdzie jestem, dobra?

Kiwam głową, ale on chyba nawet tego nie zauważa; już idzie razem z panią Palmer do różowego domu. Ani razu się nie ogląda, ale ona owszem; przystaje przy bramie, obraca się i mierzy mnie pełnym namysłem wzrokiem. Mimo upału czuję zimne dreszcze.

Słońce zaczyna zachodzić i maluje na niebie nad oceanem szerokie czerwone i czarne pasy. Damaris i pozostali pracownicy nakrywają do stołu na tarasie. Siadam na brzegu basenu i zanurzam nogi w wodzie. Od kilku godzin czekam, aż Evan wbiegnie po schodach, ale on się nie pojawia. Mama i Phillip ciągle siedzą na leżakach, tyle że on odłożył książkę. Kłóca się przytłumionymi głosami. Wyłączam się jak zawsze, kiedy się sprzeczą, i próbuję się skoncentrować na szemraniu morza. Wszyscy mówią, że to przypomina odgłos wydobywający się z muszli, ale mnie kojarzy się z regularnym, głuchym rytmem serca i cichym szumem krwi płynącej w żyłach.

Damaris przechyla się przez poręcz z naręczem poskładanych serwetek w rękę.

- Ile osób będzie na kolacji, cztery czy tylko trzy? -pyta.

- Cztery.

- Ale nigdzie tu nie widzę twojego przyrodniego brata.

- Jest na plaży - wyjaśniam. - Wróci.

- Oni nie wracają - mamrocze pod nosem Damaris, ale zanim udaje mi się spytać, co to znaczy, wraca do nakrywania do stołu.

Podczas kolacji panuje milczenie. Tym razem nie jemy koźliny. Podano tylko nadziewane papryki i jakąś cytrynową rybę. W połowie posiłku zjawia się Evan i cicho zajmuje miejsce, jakby liczył na to, że nikt go nie zauważy. Phillip zamiera z widelcem w powietrzu.

- A ty gdzie się podziewałeś?

Evan wbija wzrok w talerz. Zauważam, że się przebrał; nie ma już na sobie kąpielówek.

Wygląda bardzo... czysto.

- Pomagałem naszej sąsiadce naprawić samochód. Powiedziała, że jeśli go odpalę, pożyczę nam łódkę i pozwoli popływać.

- To bardzo ładnie z twojej strony - mówi mama. Odwraca się do Phillipa. - Prawda, kochanie?

Phillip mruczy z ustami pełnymi ryby:

- Nie wiem, dlaczego uznała, że potrafisz uruchomić samochód. Jeszcze z ciebie dzieciak.

Evan rumieni się, ale nie odpowiada; ze skupieniem nabija jedzenie na widelec. Mama znów zwraca się do Phillipa:

- Może jutro wybierzemy się na wycieczkę do Black River?

- Do tej miejsciny, przez którą przejeżdżaliśmy po drodze? - Phillip rozrywa na pół kawałek chleba. - To straszna dziura, Carol.

- Ale słyszałam, że w każdy weekend jest tam targ i zjeżdżają się ludzie z okolicy. Można też popływać łódką po rzece, zobaczyć krokodyle... - Mama urywa pod chłodnym spojrzeniem Phillipa. - Miło by było zrobić coś razem, całą rodziną. Coś przyjemnego.

- Przyjemnego? - powtarza Phillip. - Carol, nie po to przejechałem taki szmat drogi, żeby łązić za jakąś taniochę na targu i gapić się na kłody w rzece, które zdaniem głupiego przewodnika są krokodylami.

- Ale Phillipie... - Mama chce złapać go za rękę, ale strąca szklaną misę z sałatką owocową.

Phillip zrywa się i przeklina, choć nic na niego nie spadło.

Mama robi nieszczęśliwą minę.

- Strasznie cię przepraszam...

Phillip wbija zimny wzrok w resztki sałatki na kafelkach u jego stóp.

- Popatrz, co narobiłaś.

- Phillipie. - Mama, na skraju łez, kuca i zgarnia śliskie kawałki owoców i potłuczonego szkła.

Obsługa najwyraźniej trzyma się na uboczu, bo czuje, że sytuacja jest napięta.

- Mamo, przestań! - wołam.

Ale ona nie słucha. Przecina sobie rękę szkłem; krew kapie na zmiażdżone owoce i rozchlapany sok. Patrzę na Evana i zastanawiam się, czy coś powie. Zawsze lubił moją mamę, a przynajmniej tak mi się wydawało. Ale on tylko gapi się w milczeniu w swój talerz.

Tej nocy nie mogę spać, leżę w łóżku z baldachimem i wpatruję się w sufit. Moskitiera biała jak welon panny młodej faluje w lekkim powiewie z wentylatora. Zza ściany słyszę głos - unosi się, w miarę jak Phillip coraz bardziej się wścieka. Szept mamy wydaje się kontrpunktem do jego krzyku. Im on odzywa się głośniejsz, tym ona ciszej. Obserwuję, jak lśniący, zielony żuczek wędruje po ścianie i delikatnie bada czułkami przestrzeń.

Oczywiście rano nie jedziemy do Black River. Phillip bierze książkę i siada z pochmurną miną w cieniu przy basenie. Mama zostaje w środku; założyła okulary przeciwsłoneczne i duży kapelusz, który rzuca cień na jej twarz; mimo to dobrze widzę, że oczy ma zapuchnięte od płaczu.

Evan leży do południa; wreszcie wychodzi z pokoju, ziewając, w szortach i japonkach. Włosy ma trochę jaśniejsze niż wczoraj, jakby już zdążyły wypłowieć od słońca. Kołyszę się na hamaku na tarasie; na widok Evana odkładam gazetę, podchodzę do niego i zniżam głos.

- Jak dzisiaj spałeś? - pytam w nadziei, że właściwie odczyta moje spojrzenie. Ciekawe, czy słyszał to samo co ja.

- W porządku. - Nie patrzy na mnie. Jego błękitne jak niebo oczy rzucają nerwowe spojrzenia na boki.

Może zastanawia się, czy nas obserwują, czy komentują to, że stoimy za blisko, że rozmawiamy zbyt poufale. Ale nie. Niczego nie dostrzegają. Nigdy nie dostrzegali.

Widywałam Phillipa już wcześniej, ale dopiero gdy mama w końcu zabrała mnie do niego, zorientowałam się, że łączy ich coś poważnego. W tamtym czasie Phillip próbował zrobić na nas obojdwu wrażenie. Ciągle jeszcze uważał, że warto mieć mnie po swojej stronie.

Przychodził w garniturze z bukietem kwiatów dla mamy i prezentem dla mnie - zawsze niezbyt udanym, na przykład z błyszczącą spinką do włosów albo tandetną popową płytą.

Odnosiłam wrażenie, że jego zdaniem wszystkie nastolatki są identyczne i lubią te same rzeczy, ale mama twierdziła, że przecież Phillip się stara i że nie orientuje się w dziewczęcych upodobaniach, bo wychowuje chłopca. Wiedziałam więc, że facet ma syna w moim wieku, ale nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałam, aż do tamtego wieczora, kiedy stanęliśmy u progu jego domu. Mama cały czas rzucała mi nerwowe uśmiechy.

Drzwi otworzył Evan. Uśmiechnął się na mój widok.

„Cześć. Ty pewnie jesteś Violet”.

Stałam na schodach bez słowa. Czuję się ogłuszona, jakbym spadła z drzewa i walnęła w ziemię tak, że zabrakło mi tchu. To przecież niemożliwe, żeby ten chłopak, któremu przyglądałam się codziennie w szkole i zapamiętywałam każdy jego gest - gdy odgarniał włosy z oczu albo bawił się zegarkiem - żeby on był dzieckiem Phillipa. Nudny Phillip o zaciśniętych ustach i ziemistej twarzy nie mógł mieć przecież takiego cudownego syna. Nie przejęłam się tym, że Evan mnie nie poznał. A nawet, że najwyraźniej nie skojarzył, że chodzimy do tej samej szkoły.

- Idziesz na plażę? - pyta teraz. - Pójdę z tobą. Wzruszam ramionami. Przecież mu nie zabronię.

- Dobra.

Na tarasie stoją kosze z ręcznikami plażowymi w kolorowe paski - jak lizaki. Evan zarzuca sobie jeden z nich na ramię i kierujemy się w stronę piaszczystej ścieżki prowadzącej na plażę. Dziś znów pustki, jak okiem sięgnąć tylko piach. Miejsce wygląda jak z reklamy dla *nowożeńców* - cisza, spokój, można całować się bez świadków.

Kładziemy się na ręcznikach - ja na brzuchu, a Evan twarzą do słońca. Wziął ze sobą książkę, chyba *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*, ale nie widzę całej okładki. Byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że lubi czytać. Nigdy bym nie pomyślała, że taki chłopak interesuje

się czymś poza sportem lub ewentualnie dziewczynami. Nigdy nie przyszłoby mi też do głowy, że w ogóle znajdzie czas dla chudej, niepopularnej dziewczyny, która nosi skarpetki nie do pary i męskie koszulki, bo nie ma pojęcia, co na siebie włożyć.

Ale się myliłam. Evan znalazł dla mnie czas. Potrafiłymi godzinami siedzieć w bibliotece Phillipa i rozmawiać albo grać w *Halo* na dużym ekranie telewizora. Machał do mnie na szkolnym korytarzu, nawet jeśli ktoś mógł nas zobaczyć. We wtorki wieczorem, kiedy jadaliśmy kolację u nich w domu, czekał na mnie w samochodzie przed szkołą, z zaciągniętym hamulcem ręcznym, włączonym silnikiem i drzwiami uchylonymi od strony pasażera. Dla mnie.

Wsiadałam i uśmiechałam się do niego.

„Dzięki, że zaczekałeś”.

Przechylał się, żeby zamknąć drzwi.

„Nie ma sprawy”. Rumienił się, najwyraźniej onieśmielony, że tak blisko siedzę.

Pewnego razu byliśmy tak bardzo pochłonięci dyskusją, że nawet kiedy zajechaliśmy pod dom Evana, nadal siedzieliśmy w aucie, a nasze głosy mieszały się z muzyką z radia.

Chciałam odgarnąć za ucho kosmyk włosów, ale poczułam niepewny, delikatny dotyk palców Evana na swojej skórze.

„Violet” - powiedział, kiedy zamilkłam. „Wiesz, że...”

Szyba zadrżała, kiedy Phillip zadudnił w nią pięścią.

„Evan!”

Evan opuścił szybę.

„Wprowadź samochód do garażu” - rozkazał Phillip.

Spojrzałam na białą jak papier twarz chłopaka i już wiedziałam, że czar prysł na zawsze.

- Evan!

Przez chwilę wydaje mi się, że to głos mamy, i unoszę się lekko, żeby zobaczyć, gdzie jest.

Ale na plaży nadal nikogo nie ma. Evan też się podnosi, a ja podążam za jego wzrokiem i widzę panią Palmer. Właścicielka różowego domu stoi w uchylonej bramie. Dzieli nas zbyt duża odległość, żeby jej głos do nas dotarł, a mimo to przysięgłabym, że go słyszałam, jakby krzyknęła mi prosto do ucha. Dziś włożyła długą różową sukienkę, prawie w tym samym kolorze co dom. Wiązanie na szyi eksponuje nagie brązowe ramiona. Duże okulary przeciwsłoneczne zasłaniają część twarzy.

Evan już zbiera ręcznik. Na plecach połyskuje mu ziarenka piasku, jak posypka cukrowa.

- Do zobaczenia, Vi.

Wyciągam szyję, żeby na niego spojrzeć.

- Ale dokąd idziesz?

- Anne powiedziała, że skoro pomogłem jej przy samochodzie, możemy dziś wypłynąć jej łódką. - Widzi moje zdumione spojrzenie i dorzuca: - Zabrałbym cię ze sobą, ale w łódce jest tylko miejsce dla dwóch osób.

Nic nie odpowiadam, a on się odwraca - chyba mu ulżyło, że nie robię problemów. Słońce wali żarem jak młotem. Evan idzie w stronę domu, przechodzi przez bramę, a Anne ją zamyka. Mam wrażenie, że promienie rozsadzają wszystkie odłamki szkła, które zdobią próg bramy. Zaciskam oczy przed palącym blaskiem.

Włóczę się po plaży i robię zdjęcia różowym aparatem cyfrowym - dostałam go w prezencie od Phillipa wtedy, gdy jeszcze mu zależało, żebym go lubiła. Nigdy jakoś szczególnie mi nie zależało, żeby mieć aparat, ale teraz bawię się nim i fotografuję kawałki szkła wypolerowanego przez ocean; kadłuby porzuconych łodzi rybackich; odległą, ciemną linię horyzontu; słowa wypisane na mokrym piasku, już rozmyte, że nie da się ich odczytać; konika morskiego wyrzuconego na brzeg. Rozpaczliwie chwyta oddech maleńkimi ustami. Wrzucam go z powrotem do wody.

W drodze powrotnej do willi zatrzymuję się i patrzę na ocean. Na falach unosi się łódka Anne; biały żagiel wygląda jak dmuchawiec na tle ciemnoniebieskiego nieba. Dostrzegam tylko niewyraźny zarys dwóch postaci. I jednego jestem pewna: Evan kłamał. Na łódce bez trudu zmieściłoby się więcej osób.

Podczas kolacji mama milczy, grzebie widelcem w jedzeniu. Phillip ignoruje i ją, i mnie. Nucąc pod nosem, kroi na talerzu wieprzowinę po jamajsku. Dopiero po chwili zauważa, że Evana nie ma przy stole, a kiedy pyta, gdzie jest, mówię, że został w pokoju, bo boli go głowa. Nie wiem, dlaczego kryję Evana. Może po prostu mam dość wrzasków.

Jeszcze kilka godzin po kolacji powietrze pachnie przyprawami z mięsa. Leżę w hamaku i patrzę w gwiazdy. Mimo zmroku powietrze jest ciężkie od upału. Owady bzyczą męcząco, ich skrzydełka trzaskają i łopoczą w ciemnościach. Z daleka dobiega muzyka: głośne, rytmiczne reggae. Wpatruję się w ocean i zastanawiam, czy zobaczę łódkę na szafirowych falach, widzę jednak tylko płaskie odbicie księżyca.

- Wody, panienko? - To Damaris. W srebrzystym świetle jej twarz wygląda jak rzeźbiona maska. Podaje mi schłodzoną szklankę zroszoną kropelkami po bokach.

Biorę ją i przykładam do skroni.

- Dziękuję.

- A gdzie twój przyrodni brat? - pyta.

- Gdzieś na plaży.

- Z tą kobietą. - Jej oczy lśnią w blasku księżyca. -Z Palmerową.

- Chyba tak. Tak. - Strzepuję komara z kolana; zostawia po sobie kropelkę krwi, jak miniaturowy rubin.

- Nie powinnaś mu pozwolić na te spotkania. Ta kobieta jest niebezpieczna.

- Jak to niebezpieczna? Damaris odwraca wzrok.

- To zły człowiek. Lubi silnych, przystojnych i młodych mężczyzn. Bierze ich, a oni już nigdy nie wracają. Jeśli nie chcesz stracić brata, musisz trzymać go od niej z daleka.

Stracić?

- A niby jak miałabym tego dokonać? Damaris nie odpowiada.

- Właściwie dlaczego akurat mnie mówisz, żebym go powstrzymała? - pytam.

Zerka w stronę willi. Mama i Phillip poszli już spać; światła są pogaszone za wyjątkiem lampionów przy tarasie.

- Bo nikt inny tego nie zrobi.

Kiedy się budzę następnego ranka, Evan śpi na kanapie w salonie. Nadal jest bez koszuli; leży w niewygodnej pozycji, z ręką pod głową. Pod oczami ma jakieś ślady, sińce. Wchodzę, a on porusza się i siada powoli, mrugając, jakby mnie nie rozpoznawał. Nie wygląda na kogoś, kto cały wczorajszy dzień odpoczywał na łodzi.

- Evan? Dobrze się czujesz? - Siadam obok niego na kanapie. Czuję bijący od niego żar, jego rozpaloną skórę, jakby miał wysoką gorączkę. - Coś się wczoraj stało?

Jego oczy przypominają dwa błękitne kawałki marmuru.

- Świetnie się bawiłem - odpowiada mechanicznym głosem jak robot. - To był wspaniały dzień.

Zza bariereki otaczającej taras obserwuję Evana. Idzie ścieżką na plażę, skręca ostro w prawo i kieruje się do domu luster. Brama otwiera się, gdy tylko jej dotyka, i znika w środku.

Rozglądam się. Phillip chyba wybrał się na lekcję golfa, a mama czyta książkę na leżaku przy basenie. Wsuwam stopy w japonki i wchodzę na ścieżkę.

Piasek parzy mnie w stopy przez cienką podeszwę kłapek. Kuśtykam do bramy, a tam nagle żar znika i piasek staje się lodowaty. Przez kraty widzę zdiczały, gęsty ogród pełen wspaniałych kwiatów, w większości posadzonych w wielkich staroświeckich kamiennych amforach. Wyteżam wzrok i dostrzegam coś jeszcze: to wygląda jak odłamki lustra, duże

kawałki szkła wciśnięte w piach, jakby pani Palmer liczyła, że na tej nieurodzajnej ziemi zdoła wyhodować lustrzane drzewo.

Chcę złapać za klamkę od bramy, ale nie ma żadnego uchwytu. Jest tylko dziurka od klucza, a kraty są wyłożone kawałkami szkła. Odbija się w nich moja twarz, blada i niespokojna; wyciągam szyję z nadzieją, że uda mi się zobaczyć, co się dzieje w domu, ale tak jak poprzednio wszystkie zasłony w oknach są szczelnie zaciągnięte. Szarpię za kraty, ostre krawędzie luster kaleczą mi dłonie aż do krwi. Brama ani drgnie.

Po powrocie do willi idę do kuchni, żeby umyć ręce. Patrzę, jak różowe strużki krwi mieszają się z wodą i znikają w odpływie. Odwracam się od zlewu - w drzwiach stoi Damon. Bez słowa podaje mi paczkę plastrów.

Tym razem Evan zjawia się na kolacji, ale ledwie coś skubnie. Cienie pod jego oczami wyglądają jak namalowane. Mama mówi mu, żeby uważał na słońce.

Co wieczór, kiedy wchodzę do sypialni, kołdra jest odchylona, prześcieradło naciągnięte, a poduszki strzepane. Okna są szczelnie zamknięte, żeby do pokoju nie przenikała nocna wilgoć; klimatyzator szumi cicho i niemal mrozi powietrze.

Leżę w łóżku i zastanawiam się, czy Evan jest u siebie, czy - nakryty kołdrą - patrzy w sufit i rozmyśla o mnie tak samo, jak ja o nim. A może nasłuchuje, kiedy znów zaczną się wrzaski. Albo tylko gapi się pustym wzrokiem przed siebie jak podczas kolacji.

Spięcia zaczęły się po zaręczynach. Phillip przestał się uśmiechać. Zdystansował się. Jego gniew buchał jak żar z otwartego piekarnika. Mama skakała wokół Phillipa, starając się go rozchmurzyć. Nie mogłam na to patrzeć. Nie wiedziałam - przynajmniej nie na początku - czy Evan ma podobne odczucia.

Pewnego wieczora siedzieliśmy razem w bibliotece i graliśmy w *Kingdom Hearts 2*; waliłam w klawisze z całej siły, jakbym chciała komuś przyłożyć. Ale Evan i tak okazał się lepszy. Nagle usłyszeliśmy krzyki. Łzawy głos mamy i wściekły ton Phillipa przebijały się przez elektroniczne dźwięki z Xboxa.

Evan cisnął dżoystick, podszedł do drzwi i zatrasnął je z hukiem. Odwrócił się do mnie, dysząc ciężko.

- Nienawidzę go! - wrzasnął. - Nienawidzę go. Nic nie powiedziałam. Myślałam o tym, jak zbladł

wtedy na podjeździe, kiedy Phillip załomotał w szybę samochodu. Nie wiem, czy to jego przerażona twarz stanęła mi teraz przed oczami, czy twarz mojej mamy.

- Nie wierzyłem, że zechce go jakakolwiek kobieta. Że twoja mama zgodzi się wyjść za niego. Gdybym...

Powinłam go zmusić, aby dokończył zdanie, myślę, przewracając się w łóżku. Sięgam po poduszkę, żeby podłożyć ją sobie pod głowę, i natrafiam na coś ręką: na jakiś przedmiot, twardy i zimny. Zaciskam na nim palce, wyciągam... To klucz z ciemnego metalu, z wygiętym uchwytem z brązu. Połyskuje słabo w blasku księżyca.

Budzę się z kluczem w ręce. W kostiumie kąpielowym myję się pod prysznicem na dworze.

Patrzę na falujący ocean i splukuję szampon z włosów. Mama i Phillip są przy basenie.

Czytają wyciągnięci na leżakach stojących obok siebie. Mama w czapce z kolorowym, plastikowym daszkiem, który rzuca jasnoniebieski cień na jej twarz. Patrzy na Phillipa, mówi coś głośno, z ożywieniem, ale on nie wystawia nosa zza książki i nie raczy nawet odpowiedzieć. Równie dobrze mogłoby jej tam nie być.

Piasek parzy mnie w stopy przez klapki. Zaciskam zęby, dopóki podłóżę znów nie robi się zimne przed domem pani Palmer. Dochodzi południe, słońce stoi w zenicie. Odnoszę wrażenie, jakby rozżarzony gwóźdź przebijał się przez kolejne powłoki atmosfery i wypalał mi skórę na karku. Pot spływa strumieniami pod kostiumem; wsuwam klucz do zamka w bramie, przekręcam, aż w końcu słyszę delikatne kliknięcie.

Brama otwiera się i wkraczam do ogrodu. Muszę uważnie omijać sterczące z piasku odłamki szkła. Każdy z nich mógłby mi odciąć palec, gdybym na niego nadepnęła. Podnoszę głowę dopiero wtedy, gdy docieram pod sam dom. Z bliska róż jest jeszcze bardziej jaskrawy. Na gładkim, prostym tynku widnieje różany wzorek ułożony z kawałków mozaiki. Na drzwiach wejściowych namalowano białą różę, ale tam nie podchodzę. Przesuwam się wzdłuż ściany budynku; czuję się jak złodziej, intruz. W wyobraźni znów widzę twarz pani Palmer, jej okulary przeciwsłoneczne przypominają oczy czarnej muchy. Z trudem przełykam ślinę; w ustach mi zaschło.

Na końcu domu jest lekko uchylone okno, na zewnątrz jak flaga powiewa kawałek zastłonki. Wspinam się na palce, łapię za parapet, żeby się podciągnąć, i zaglądam do pokoju.

Salon z prostymi, nowoczesnymi meblami - bardzo się różni od egzotycznego wyposażenia naszej willi. Stolik, czerwona kanapa, bukiet kwiatów w czarnym wazonie, telewizor z zakurzonym ekranem - pewnie rzadko używany. Kwadratowy obraz w ramie wisi odwrócony przodem do ściany.

Na kanapie leży Evan. Jakby spał, ręka zwisa mu luźno, palce muskają podłogę. Włosy opadły na twarz i unoszą się lekko przy każdym oddechu, jak wodorosty poruszane prądem morskim.

Słychać jakiś szelest - w pokoju zjawia się pani Palmer z napojem w ręce. W szklance pływają kostki lodu i plasterki li mon ki. To chyba dzin z tonikiem, jeden z ulubionych drinków Phillipa. Pani Palmer odstawia alkohol na stolik i odwraca się do Evana. Ma na sobie biały zwiewny szlafrok w filmowym stylu, narzucony na czarne bikini, i okulary przeciwsłoneczne. Kto nosi ciemne okulary w domu? I szpilki?

Muszą boleć ją stopy, myślę sobie. Nachyla się nad Evanem. Czuję bolesny skurcz żołądka, kiedy odgarnia mu włosy. Zbliża usta do jego ust. Zaraz się pocałują.

Ale nie - zawisa nad nim jak pszczoła nad kwiatem. Jej włosy opadają jasnozłotą kaskadą. Strasznie bym chciała mieć takie. Pani Palmer rozchyła usta; Evan też, choć nadal nie otwiera oczu. Oddycha coraz szybciej. Zaciska dłonie w pięści. Z jego ust unosi się coś białawego, smuga dymu?

Pani Palmer prostuje się, wyciąga rękę i przekręca ramę wiszącą na ścianie. To lustro z dziwnie rozmazaną powierzchnią. Kobieta odwraca się z powrotem do Evana; biały dym formuje się w słup, a kiedy wzlatuje, szklista tafla zaczyna delikatnie migotać. Pani Palmer znów nachyla się nad Evanem...

Rozluźniam uchwyt na parapecie i spadam, kostka wygina mi się pod nienaturalnym kątem i omal się nie przewracam na piach. Z piersi wydobywa mi się jęk.

- Kto tam?! - Słyszę dziwnie zachrypły krzyk pani Palmer. - Kto tam jest? Biegnę.

Kiedy docieram do willi, serce mi wali, a podeszwy stóp płoną. Wkradam się do kuchni drzwiami na tyłach, gdzie w cieniu kwitną przykurzone kwiaty.

Damaris nie ma w pobliżu; kuchnia jest pusta, talerze i naczynia ułożone są obok zlewu na kolorowej kuchennej ściereczce. Odkręcam wodę i myję brudne ręce, serce ciągle mi łomocze. „To zła kobieta. Lubi silnych, przystojnych i młodych mężczyzn. Bierze ich, a oni już nigdy nie wracają”.

Wychodzę na taras; mama leży na leżaku, częściowo na słońcu, częściowo w cieniu. Na kolanach trzyma otwartą książkę, tę samą, którą czyta od tygodnia. Nie sądzę, żeby posunęła się więcej niż kilka stron naprzód. Podnosi wzrok, dostrzega mnie i przywołuje gestem.

Siadam u stóp leżaka, a mama uśmiecha się do mnie niewyraźnie.

- Dobrze się bawisz, Violet?

Mam sucho w ustach; chcę powiedzieć o tym, co widziałam, o Evanie, ale mama wygląda, jakby była bardzo daleko, jakby odpływała w głąb morza. Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem czułam, że naprawdę się na czymś skupia, a zwłaszcza na mnie.

- Jasne.

- Prawie się nie widzimy - mówi zmartwiona. - Ale to chyba lepiej, że dotrzymujecie sobie z Evanem towarzystwa...

Myślę o Evanie leżącym bezwładnie z ziemistą twarzą na kanapie.

- Martwię się o niego, mamó.

- Martwisz się? - Zza ciemnych okularów widać jej roztargnione spojrzenie. - Powinnaś się relaksować na wakacjach.

- Ale... z nim jest coś nie tak... Wzdycha.

- Nastoletni chłopcy bywają humorzaści i marudni, Vi. To wszystko przez hormony. Nie zwracaj uwagi na jego humory i tyle. Musi przywyknąć do nowej sytuacji rodzinnej, zresztą tak samo jak ty.

- Mamó - zaczynam łagodnie i zbieram się na odwagę. - Jesteś szczęśliwa?

Siada prosto i patrzy na mnie zaskoczona.

- No pewnie! Sama zobacz. - Zatacza ręką szeroki łuk, obejmując morze, niebo i plażę. -

Wcześniej nawet przy moich dwóch etatach nie mogłybyśmy sobie pozwolić na takie fajne wakacje.

Wcale nie są fajne. Mam to już na końcu języka, jednak na widok miny mamy milknę. Czuję się tak, jakby stała przede mną w nowej sukience i błagała, żebym powiedziała, że świetnie w niej wygląda, a ja nie potrafię się zdobyć na to, żeby wyznać prawdę: że sukienka jest brzydka, tandetna, poplamiona i niegustowna. Kocham mamę, więc trzymam język za zębami.

Zsuwa okulary i przez krótką chwilę wydaje mi się, że naprawdę na mnie patrzy.

- Wiem, że Phillip zachowuje się czasem gwałtownie - odzywa się w końcu. - To skutek przemęczenia. Ma bardzo stresującą pracę. Ale nas kocha i jest dobry. Widzę to w jego oczach. Rozumiesz? - Kontynuuje, nie czekając na moją odpowiedź: - One mówią wszystko. Są oknem duszy.

- Zwierciadłem - poprawiam. Mama mruga.

- Co?

- Oczy są zwierciadłem duszy. Nie oknem. Kładzie chudą rękę na mojej dłoni.

- Jesteś bardzo mądra - szepcze. - Tak dużo wiesz.

Ogród od frontu graniczy z pylistą drogą gruntową, która prowadzi do Black River.

Bambusowe ogrodzenie oddziela dom od sporadycznie przejeżdżających samochodów, skrywa go przed światem. W ogrodzie rośnie mnóstwo kwiatów: fioletowej jakarandy, różowych storczyków, czerwonej bugenwilli. Widzę w cieniu Damona, biały kapelusz ma zsunięty na tył głowy. Przygląda się jednemu ze zraszaczy. Wszystko wygląda tak normalnie, że aż mi głupio, gdy podchodzę do niego i mówię:

- Muszę porozmawiać z twoją siostrą.

Czuję na sobie niezgłębione spojrzenie jego ciemnych oczu.

- Z moją siostrą?

- Z Damaris. Proszę.

Po chwili wyciąga telefon, wybiera numer i szybko rzuca kilka słów w dialekcie - nic nie rozumiem. Wyłącza telefon, odwraca się do mnie i szorstko kiwa głową.

- Zaczekaj na nią pod drzewem ognistym. - Wskazuje duże, powykrzywiane drzewo z czerwobrunatnymi kwiatami. - Tam.

Stoję pod rozłożystą koroną, a rdzawe kwiaty osypują się na mnie za każdym razem, kiedy gałęzie poruszy wiatr. Płatki delikatnie muskają mi szyję i ramiona; przypominają dotyk owadzych skrzydeł. Mam ochotę krzyknąć i je odgonić, ale się powstrzymuję. Wzdycham z ulgą, kiedy w bambusowej furtce pojawia się Damaris w bawełnianej sukience w kolorach zachodzącego słońca. Podchodzi do mnie z ponurą miną,

- Widziałaś ją - mówi bez zbędnych wstępów. - Prawda?

Wyrzucam z siebie jednym tchem: brama, klucz, ogród pełen potłuczonego szkła, dziwna scena w pokoju. Obserwuje mnie z kamienną twarzą.

- Kim ona jest, Damaris? Czym jest? - pytam w końcu.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak. Błagam, powiedz mi, Damaris.

- To czarownica. Bardzo stara. Nie wszystkie czary są złe, ale jej tak. Kiedyś była właścicielką sporej plantacji, a raczej jej mąż. Podobno ją bit. Zbuntowała się i zamordowała go gołymi rękami. Później zaczęła zabijać niewolników, jednego po drugim. Ale tylko mężczyzn. Rozkochiwała ich w sobie, a potem wysysała z nich życie i zostawiała dogorywających, jak puste łupiny, wyłuskane strąki. Woli młodych i przystojnych, ale jeśli nie ma takich, bierze każdego. Zwabia za pomocą magicznego napoju, a kiedy już go wypiją, przejmuję nad nimi władzę. Wyciąga dusze i karmi się nimi, dzięki temu pozostaje młoda i piękna. Robi tak od setek lat. Czasem zabija szybko, a czasem zwleka, bawi się swoją ofiarą, tak jak twoim bratem.

- Evan nie jest moim bratem - wycedzam przez zęby. - Ale skoro wszyscy tutejsi wiedzą o uczynkach pani Palmer, dlaczego nikt jej nie powstrzyma?

- Ona nie może umrzeć - wyjaśnia Damaris. - Dawno temu zabili ją i pochowali w specjalnie oznakowanym grobie, żeby już nie wyszła na powierzchnię. Ale... nic z tego. Jej magia jest silna i zabójcza, a ona żyje wiecznie. Zrób jej krzywdę, a będzie się mścić najpierw na tobie, potem na twoich dzieciach. Ty jednak nie jesteś stąd. Wyjedziesz daleko i cię nie osiągnie. Mogę ci więc wyjawic, jak ją pokonać. Palmer żywi się zabieranymi duszami. Zniszcz je, a odbierzesz jej moc na tyle długo, żeby uwolnić swojego przyrodniego brata.

- A gdzie ona je trzyma?

- Nie wiem. Mądra jesteś, może je odzujesz. - Zerka na mnie z ukosa. - Powiem ci jedno. Anne Palmer nigdy nie rezygnuje z mężczyzny, który wpadł w jej szpony. Nie za darmo.

- Dlaczego więc mi o tym mówisz? - Mój głos przeradza się niemal w krzyk. - Skoro nic nie zdołam zrobić, żeby ocalić Evana, skoro już za późno...?

Czerwony kwiat odrywa się od gałęzi i spada na ramię Damaris jak kropla krwi.

- Powiedziałaś, że nigdy nie rezygnuje z mężczyzny za darmo - zaznacza z naciskiem. - Wcale nie twierdzę, że nie zrezygnuje za coś w zamian.

Tego wieczora Evana nie ma przy kolacji. Phillip marszczy czoło, między brwiami pojawia mu się głęboka bruzda jak od cięcia nożem.

- Violet... - Zawsze przeciąga moje imię, jakby chciał mi za chwilę palnąć kazanie: Violet. - Gdzie Evan?

Wbijam wzrok w talerz z curry, rybą zawiniętą w liść bananowca i kawałkami owoców lśniącymi jak klejnoty. Na widok jedzenia wszystko przewraca mi się w żołądku.

- Chyba na plaży.

- To idź po niego. - Bierze do ręki widelec. - Nigdy nie siada z nami do posiłków. Dość tego! Mama ledwie zauważalnie kiwa głową, jakby się bała, że zostanie przyłapaną na udzielaniu mi pozwolenia. Odkładam serwetkę i wstaję.

- Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć. - Niczego nie obiecuję.

Słońce już zaszło, piasek zrobił się chłodny i miękki. Lekki wiatr od oceanu rozwiewa mi włosy, chłodzi pot na karku i między łopatkami. Patrę na dom pani Palmer. W gęstniejącym mroku jest ciemny; wygląda jak kwiat, który zamknął na noc płatki. Myślę o słowach Damaris, a potem o przerażającej twarzy pani Palmer, kiedy pochylała się nad Evanem; serce bije mi mocno. Nie mogę tam iść. Nie mogę mu pomóc ani go ocalić. Po co Damaris mi o tym wszystkim mówiła? Widziała przecież moją matkę z Phillipem. Powinna wiedzieć, że nie potrafię nikogo uratować, nawet swoich bliskich.

Zawracam do willi i *wtedy coś* dostrzegam: niebieski skrawek na skale przy wejściu do jaskini, w której byłam pierwszego dnia po przyjeździe. Oderwany kawałek koszulki Evana. Rozglądam się, czy nikt mnie nie obserwuje, i przeciskam bokiem przez szparę. Prześlizguję się przez wąskie gardło krótkiego tunelu, a zaraz potem wychodzę na otwartą przestrzeń, gdzie kolorowe mchy świecą jak lampiony. Dopiero po chwili widzę Evana. Siedzi na wilgotnym piasku przy ścianie, z podciągniętymi nogami i twarzą ukrytą w dłoniach.

- Evan. - Przykucam przy nim. - Co się dzieje? Podnosi głowę. Jestem w szoku. Od wczoraj jego

twarz jeszcze bardziej się zapadła i zmatowiała, obwódki wokół oczu ściemniały. Pod znoszoną niebieską koszulką rysują się wychudzone ramiona. Wcześniej był odrętwiały, jakby dostał znieczulenie. Teraz środek przestał działać, a Evan - pogrążony w rozpacz - cały się trzęsie. Taki stan wydaje się znacznie gorszy.

- Vi - szepcze. - Rozzłościłem ją. Nie wiem, co takiego zrobiłem, ale kazała mi się wynosić.

- Pani Palmer? - Głaszczę go po ramieniu, ściskam mocno. Nawet tego nie zauważa. - Nie powinieneś się do niej zbliżać. To zła kobieta.

- Muszę przy niej być - odpowiada. - Bez niej czuję się tak, jakbym nie mógł oddychać.

Jakbym umierał. - Zaczyna niespokojnie grzebać w piasku. - I tak tego nie zrozumiesz.

Och. To boli. Dlaczego traktuje mnie jak dziecko pozbawione uczuć? Wstrzymuję powietrze.

- Kochasz ją?

Wybucha suchym rechotem, któremu daleko do prawdziwego śmiechu.

- A kochasz wodę? Albo jedzenie? Czy po prostu musisz je sobie zapewnić? - Opiera głowę o ścianę jaskini. - Violet, ja chyba... umieram.

- Zabiorę cię do domu. Zapomnisz o niej, zobaczysz.

- Nie chcę zapominać - szepcze. - Przy niej widzę... wszystko. Widzę kolory...

- Evan. - Policzki mam mokre od łez; chwytam go pod brodę i odwracam twarzą do mnie. - Pozwól sobie pomóc.

- Pomóc sobie? - *powtarza*, ale to brzmi bardziej jak „Proszę, pomóż mi”; otwiera oczy.

Nachylam się do niego, nasze usta stykają się w ciemności; wspominam, jak całowaliśmy się na weselu, gdy oboje byliśmy lekko wcięci i chichotaliśmy pod daszkiem ze sztucznych białych kwiatów w ogrodzie. Tamten pocałunek smakował szampanem i szminką, teraz *czuję morze* i sól. Głaszczę jego suchą skórę. Nawet kiedy kładzie się na mnie, kiedy tulę go w ramionach, wydaje się lekki jak dryfujące drewno, a gdy wypowiada czyjeś imię, nie jest to moje *imię*.

Przez całą drogę do willi muszę pchać Evana przed sobą. W końcu docieramy do domu.

Mama i Phillip skończyli już jeść - przy stole nie ma nikogo, wokół talerza ze smażonymi bananami zebrał się rój much. Lekko popycham Evana na leżak; siada bezwładnie i zanurza twarz w dłoniach.

- Zaraz wracam - mówię, chociaż do niego i tak niewiele dociera.

Wchodzę do salonu przez podwójne drzwi. Nie wiem, czego właściwie się spodziewam - że jeśli zacznę błagać mamę i Phillipa, to skrócimy wakacje i wylecimy stąd pierwszym samolotem? Ze zabiorą Evana do szpitala, choć Damaris twierdzi, iż to nie robi już żadnej różnicy?

Ich sypialnia jest zamknięta; unoszę rękę, żeby zapukać. Zza drzwi słychać krzyki Phillipa. Mama próbuje go uspokoić, ale bez skutku. Phillip podnosi ton, mimo że głos mamy cichnie i zamienia się w słabe westchnienia. Mama płacze. Zastygam w pół gestu jak posąg. Szloch przeciska się cicho przez szczeliny jak szum fal zawracających do morza; nagle ucina go plaśnięcie, gwałtowne niczym wystrzał z pistoletu. Słyszę stłumiony okrzyk mamy i nagle zapada cisza.

- Carol... - odzywa się Phillip.

Nie potrafię stwierdzić, czy mówi z żalem, czy po prostu ze znużeniem. Nie wiem, czy mnie to obchodzi. I tak już zostanie, myślę sobie. Przez resztę życia będę nasłuchiwać pod zamkniętymi drzwiami, jak Phillip powoli wyniszcza moją matkę, wykrwawia jej duszę na śmierć, równie skutecznie co pani Palmer duszę Evana.

Odsuwam się od drzwi i od dramatycznej ciszy W salonie, w skórzanej torbie, która wisi na haczyku, połyskują kije golfowe Phillipa. Biorę dziewiątkę i wychodzę na taras. Evan leży na leżaku tam, gdzie go zostawiłam. W ogóle się nie rusza, więc sprawdzam, czy żyje, a dopiero potem skręcam na ścieżkę prowadzącą nad ocean.

Nocne morze jest czarne jak atrament. Ciekawe, czy dostrzegłabym na jego powierzchni odbicie swojej twarzy, gdybym unosiła się nad nim jak zjawa. Fale uderzają o brzeg, rozbryzgując białą pianę, a ja wślizguję się przez bramę do ogrodu pani Palmer. Wszędzie z piasku wystają odłamki szkła, przypominają płetwy rekina. Znad oceanu napływa parne i gorące powietrze. Podnoszę ciężki, masywny kij golfowy. Opuszczam go gwałtownie na najbliższy odłamek. Przypuszczałam, że się od niego odbije. A jednak szkło się roztrzaskuje i rozsypuje wkoło w pajęczynę złożoną z milionów drobinek. Z lustra unosi się biały obłoczek, jakby ktoś wydmuchnął dym z papierosa. Smuga rozmywa się w *wieczornym* powietrzu.

Stoję z kijem w ręku i oddycham ciężko. A potem znów biorę zamach i znów. Cudowny, srebrzysty odgłos tłuczonego szkła wypełnia powietrze. Nagle zapala się lampa na ganku. Światło razi mnie w oczy, ale ja nadal wymachuję kijem, walę w jedno lustro po drugim, aż wreszcie ktoś łapie za drugi koniec dziewiątki i wyszarpuje mi ją z wściekłością. Przede mną stoi pani Palmer. Nie jest już idealnie opanowana; ma wilgotne, potargane włosy i szeroko otwarte, dzikie oczy. W długiej czarnej staroświeckiej sukni z szerokimi rękawami rzeczywiście wygląda jak czarownica.

- Co ty sobie wyobrażasz?! - wrzeszczy. - To własność prywatna, moja własność...

- One nie należą do pani - oznajmiam stanowczo. Mój głos ani drgnie, ale odruchowo robię kilka kroków w tył; japonki chrzęszczą na ziemi. - To są dusze.

Wpatruje się we mnie.

- Dusze?

- To życie, które pani kradła. Zamknęła je pani w lustrach i tam je przechowuje.

- Zwariowałaś - warczy.

- Wiem, jak pani to robi - ciągnę. - Wszystko widziałam przez okno.

Palmer rozdziawia usta. Jej wzrok wędruje do klucza, który trzymam w ręce.

- Damaris. - Kiwa głową. - Ta kobieta jest zdecydowanie zbyt ciekawska. Nie rozumie, że nie wolno wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Ma pani zostawić mojego przyrodniego brata w spokoju - nakazuję. - Proszę natychmiast uwolnić Evana.

Mimo całej wściekłości jej usta wyginają się w uśmiechu.

- Damaris na pewno ci wyjaśniła, że to nie takie proste.

- Jeśli go pani nie wypuści, wrócę tu, roztrzaskam całą resztę, powiem, gdzie pani przetrzymuje dusze, a kiedy wszyscy się dowiedzą...

- Twój brat przyrodni - szepcze. - Wspominał o tobie. Podobno się w nim zakochałaś.

Powiedział, że to nawet zabawne. TM W jej głosie nie słychać już wściekłości; mówi melodyjnie, tak jak wtedy, gdy częstowała Evana napojem. - On się tobą bawił, Violet.

Dlaczego więc wkładasz tyle wysiłku, żeby go uratować?

Jej słowa ranią. Powtarzam sobie, że kłamie, ale i tak czuję piekący ból, jakby ktoś polewał skałczenie sokiem z cytryny. Głęboko wciągam powietrze.

- Kocham Evana. I wiem, że może go uratować tylko ktoś, kto go kocha...

- Ale on nie kocha ciebie - rzuca pani Palmer. - Tacy są mężczyźni. Biorą miłość i ją deformują, aż zamieni się w kij, którym mogą bić. - Patrzy na kij golfowy wzrokiem pełnym nienawiści. - Powiedz mi, że nie mam prawa wyrównać rachunków, Violet. Ze nie postąpiłabyś tak samo na moim miejscu. Mężczyźni to przekleństwo w życiu kobiet.

Przed oczyma stają mi Phillip i matka zbierająca zakrwawionymi palcami owoce z podłogi.

- Nie wiem, co sądzę na temat mężczyzn - odparowuję. - Ale Evan to jeszcze młody chłopak. Nie jest ani dobry, ani zły. Nie zasługuje na karę.

- Dorośnie i upodobni się do całej reszty - cedzi przez zęby pani Palmer, która zamordowała swojego męża w jego własnym łóżku. Mówi, jakby z bardzo daleka: - Wszyscy tacy się stają. Dlatego go nie uwolnię.

Myślę o mężu Anne Palmer, o człowieku z kijem.

- Słyszałam, że nie zrezygnuje pani z Evana za darmo - odzywam się po chwili. - A co jeśli znajdę na jego miejsce kogoś lepszego?

W ciemnościach widzę uśmiech Anne Palmer jak nagły, zaskakujący błysk świetlika. ~ Słucham. - Unosi brwi.

Rano budzi mnie jasne słońce i śpiew ptaków. Leżę przez dłuższą chwilę w łóżku zasłoniętym moskitierą. Dobrze byłoby wiedzieć, że wczorajszy wieczór się nie wydarzył, ale kiedy odwracam głowę, na stoliku nocnym, obok budzika widzę plastikową butelkę. Jej jasna, gęsta zawartość połyskuje tęczowo jak plama ropy na wodzie.

Narzucam na siebie batikową sukienkę plażową i wsuwam stopy w japonki. Na kostkach mam pełno małych ranek tam, gdzie rozpryskujące się szkło pocięło mi skórę, ale każdy na pewno weźmie je za ukąszenia komarów. Wychodząc z pokoju, biorę butelkę. Wydaje się cięższa, niż gdyby była napełniona wodą. Kiedy ją przechylam, gęsty płyn chlupocze.

W kuchni zastaję Damaris, która smaży bekon na patelni. Nic nie mówi, ale widzę, że obserwuje mnie kątem oka, kiedy wyciągam z szafki wysoką szklankę i nakładam do niej lodu. Odkręcam nakrętkę z plastikowej butelki od pani Palmer i nalewam płyn do szklanki z lodem. Napój gęsty jak lava powoli wycieka przez szyjkę. Pachnie trochę jak ziołowe lekarstwo. Damaris podchodzi i wrzuca do szklanki plasterki cytryny.

- Masz. Powiedz mu, że to na ból głowy.

Przytakuje i wychodzę na taras. Evan ciągle leży na leżaku, ale ma już otwarte oczy, a jego skóra nabrała trochę koloru.

„Nic nie będzie pamiętać?” - Spytałam panią Palmer wczoraj wieczorem w jej lustrzanym ogrodzie; wokół nas, jak wyszczerzone zęby, połyskiwały dusze. - „Obiecuję pani?”

„Tak. Zapamięta tylko wakacje. Słońce. Piasek. A potem wypadek”.

Mama siedzi na krześle obok Evana, nie daje mu spokoju i prosi, żeby przyłożył sobie do twarzy zimny ręcznik; on niespokojnie odsuwa jej rękę, ale przynajmniej kiedy odmawia pomocy, robi to stanowczym głosem. Mama znów nosi okulary przeciwsłoneczne, jednak nie zakrywają siniaka na policzku. Spoglądam na nich dłuższą chwilę, dopiero potem idę do zacienionej altanki, gdzie Phillip czyta gazetę.

- Cześć-mówię.

Podnosi wzrok - w słońcu jego wąska, zimna twarz wydaje się pozbawiona wyrazu. Patrzy na mnie bez najmniejszego poczucia winy, bez wyrzutów sumienia, że wczoraj wieczorem zrobił coś - moim zdaniem - niewybaczalnego, nawet jeśli moja mama stwierdzi inaczej. Ale wątpię, żeby interesowało go, co myślę. Nigdy nie traktował mnie jak w pełni ukształtowaną osobę, która może udzielać przebaczenia lub nie.

„Wszystko musi odbyć się szybko” - zapowiedziałam pani Palmer. - „Żadnego przeciągania. Chcę, żeby od razu było po sprawie”.

Uśmiechnęła się, odsłaniając ostre, białe zęby. Od razu, obiecała i podała mi coś płaskiego, lśniącego i ostrego. Odłamek stłuczonego lustra.

Duszę Evana.

„Jest twoja” - powiedziała. „Możesz to zatrzymać. Albo stłuc; w ten sposób uwolnisz ukochanego”.

W nocy wsunęłam odłamek pod łóżko, lśnił w świetle księżyca. Rozbiję go dziś wieczorem, powiedziałam sobie. I oddam Evanowi jego duszę. Tak, dziś wieczorem.

Lub jutro.

Teraz, za dnia, napój wygląda jak zwykła woda z kawałkiem cytryny. Podsuwam Phillipowi szklankę, Mimo to nadal słyszę syczenie gęstego płynu, który chlupocze między kostkami lodu. A może tylko to sobie wyobrażam.

- Damaris prosiła, żeby ci to przynieść - wyjaśniam. - Pomoże ci na ból głowy.

Phillip marszczy brwi.

- Skąd wiedziała, że boli mnie głowa? - Po chwili odkłada gazetę i bierze ode mnie specyfik. - Dziękuję, Violet - mówi tym swoim sztywnym, oficjalnym tonem.

I upija łyk. Obserwuję, jak przełyka płyn. Nigdy wcześniej nie patrzyłam na Phillipa z taką fascynacją. W końcu odstawił szklankę.

- Co to za sok? - pyta.

- Aloesowy. Podobno ma działanie lecznicze.

- Ludowe zabobony - prychna i znów sięga po gazetę.

- Jeszcze jedno. Ta kobieta, której pomagał Evan, ciągle ma zepsuty samochód. Evan jednak nie umiał go naprawić.

Phillip wydyma wargi.

- Od razu jej to mogłem powiedzieć. Chłopak w ogóle nie zna się na samochodach.

- Pytała, czy nie mógłbyś zerknąć - dodaję. - Pewnie ty potrafiłbyś naprawić auto.

- Zgadza się. - Znów podnosi szklankę, opróżnia ją i cmoka. - Chyba powinienem pomóc tej biednej kobiecie. - Wstaje.

- Byłoby wspaniale. - Wskazuję na ścieżkę. - Mieszka w różowym domu. Czeka na ciebie.

„To mój ojczym - powiedziałam pani Palmer. - Jest silniejszy od Evana. Starszy. I bije moją matkę. Tak jak mąż panią”.

Phillip niezręcznie klepie mnie po ramieniu.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Violet.

Nie, myślę sobie. Dobra to akurat nie jestem. Bo gdzieś tam w różowym domu czeka Anne Palmer, z czerwonymi ustami i szklanym ogrodem, ze swoimi lustrami, które zabiorą ci duszę. Patrzę, jak Phillip wbiega na ścieżkę, trochę sztywno w nowych klapkach, a słońce odbija mu się od głowy w miejscu, gdzie zaczęła pojawiać się łysina. Nic nie mówię. Wiem, że on już nigdy nie wróci.

Claudia Gray

Nie lubię twojej dziewczyny

CZEŚĆ I

WAKACYJNA LISTA RZECZY:

- letnia sukienka
- sandałki
- czarne bikini, na wypadek gdybym się ośmieliła
- fioletowy kostium jednoczęściowy, na wypadek gdyby się nie ośmieliła
- sterylizator parowy na kuchenkę
- okulary przeciwsłoneczne
- tłuczone muszle małży
- jad żmii
- skrzydła ciem
- iPod

SAMODOSKONALENIE - CELE:

Tego roku na wybrzeżu zamierzam:

- być miłsza dla Thea; mama twierdzi, że on bardzo mnie podziwia, chociaż okazuje to wyłącznie przez wkładanie mi zdechłych rozgwiazd do butów
- po sabatach powtarzać materiał z mamą, żebym nie zapomniała wszystkiego przed powrotem do domu
- ignorować Kathleen Pruitt i jej złośliwości, bo nie wolno mi zniżać się do jej poziomu
- Wiem, że jesteś metodyczna, ale to już śmieszne. Cecily Harper podniosła wzrok znad notesu i zobaczyła, że w drzwiach stoi jej tata, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uśmiechem na twarzy. Teatralnym gestem podkreśliła ostatnie słowa.
- Sporządzanie list to jeden z siedmiu zwyczajów skutecznego człowieka.
- Skarbie, listy już mnie nie dziwią - odparł tata Cecily. - Robisz je, odkąd nauczyłaś się pisać. Ale twoja walizka... Posegregowałaś ubrania kolorami. Zerknęła na otwarty bagaż, który leżał na łóżku. Białe rzeczy z lewej, czarne z prawej. Pomiędzy nimi upchnęła kolorowe ciuchy.
- A ty jak się pakujesz? - spytała, wzruszając ramionami.
- Tata z czułością potargał jej włosy. Trochę to zirytowało Cecily, bo przed chwilą uczesała się w porządny kucyk, jednak wkrótce przestała o tym myśleć. Znacznie bardziej zaniepokoił ją fakt, że ojciec wypatrzył w walizce coś niezwykłego.
- Co to? - Marszcząc brwi, podniósł fiolkę ze skrzydłami ciem.
- Ee... - Usiłowała wymyślić jakieś kłamstwo, ale nie potrafiła. - No więc...
- Na twarzy taty ciekawość ustąpiła miejsca obrzydzeniu.
- Cecily, czy to są skrzydła owadów?
- Powiedz mu prawdę.
- Tak. Ciem. Do magicznych zaklęć. - dodała z nagłą śmiałością. Zarumieniła się z emocji.
- Co? - Ojciec wytrzeszczył oczy.
- Cecily, nie drażnij się z tatą. - Do sypialni wkroczyła matka i energicznie przechwyciła słoik. - Simonie, przecież to płatki mydlane. Do kąpeli. Specjalnie produkują je w kształcie skrzydełek ciem i oczu traszek czy czego tam jeszcze, żeby wyglądały jak magiczne rekwizyty. To chyba ma

coś wspólnego z Harrym Potterem.

- Znowu Harry Potter. - Tata zachichotał. - Ci goście od marketingu nie przepuszczą żadnej okazji...

Mama wcisnęła słoik z powrotem do walizki, obrzucając córkę ostrzegawczym spojrzeniem.

- No, pośpieszcie się - powiedziała niespodziewanie pogodnym głosem. - Za piętnaście minut ruszamy na lotnisko. Kochanie, sprawdź, co u Thea, dobrze? Przed chwilą widziałam, jak próbuje wcisnąć Grubcia do bagażu podręcznego.

- O rany! - Ojciec ruszył truchtem wzdłuż korytarza. - Tylko tego trzeba, żeby zatrzymała nas ochrona z powodu chomika.

- Czy znów musimy o tym rozmawiać? - wymamrotała matka, ledwo tata oddalił się na wystarczającą odległość.

- Och, jakże mi przykro, że naraziłam na niebezpieczeństwo całą naszą egzystencję. - Cecily przyjęła melodramatyczną pozę, potrząsnęła włosami i zacisnęła dłonie na piersiach jak heroina z kina niemieckiego. - A jeśli tata postanowi spalić nas na stosie? Coż pocniemy?

- Zapakuj walizkę do samochodu, dobra? I nawet nie myśl o podobnych numerach, kiedy dotrzemy na miejsce. W Karolinie Północnej nikt nie będzie się z tobą tak cackał jak ja. - Matka natychmiast wyszła, nie przejmując się kolejnym spięciem na stary temat. Ale Cecily się wściekła, że obróciła sprawę w żart, zamiast poważnie ją omówić. Zazwyczaj starała się szanować zasady Magicznego Rzemiosła, których się nauczyła zaledwie w wieku ośmiu lat.

Większość praw była rozsądna - nakładały zrozumiałe ograniczenia na korzystanie z niewiarygodnych mocy. Cecily stała się już całkiem dobrą wiedźmą także dzięki temu, że znakomicie opanowała te reguły. Uważała jednak, że to nie jedyna jej zasługa. Nie ograniczyła się do wkucia praw na pamięć; zmusiła się, by je zrozumieć. Co innego po prostu zapamiętać, że czarownicom nie wolno opętać woli ludzi, a co innego naprawdę wiedzieć, dlaczego nie należy tak postępować i czemu niewłaściwe używanie magii grozi utratą zarówno mocy, jak i duszy. Ale jednej zasady - najstarszej ze wszystkich - Cecily nie potrafiła pojąć. Chodziło o to, że "żaden mężczyzna nigdy nie może się dowiedzieć prawdy o Rzemiośle".

- Musimy podrzucić Grubcia do O'Farrellów - odezwał się nagle tata, który nie wiedział nic o tym, co stanowiło sens życia jego żony i córki. - I dostać się na lotnisko. W niespełna godzinę. Jeśli nie zdążymy, nikt nie pojedzie w tym roku do domku na plaży. Cecily otrząsnęła się z melancholii i zamknęła walizkę. Pora na sabat.

Oczywiście żaden mężczyzna nie zdawał sobie sprawy, że doroczne wycieczki na Wybrzeże mają cokolwiek wspólnego z magią. Wszyscy byli przekonani, że to spotkania "przyjaciółek z koledżu": sześciu kobiet, które dobrze się znały i chciały stworzyć więzi między swoimi rodzinami. Co roku wynajmowały kilka stojących blisko siebie domków w Karolinie Północnej i rozdzielały pokoje członkom poszczególnych rodzin. Pierwsze zjazdy odbyły się, jeszcze zanim Cecily przyszła na świat, więc sześciu mężów zdążyło się zaprzyjaźnić. Często mawiali z entuzjazmem, że ich dzieci "wychowują się razem". Cecily chętnie darowałaby sobie uroczę doświadczenie dorastania w towarzystwie Kathleen Pruitt.

- Mamy sabat w domu - poskarżyła się miesiąc wcześniej, gdy usiłowała namówić matkę do rezygnacji z wyjazdu na Wybrzeże. Chociaż ten jeden raz. - Czemu nie możemy spędzić więcej czasu w tym gronie, zamiast jeździć do wiedźm, z którymi ćwiczyłaś w koledżu? Tutaj więcej bym się nauczyła.

Matka jednak nawet nie chciała o tym słyszeć. Twierdziła, że niektóre sabaty emanują szczególną energią, że warto utrzymywać kontakty ze starymi przyjaciółkami i że Cecily jest zbyt młoda, by zrozumieć. Cecily tłumaczyła, że tydzień w towarzystwie Kathleen Pruitt to jak pół roku w

piekle. Mama oskarżyła ją o dramatyzowanie. Może zrozumiałaby, gdyby usłyszała o tym, co się stało w ostatnie wakacje, gdy na plaży Kathleen głośno oświadczyła, że spod kostiumu Cecily zwisa sznurek od tamponu. A przecież wcale nie zwiisał. Niestety, Cecily nigdy nie wydobyla się na to wyznanie. I tak została skazana na Wybrzeże. Po raz kolejny. Przynajmniej jechała na plażę. Uwielbiała pływać słońcu i to rekompensowało nawet najstraszliwsze wakacje. Oczywiście zdarzało się też, że padał deszcz.

- Według prognozy pogody niż jest daleko, gdzieś na południu - oznajmił tata, zwiększając prędkość wycieraczek w wynajętym aucie. Theo niecierpliwie kopnął w tył siedzenia mamy.

- A obiecywałaś, że się wykąpię, gdy tylko przyjedziemy. Obiecywałaś!

- Burza na pewno szybko przejdzie - pocieszyła go mama. Theo jednak nie dawał się uspokoić.

- W taką ulewę nie skorzystamy nawet z jacuzzi!

Cecily spojrzała na kłębiące się ciemne chmury i nagle ogarnęły ją złe przeczucia. Co może być gorszego niż tydzień w towarzystwie wroga? - pomyślała i natychmiast znalazła odpowiedź.

Utknięcie w jednym domku z wrogiem i marudzącym młodszym bratem. Potem przypomniała sobie o swoich celach - ignorowaniu Kathleen Pruitt i odrobinie serdeczności dla Thea, który miał dopiero osiem lat, więc trudno było od niego wymagać zbyt wiele.

- W salonie są piłkarzyki, pamiętasz? - Szturchnęła go w ramię. - W zeszłym roku mnie nie pobiłeś, ale jesteś już starszy.

- No, spróbuję - westchnął Theo. Jeszcze trochę się krzywił, ale w jego oczach już pojawiły się iskry. Gra w piłkarzyki z siostrą... to bardzo ekscytująca perspektywa.

Gdy dotarli na miejsce, przyjaciółki matki, nie zważając na burzę, rzuciły się im na powitanie.

Pani Silverberg, pani Giordano - wyglądały zupełnie zwyczajnie w dżinsach i pastelowych koszulkach polo. Chyba nikt nie odgadłby, jakimi dysponują mocami i czego uczą swoje córki. Teraz krzyczały radośnie, a deszcz zmiękczał ich daszki z gazet. Wszyscy zostali wyściskani.

Cecily bardzo się starała robić wesołą minę, ale fakt, że potwornie mokła, nie ułatwiał zadania.

Tata zaczął wyciągać walizki z bagażnika. Cecily rozejrzała się czujnie, czy gdzieś nie czai się

Kathleen. Któregoś roku dziewczyna też wybiegła na powitanie - i rzuciła na bagaż Cecily zakłęcie swędzenia. Mama przez całe dwa dni nie mogła dojść, co się stało, a Cecily rozdrapała sobie ręce do krwi, przez co nie mogła pływać w oceanie. Tym razem jednak Kathleen nie pojawiła się na horyzoncie. Cecily z ulgą wytargała ostatnią - własną - walizkę z bagażnika. Skrzywiła się pod jej ciężarem. Chyba niepotrzebnie brała ten palnik pod sterylizator. Nagle za rączkę walizki chwyciła czyjaś silna dłoń.

- Pomogę ci, dobrze?

Cecily obejrzała się i zobaczyła najprzystojniejszego faceta świata. Miał blond włosy i błękitne oczy, tak wyraziste, że przywodziły na myśl sentymentalne porównania ze złotym piaskiem i granatowymi wodami mórz. Był ze trzydzieści centymetrów wyższy od Cecily. Zazwyczaj wolała facetów mniej więcej swojego wzrostu, ale dla niego mogłaby zrobić wyjątek. Biała koszulka, zmoczona deszczem, opinała mu ciało. Cecily chętnie postąpiłaby jeszcze chwilę na dworze.

- Ciężka - stwierdził, podnosząc pękatą walizkę bez widocznego wysiłku. - Pewnie zapakowałaś mnóstwo rzeczy.

- Co roku obiecuję sobie, że nie będę tyle brała, ale nigdy mi się nie udaje - przyznała Cecily. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To znaczy, że lubisz być gotowa na wszystko.

Przystojny, uprzejmy i w dodatku rozumie, że warto się zabezpieczać na wypadek różnych okoliczności. Ja chyba śnię, pomyślała Cecily.

- Cecily? - mama zawołała ją ze schodków. - Czy zamierzacie tam sterczeć cały dzień?

- Już idę!

Boski uprzejmy przystojniak zaśmiał się cicho i wniósł walizki do środka. Sandały wydawały świszcząco-plaskające odgłosy, gdy Cecily chodziła po domku. Nazywał się Oceaniczny Raj. Wszystkie domki na Wybrzeży nosiły kretyńskie nazwy związane z plażą. W każdym też leżała pościel w morskie wzorki - pelikany lub muszle. Koszulka i obcięte spodnie zwinęły się w niewygodne, mokre fałdy i przywarły do ciała Cecily, a makijaż pewnie dawno spłynął na piasek. Co też pomyśli sobie Boski Przystojniak? Błyskawicznie wyjęła smętnie zwisający kucyk i usiłowała rozdzielić sklezione warstwy ubrania, kiedy nagle ujrzała Kathleen Pruitt.

- Tu jesteś! - wykrzyknęła Kathleen. - Właśnie pytałam mamę, gdzie się podziewasz. Nic się nie zmieniłaś!

Cecily ociekała wodą; duże krople kapały na dywan.

- Och, dziękuję.

Nawet jeśli Kathleen wyczuła sarkazm, nie dała tego po sobie poznać. Cecily chętnie odpowiedziałaby wredną uwagą, ale niestety nie mogła się do niczego przyczepić. Kathleen wyglądała po prostu fantastycznie. Nie była o wiele ładniejsza od Cecily - która w chwilach brutalnej szczerości określiłaby i ją, i siebie jako "przeciętne" - ale miała od rodziców trochę więcej pieniędzy na ciuchy, kosmetyki, ozdoby do włosów. I to robiło różnicę. Kathleen dbała, by Cecily o tym nie zapomniała. Rozległy się grzmoty. Cecily zdała sobie sprawę, że jest uwięziona w jednym pomieszczeniu z Kathleen i to na bardzo długo.

- Kathleen bez przerwy o was wypytywała! - oznajmiła pani Pruitt, ściskając mamę Cecily. - Nie mogła się doczekać spotkania z najlepszą kumpelką!

Kumpelką! Błę! Cecily zmusiła się do uśmiechu.

- Zupełnie jak gdybyśmy rozstały się wczoraj.

- Och, Cecily! - zawołała śpiewnie Kathleen, wskazując ręką łazienkę. - A poznałaś już Scotta? Z łazienki wynurzył się Boski Przystojniak alias Scott. Miał na ramionach ręcznik, którym najwyraźniej jeszcze przed chwilą wycierał sobie włosy. Teraz były uroczo zmierzwione. Zanim Cecily zdążyła sobie wyobrazić wszystko to, co chciałaby zrobić z jego włosami, nagle z przerażeniem zobaczyła, że chłopak zmierza prosto do Kathleen. Dziewczyna przytuliła się do niego z satysfakcją.

- Scott mógłby spać w pokoju z Theem - powiedziała mama Kathleen. - Oczywiście jeśli się zgodzicie. To bardzo miły młody człowiek, na pewno go polubicie. Rodzice pozwolili mu jechać, więc pomyślałam: czemu Kathleen nie miałaby zabrać swojego chłopaka?

Chłopaka... jęknęła w duchu Cecily. Ten oszałamiający facet, ten ideał jest chłopakiem Kathleen Pruitt. Sprawiedliwość nie istnieje. Bóg nie istnieje. No dobra, może Bóg istnieje, ale sprawiedliwość? Mniej niż zero. Kathleen uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- A ty przywiozłaś kogoś w tym roku?

Cecily już zamierzała pokręcić głową, ale w tym momencie do rozmowy wtrącił się Theo:

- Ja chciałem zabrać Grubcia, ale mi zabronili. To mój chomik.

Kathleen nachyliła się do ucha Scotta.

- Mały dał chomikowi imię po siostrze - szepnęła na tyle głośno, by Cecily usłyszała każde słowo.

Scott nie roześmiał się z tego podłego żartu. Zmarszczył brwi, udając, że nie rozumie, chociaż przecież musiał załapać. Nie, okazał się po prostu zbyt uprzejmy, żeby śmiać się z takich tekstów. Zbyt miły. Zbyt dobry. Kathleen w jakiś sposób zdołała zarzucić sieci na faceta, który był przystojny, grzeczny i zupełnie niewredny czyli, innymi słowy, na kogoś, z kim nie miała absolutnie nic wspólnego. Najwyraźniej zamierzała wykorzystać nowy związek, żeby dokopać Cecily ile się da. A deszcz padał coraz mocniej. Jestem w piekle, pomyślała Cecily.

CZEŚĆ II

SAMODOSKONALENIE - LISTA POPRAWIONA

Podczas koszmarne go tygodnia na Wybrzeżu zamierzam:

- być nadal miła dla Thea i nie poddawać się pokusie, żeby wypytywać go o Scotta, bo przecież Scott nic mnie nie obchodzi
- w miarę możliwości nie rozmawiać ze Scottem, bo powinnam raczej unikać gościa, który z własnej woli randkuje z Kathleen
- naprawdę uważać na sabatach i wynieść z nich jak najwięcej wiedzy, bo - spójrzmy prawdzie w oczy - udane wakacje to nie będą
- pamiętać, żeby nie zniżyć się do poziomu Kathleen Pruitt i nie zwracać uwagi na jej złośliwość
- chociaż złośliwość Kathleen to coś, co chyba widać z kosmosu

Kobiety w piwnicy usiadły w kręgu. Pośrodku migotała świeca. Kwaśny dym przeniknął powietrze. Cecily przywykła już do podobnych zapachów, ale często zastanawiała się, czy nie dałoby się użyć zapachowej świeczki, żeby chociaż odrobinę uprzyjemnić sobie pracę. A może jakikolwiek dodatek zaburzyłby równowagę mocy? Musiała o to zapytać. Mama wzięła białą witkę i naszkicowała w popiele runy zaklęcia. Cecily podziwiała delikatną dłoń matki, a także jej precyzyjne ruchy. Kiedyś ja też będę tak dobra, obiecała sobie. Każda kobieta siedziała w towarzystwie córki lub córek - z wyjątkiem pani Pruitt, ponieważ Kathleen zrobiła sobie wagary. Dziwne, nigdy wcześniej nie marnowała okazji, żeby dołożyć Cecily. W ogóle wykorzystywała każdą szansę, by kogoś ośmieszyć lub zmiażdżyć. Cecily z wdzięcznością powitała tę chwilową odmianę. Kiedy matka Cecily dokończyła napis, umieściła coś przed kupką popiołu - brązowy but taty. Pozostałe kobiety po kolei dokładały różne przedmioty: koszulkę męża, okulary przeciwsłoneczne ojca. Cecily dorzuciła gameboya Thea na sam czubek sterty. Mama obrysowała nitką przedmioty, żeby objąć je zaklęciem.

- Pora to nawilżyć - powiedziała do całego kręgu.

Czarownice pokiwały głowami, a ich córki - od czterolatek z kitkami po dziewczynki w wieku Cecily - pochylały się, żeby lepiej widzieć.

- Cecily, spróbujesz? - zaproponowała.

Cecily już od paru miesięcy ćwiczyła tę część rytuału, często nawet gdy chodziło o poważniejsze zaklęcia, ale zawsze w obecności wyłącznie matki. Nawet na sabatach w domu. Zobaczyła, że inne kobiety wymieniają zdziwione i niezbyt zachwycone spojrzenia. Większość młodych czarownic jeszcze nie radziła sobie z tego typu mocą. Spokojnie, pomyślała Cecily. Podniosła wywar, który ugotowały na kuchence poprzedniego wieczoru. Ciemnofioletowy płyn był lepki, może nawet za bardzo, ale to ułatwiało operację. Wyciągnęła zatyczkę i zmusiła się, by nie zmarszczyć nosa, gdy uderzył ją odór wywaru. Przechyliła naczynie, po czym sprawnie obwiodła eliksirem nakreślone znaki. Zagłębienia w popiele wchłonęły płyn i zaczęły się delikatnie żarzyć.

- Bardzo dobrze - pochwaliła mama.

Cecily poczuła, że napięcie w pomieszczeniu odrobinę zelżało. Matka chwyciła za świecę - Cecily nie najlepiej wychodziła ta część zaklęcia, bo kiedy tylko gorący wosk ściekał jej na palce, traciła koncentrację. Matka przytknęła płomyk do zwilżonego popiołu. Jej dłoń nawet nie zdrząła. Wywar natychmiast stanął w płomieniach. Przez chwilę fioletowe języki ognia strzelały wysoko, tworząc ogniste runy. Wkrótce jednak zapalił się też popiół. Buchnęła chmura dymu. I

nagle pojawił się w niej trójwymiarowy obraz. Pokazywał ludzi objętych zaklęciem szpiegującym - wszystkich ojców i braci, którzy oglądali mecz w pobliskim barze. Cecily zobaczyła, jak Theo podkrada smażoną cebulę z talerza taty, i omal nie zachichotała. Jednak następna wizja stała się uśmiechem z jej twarzy. Oto bowiem ukazał się Scott, z jakichś tajemniczych powodów jeszcze bardziej oszałamiająco przystojny niż poprzedniego dnia. Trzymał rękę na ramieniu Kathleen. Z uwielbieniem przypatrywał się, jak dziewczyna piłuje sobie paznokcie. Żadne z nich nie zwracało najmniejszej uwagi na mecz. O rany, Scott nawet nie lubi sportu... westchnęła w myślach Cecily. Chłopak, z którym chodziła przez jakiś czas, chciał we wszystkie weekendowe popołudnia oglądać w telewizji turnieje golfowe. I to był w skrócie główny powód ich rozstania. Jeśli Scott mógł okazać się jeszcze doskonalszy, niż wydał się przy pierwszym spotkaniu, to właśnie dzięki temu, że nie interesował się sportem. Oczywiście musiało się okazać, że i pod tym względem jest ideałem. A jeśli Pruitt mogła stać się jeszcze bardziej wkurzająca, to tylko przez znalezienie sobie tak idealnego chłopaka. Cecily nigdy nie znosiła "kumpelki", ale dopiero teraz pojawiła się zazdrość. Dziewczyna bez wątpienia wiedziała, że Cecily jej zazdrości, i szalenie jej się to podobało. Może nawet nie lubi za bardzo Scotta, pomyślała Cecily z nadzieją. Może jest z nim tylko po to, by mnie denerwować. Ale to wydawało się mało prawdopodobne. Każda normalna dziewczyna chętnie chodziłaby ze Scottem. Wizja tych dwojga zaczęła się rozwiewać. Płomienie przygasły, a z popiołów na piwnicznej podłodze zostało zaledwie kilka smug kurzu.

Oczyszczone miejsce pracy zawsze świadczyło o tym, że zaklęcie się udało.

- Bardzo ładnie, Cecily - powiedziała jedna z matek.

Sabat się zakończył. Ta sesja była głównie instruktażowa; zaklęcie szpiegujące zostało rzucone w celach pokazowych - kobiety doskonale wiedziały, że ich mężczyźni siedzą w barze i oglądają mecz. Niektóre zaczęły opracowywać subtelne elementy zaklęcia z córkami, potem po kolei zabierały przedmioty, które kierunkowały zaklęcie, i odkładały je na miejsce.

- Dobrze ci dziś poszło. - Matka delikatnie pociągnęła Cecily za kucyk.

- Staram się - odparła Cecily z niewinną miną. - Wolę korzystać z zajęć niż opuszczać sabat. Jak niektóre inne dziewczyny.

- Daj spokój. - Mama zerknęła za siebie, sprawdzając, czy pani Pruitt niczego nie usłyszała. Obie bardzo się przyjaźnią i właśnie dlatego Cecily nie mogła otwarcie okazywać, jak bardzo nie znosi Kathleen.

Ciekawe, czy ja opuściłabym sabat, gdyby Scott zaproponował mi spotkanie, zastanawiała się Cecily, pakując gameboya Thea do torby. W końcu uznała, że nie robiłaby tak często, ale raz z pewnością by sobie pozwoliła.

Jednak nic z tego. Scott nie był doskonały. Nikt nie jest. Jasne, to olśniewająco przystojny i słodki facet, ale postanowił zostać chłopakiem Kathleen. I to samo w sobie stanowiło fatalną wadę. Niewątpliwie miał i inne niedociągnięcia, które pewnie prędzej czy później wyjdą na jaw. Mężczyźni - oraz Kathleen - wrócili do domu godzinę później, po meczu. Padało chyba jeszcze mocniej niż poprzedniego dnia. Cecily wymknęła się do *pokoju*, żeby popisać SMS-y do przyjaciół, ale za nią powłókł się Theo.

- Obiecałaś, że pogramy w piłkarzyki!

- I pograłam - odparła *Cecily*, zwinnie wystukując na klawiaturze: „Theo robi się nieznośny”. - *Wczoraj* rozegraliśmy trzy serie.

- Ale dzisiaj też chcę!

- Theo...

- Wykręcasz się, bo teraz jestem większy i nie zawsze wygrywasz. - Theo skrzyżował ręce na piersiach.

Oto nagroda za to, że dawała małemu wygrać: jeszcze gorsze fochy.

- No już dobrze, chodź.

W pierwszej chwili Cecily postanowiła pokazać bratu, że wciąż bez trudu może go pokonać - ba, zmiażdżyć! - żeby wreszcie przestał jej zwracać głowę. Potem jednak przypomniała sobie, że miała być miłsza dla Thea, a jak dotąd udawało jej się realizować plan samodoskonalenia.

W sali gier grupka osób oglądała film na dużym telewizorze - kino akcji, głównie efektowne wybuchy, lata Cecily siedział na środku, żując precle.

- I jak się bawią twoje dzieciaki? - zawołała do nich z uśmiechem pani Giordano,

- Już Cecily przegrywa ze mną w piłkarzyki! - ogłosił Theo.

- W takim razie może powinienem jej pomóc? - Ni stąd, ni zowąd pojawił się Scott. - Co ty na to, Theo? Pozwolisz mi zagrać? Dasz jej szansę?

- Eee... - Theo nic był zachwycony perspektywą utraty przewagi.

- Nie jestem mistrzem - wyznał Scott. - Więc i tak bardzo jej nie pomogę.

- No dobra - powiedział Theo z uśmiechem. Cecily stanęła obok *Scotta* - po raz pierwszy tak blisko, odkąd niósł jej bagaż. Rozejrzała się za Kathleen, ale nie zauważyła jej w pobliżu. Jakoś nie czuła potrzeby, by o nią zapytać.

- Nie wiesz nawet, w co się pakujesz - mruknęła. - Mój brat to bezwzględny przeciwnik.

Theo gwałtownie obrócił rączkę do piłkarzyków, żeby zademonstrować swoją bezwzględność.

- Jestem silny - odparł Scott, nie okazując rozbawienia. - Jakoś to zniosę - dodał z błyskiem w oku.

To upewniło Cecily, że chłopak też zamierza specjalnie przegrać. Duma Thea urosłaby wtedy do nieznośnych rozmiarów, ale mały oszalałby ze szczęścia.

Przystojny, uroczy i dobry dla dzieci. Świetnie. Teraz już muszę ustalić, co jest nie tak z *tym* facetem, bo inaczej doprowadzi mnie do obłędu.

- Jak poznałeś Katjileen? - spytała, gdy Theo wrzucił piłkę na stół.

- W szkole. - Scott uderzył pierwszą linią piłkarzyków. Widywaliśmy się w przelocie cały rok, ale jakoś nigdy nie zwracaliśmy na siebie większej uwagi. Dopiero po wiosennych feriach spojrzałem na nią i... jakbym zobaczył ją po raz pierwszy. Znasz to uczucie?

- Mhm... - Cecily skupiła się na grze, bo tylko dzięki temu mogła opanować mdłości.

- To takie dziwne - ciągnął Scott. - Fajnie nam razem, chociaż interesują nas zupełnie różne rzeczy. Wydawało mi się, że to niemożliwe.

- A co ty lubisz robić? - Cecily dobrze znała fascynacje Kathleen: plotkarskie czasopisma, farbowanie włosów, torturowanie niewinnych.

- Nigdy byś nie zgadła, co jest moim hobby.

- Nawet nie zamierzam próbować. Po prostu mi powiedz.

- Gotowanie.

Zaskoczona spojrzała na Scotta zamiast na stół - Theo wykorzystał szansę i zdobył kolejnego gola. Chłopiec wpadł w euforię, a Scott się zaśmiał.

- Uważasz, że faceci nie gotują? A nie wyglądasz na osobę, która ma staromodne poglądy.

- Bo nie mam. Po prostu sama bardzo lubię gotować.

Pokiwał głową.

- No to rozumiesz, skąd taka pasja. Chciałbym kiedyś zostać szefem kuchni.

Na biurku Cecily w domu, tam gdzie większość jej przyjaciół trzyma katalogi z ofertą swoich przyszłych uniwersytetów, leżały ulotki ze wszystkich znanych szkół gastronomicznych w kraju i jeszcze kilku paryskich.

- Ach tak,.. - wymamrotała. - Ja też. To niesamowity...

- .. zbieg okoliczności, co? - Popatrzył na nią konspiracyjnie. - Szaleję za Kathleen, ale ona chyba nie potrafi nawet zrobić tosta.

Cecily nie wierzyła, że jej największe marzenie o przyszłości kiedykolwiek się spełni, bo marzenia to jedno, a rzeczywistość to zupełnie co innego. Wciąż jednak snuła piękne fantazje, że pewnego dnia zakocha się w przystojnym, uroczym facecie z wielkim zamiłowaniem do gotowania. Wtedy otworzyliby razem restaurację, odnieśliby sukces i gotowali długo i szczęśliwie.

Scott był pierwszym chłopakiem, który ją przekonał, że to marzenie może się spełnić.

- Wspaniale, że wiesz, czego chcesz - powiedział. - Zbyt wiele osób nie ma pojęcia.

- Właśnie! Wciąż powtarzają, że w naszym wieku nie musimy się jeszcze decydować. Ale chyba warto już znać swoje plany na przyszłość, prawda?

- Jasne, łatwiej się wtedy dokonuje wyborów.

- Oczywiście.

- Ej - oburzył się Theo. - Nawet nie patrzycie na stół!

Cecily zarumieniła się, a Scott się głośno roześmiał i zmierzwił chłopcu włosy.

- Przepraszam. Po prostu usiłowaliśmy uspić twoją czujność, żeby mieć jakieś szanse. - Scott zerknął na Cecily. W jego błękitnych oczach zabłysła sympatia.

Cecily omal się nie rozplynęła. Nachyliła się nad stołem i wmawiała sobie, że całowanie się z cudzym chłopakiem na środku zatłoczonej sali to fatalny pomysł. A mimo to jej ciało niemal samo przechylało się w jego kierunku; prawie traciła panowanie nad sobą...

- Co tu się dzieje? - zawołała Kathleen. Jej świeżo pomalowane czerwone paznokcie nagle pojawiły się przed nosem Cecily.

- Scott pomaga mojej siostrze grać, ale i tak pokonam oboje! - wyjaśnił Theo.

- Jej chyba nie da się pomóc - westchnęła ciężko Kathleen.

- A ty znowu malowałaś paznokcie?

- Owszem. - Kathleen najwyraźniej nie widziała w tym żadnego powodu do wstydu. - Ten kolor jest o wiele lepszy. Chciałabym też pomalować paznokcie u stóp. Pomożesz mi, skarbie?

- Dobrze. - Scott mrugnął do Thea. - Potem urządzimy rewanż. A, Cecily, miło mi się z tobą rozmawiało.

- Mnie też.

Scott nawet nie czekał na odpowiedź. Rzucił wszystko i poleciał za Kathleen robić pedikiur. On naprawdę oszalał na jej punkcie.

Jak to możliwe? - pomyślała zrozpaczona Cecily. Jak facet wprost stworzony dla mnie mógł się zakochać

w tej krwiożerczej piranii? To chyba nie dzieje się naprawdę.

Chwileczkę. To nie dzieje się naprawdę...

Cecily otworzyła szerzej oczy. Pod wpływem adrenaliny serce biło jej dziko. Wszystko wokół zaczęło wydawać się nierealne. Chociaż wciąż stała przy piłkarzykach i od czasu do czasu odruchowo kręciła drążkami, nie zwracała uwagi na to, co się dzieje. Theo po raz pierwszy pokonał ją zupełnie sprawiedliwie.

TUŻ po zakończeniu meczu Cecily pognąła do pokoju. Potrzebowała kilku sekund samotności. Jeśli to, co podejrzewała, to prawda...

Nie, wykluczone, przekonywała samą siebie. Pruitt jest okropna, ale nawet ona nie zachowałaby się tak strasznie. A może jednak?

Bycie wredną to jedna sprawa. Ale niezgodne z kodeksem wykorzystanie mocy do rzucenia na kogoś uroku miłosnego, zmuszenia go do zakochania się, to zupełnie inna sprawa. Poważna

sprawa. To zło. Może nie aż tak wielkie jak morderstwo, ale Cecily od małego uczyła się, że podporządkowywanie sobie cudzej woli należy do tej samej kategorii wykroczeń. To wyjaśniałoby także, dlaczego Kathleen opuszcza sabaty. Czar, który rzuciła na Scotta, musiał być potężny i jego ślady zakłócałyby rytm spotkania. Czarownicy zorientowałyby się, jak straszego występku dopuściła się ta okropna dziewczyna.

Sama myśl o publicznym zawstydzeniu Kathleen sprawiła Cecily drobną satysfakcję, ale natychmiast pojawiły się skrupuły.

Gdybyś naprawdę sądziła, że ona to zrobiła, wcale byś się nie cieszyła, strofowała się w duchu. Byłabyś przerażona i martwiłabyś się o Scotta. Ale nie wierzysz, że Kathleen jest zdolna do czegoś takiego. Po prostu nie chcesz dopuścić do siebie myśli, że Scott naprawdę się w niej zakochał. Cóż, czas się z tym pogodzić.

Niestety, Cecily nie mogła pozbyć się podejrzeń.

Uznała, że musi sobie udowodnić, jak absurdalne są jej rojenia. Szybko wyciągnęła spod łóżka magiczne rekwizyty i chwyciła małą, plastikową butelkę z atomizerem. W gorące dni na plaży wypełniała butelkę wodą, by się orzeźwiać, nie schodząc ze słońca. Nic nie wskazywało na to, aby buteleczka miała być jej wkrótce potrzebna.

Najprostsze rozwiązania są najlepsze. Musi mieć coś, czego nie trzeba warzyć. Myślała błyskawicznie i uświadomiła sobie, że eliksiry ugotowane na porannym sabacie zadziałałyby, gdyby je odpowiednio wymieszała. Niełatwo tego dokonać bez miarki, ale zdołała dobrać ostatecznie odpowiednie proporcje.

Najpierw, aby sprawdzić działanie wywaru, zakradła się do pokoju Thea. Specjalnie nawet nie spojrzała na rzeczy Scotta na dolnym łóżku. Zabrała natomiast gameboya, którego użyła do zaklęcia szpiegującego. Wyrzuciła na korytarz, czy nikt nie idzie, i trysnęła płynem na zabawkę. Mgiełka na chwilę stała się jaskraworóżowa, co świadczyło o tym, że gameboy był niedawno zaczarowany.

Cecily przytaknęła z satysfakcją. Przynajmniej nauczyła się momentalnie sporządzać detektor zaklęć.

Naprawdę zamierzasz prysnąć tym na Scotta? - spytała się w duchu. A jeśli nic się nie wydarzy? Chłopak pomyśli, że jesteś totalną świruską, która łązi za facetami i oblewa ich jakimś różowym świństwem.

- Uwaga, ważne pytanie! - zawołał nagle z dołu pan Silverberg. - Kto chce iść na pizzę?

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął inny ojciec i całe grono się roześmiało. Najwyraźniej nie tylko Cecily zaczynała wariować od siedzenia w domku.

Gdyby wszyscy wyszli, miałyby szansę zastosować wywar. W strugach ulewy nikt nie zauważyłby paru dodatkowych kropel płynu.

Wsadziła butelkę do kieszeni dżinsowej kurtki i przygotowała się do wyjścia.

Theo, jak zawsze niecierpliwy, pierwszy wybiegł na deszcz, a mama pogoniła za nim z parasolką. Potem wyskoczyła Kathleen, też z parasolką w dłoni. Piszcząca, że wilgoć zrujnuje jej fryzurę. Scott już miał podążyć w ślady ukochanej, ale w drzwiach zatrzymała go Cecily.

- Scott... - zagadnęła jak gdyby nigdy nic. - Wiesz, gdzie się podziewa gameboy mojego brata? Powinniśmy go zabrać, żeby Theo się nie nudził.

- Leży gdzieś u nas - odparł przystojniak z uśmiechem. - Jesteś bardzo dobrą siostrą.

Wbiegł z powrotem, by przeszukać pokój, a Cecily z rozmysłem bardzo powoli zakładała sandały. Kiedy w końcu zapięła ostatnią klamerkę, wszyscy już opuścili dom, oprócz niej i Scotta.

- Pośpieszcie się! - krzyknął tata przez uchyloną o milimetr szybę samochodu.

Wreszcie pojawił się Scott, z gameboyem w ręku. Razem wyszli na deszcz. Cecily została kilka kroków w tyle, żeby nikt nie widział, co robi.

Błyskawicznie wyjęła butelkę z eliksirem, powiedziała sobie raz jeszcze, że chyba oszalała, i nacisnęła pompkę.

Mgiełka załśniła różowym blaskiem, po czym rozwiała się bez śladu.

Cecily zamarła. Przez chwilę stała nieruchomo, nie zważając na strugi deszczu. Nic nie czuła.

Kathleen to robiła. Serio. Złamała jedno z najważniejszych praw Magicznego Rzemiosła.

A *Scott tak* naprawdę jej nie pokochał.

- Cecily! - wrzasnął tata. - *Co ty wyprawiasz?* Szybko wsiadła do samochodu, ociekając wodą.

- O fuj.' - wzdrygnęła się Kathleen. Siedziała pośrodku tylnego siedzenia, przytulona do *Scotta*,

który uśmiechał się do niej trochę bezmyślnie. - Nie mocz mnie!

Cecily nie odpowiedziała. Bała się choćby spojrzeć na dziewczynę, żeby się z niczym nie zdradzić.

Właściwie to dość zabawne: zawsze uważała Pruitt za potwora. A teraz wyszło na jaw, że wcale się nie myliła, Kathleen okazała się nie tylko próżną, płytką i okrutną dziewczyną, ale przede wszystkim złą czarownicą.

Cecily zerknęła na nią kątem oka. Kathleen siedziała z głową opartą o ramię Scotta i uśmiechnęła się zadowolona z siebie, gdy zobaczyła, że koleżanka na nią patrzy.

Cecily zdołała się uśmiechnąć w odpowiedzi, ale w głowie wirowały jej myśli. Uśmiechaj się, uśmiechaj, dopóki możesz, bo to, co zrobiłaś, nie ujdzie ci na sucho.

część III

SAMODOSKONALENIE - LISTA POPRAWIONA: STAN ALARMOWY Nadszedł czas próby. Zamierzam:

- porozmawiać z mamą o tym, jak uwolnić Scotta z mocy zaklęcia, bo odczarowanie uroku tale silnego, że zmusił go do zakochania się w kimś takim jak Kathleen, najprawdopodobniej mnie przerośnie
- powstrzymać się od powiedzenia mamie „a nie mówiłam”, kiedy cała niegodziwość Kathleen Pruitt nareszcie wyjdzie na jaw i to jako niepodważalny fakt
- cieszyć się chwilą triumfu nad tą godną pogardy istotą, ale nie na tyle, by nie nauczyć się niczego przy okazji Jamania zaklęcia; to będzie wysokiej klasy magia w najlepszym wykonaniu

- Cecily. - Matka skrzyżowała ręce na piersiach. -Przestań gryzmolić kolejne listy akurat teraz, kiedy wszyscy dobrze się bawimy.

- Musimy porozmawiać. - Cecily pospiesznie wsunęła serwetkę do kieszeni spódnicy.

- Nie. Teraz jest czas na zabawę. - Matka położyła ręce na ramionach córki, obróciła ją delikatnie i zmusiła, by spojrzała na małą scenę w głębi pizzerii -karaoke Mario.

Panowie, w tym ojciec Cecily i Thea, zgodnie wyli piosenkę *We Are the Champions*.

W innych okolicznościach ten widok przyprawiłby dziewczynę o skurcz żołądka ze wstydu, ale w tej chwili miała poważniejsze zmartwienia.

- Chodzi o Kathleen, mamo. Ona... Wiesz... Trzeba coś z tym zrobić, bo...

- Ale co, Cecily? Zerwać znajomość? Jak za każdym razem, kiedy się poprztykacie?

- Nie o to mi chodzi.

Mama najwyraźniej jej nie rozumiała.

- Zachowujesz się tak, jakby Kathleen była najgorszym potworem w historii ludzkości. Tak jest zawsze, odkąd skończyłyście cztery lata i Kathleen przewróciła się o twój zamek z piasku.

Cecily czuła się naprawdę dumna z tego zamku.

- Ale mamoo...

- Nie chcę tego słuchać. Tak, wiem, że czasem mówi wredne rzeczy. Ja też mam uszy. Nigdy nie była tak dojrzała jak ty i podejrzewam, że minie kilka lat, zanim cię dogoni. Ale chciałabym, żebyś wyrosła

na tyle, żeby w końcu przestać się tym przejmować. -Mama ściszyła głos. - Widzę, że jest ci trudno, bo... no cóż, Scott bardzo ci się spodobał. Ale to jeszcze nie powód, żeby w kółko skarżyć się na Kathleen Pruitt. A teraz dołącz do nas, dobrze? Wystarczy, że posiedzimy razem, nie musisz śpiewać.

Mama odeszła, a Cecily została sama na końcu długiego stołu. Policzki płonęły jej z gniewu i ze wstydu.

Z gniewu, bo matka ją zignorowała. Ze wstydu, ponieważ znów narzekała na Kathleen.

Niedawno usiłowała przecież w ogóle wymigać się od wyjazdu na Wybrzeże. Kiedyś zamknęła się w pokoju, gdy Kathleen wpadła z wizytą. A jako bardzo mała dziewczynka wstrzymała oddech i groziła, że się udusi, jeśli Kathleen usiądzie z nimi przy kolacji. Obie się nienawidziły, ale Pruitt nie robiła takich scen.

Cecily zbyt późno zorientowała się, że skarżyła się na Kathleen tak często i z tak błahych - chociaż zupełnie słusznych - powodów, że nawet matka nie mogła tego wytrzymać.

Jak ta czarownica z bajki, która zbyt wiele razy żartowała, że widzi wilka, pomyślała Cecily.

Super. Teraz Kathleen naprawdę stała się złą wiedźmą, a nikt mi nie uwierzy.

Zerknęła w stronę grupy. Scott z głupawym uśmiechem na twarzy siedział obok swojej ukochanej. Polał jej keczupem frytki, tworząc czerwone serce. Cecily postanowiła coś zrobić, choćby po to, by uratować resztki jego godności.

Ale musiała poradzić sobie sama.

We Are the Champions szczęśliwie dobiegło końca; mężczyźni unieśli ręce nad głowy, a Theo podskakiwał z emocji. Po chwili rozległ się gromki aplauz, do którego Cecily bezmyślnie dołączyła. Niemal nie usłyszała kolejnej zapowiedzi:

- A teraz wystąpi Cecily Harper! Co takiego?

- Cecily Harper? Gdzie jesteś? - Zapowiadający zaczął się rozglądać po sali i uśmiechnął się, gdy Theo wskazał siostrę. - Pomóżmy tej pięknej młodej damie wspiąć się na scenę!

Rzucić się do ucieczki? To nie najlepsza opcja. Schować się - za późno. Cecily wstała zdezorientowana, ale po chwili zobaczyła, że Kathleen skrywa złośliwy uśmiešek za wymanikiowaną dłoń.

To ona mnie wrobiła. Czemu nie przypatrywałam się jej uważniej?

- Do boju, skarbie! - wrzasnął tata, klaszcząc energicznie.

Rodzice mieli zachwycone miny, najwyraźniej ucieszyli się, że Cecily dołączyła do zabawy.

Popatrzyła na tłum. W pizzerii stało co najmniej sto osób. Wszyscy czekali, by usłyszeć jej śpiew. Wkurzeni i znudzeni z powodu pogody potrzebowali rozrywki. Cecily nie wyróżniała się talentem wokalnym, ale dawała radę. Może gdyby trafiła na jakąś fajną piosenkę, zdołałaby dociągnąć do końca. Jak na Kathleen Pruitt Samo Zło, to wcale nie było jeszcze takie okropne. Cecily z ociąganiem weszła na scenę i ujęła mikrofon. Na ekranie pojawiły się słowa piosenki, którą... wybrała dla niej Kathleen.

Ku swojemu przerażeniu Cecily zobaczyła refren *My hump, my hump, my lovely lady lumps*. Black Eyed Peas. Czyli miała śpiewać o cyckach. Wspaniale.

Ścisnęła mikrofon tak mocno, jakby chciała go użyć w charakterze maczugi. A potem zmusiła się do uśmiechu. A więc wojna, pomyślała.

Tej nocy wrócili do domków dość późno. Deszcz nie przestał padać, ale w końcu przeszedł w lekką mżawkę. Po drodze nikt nie otwierał parasolki. Cecily szła z bratem. Mały niemal potykał się ze zmęczenia - rzadko markował po nocy. Chociaż sama czuła się wykończona, gonitwa myśli i tak nie pozwoliłaby jej zasnąć.

Muszę złamać zakłęcie, które więzi Scotta. Ale jak? Mama nie pomoże. Co mi pozostało?

Najlepszym źródłem informacji wydawała się matczyzna *Księga Cieni*.

Każda wiedźma taką miała. Cecily jeszcze nie dorosła, by zacząć tworzyć swoją, bo do tego czarownica uzyskiwała prawo dopiero po szkoleniu. Żadna też nigdy nie skończyła pisać *Księgi Cieni*, ponieważ pracowało się nad nią całe życie. Zawierała listy zaklęć, ale nie tylko. Wiedźmy notowały również historię danego uroku: jak się go nauczyły, kiedy, dlaczego go rzuciły i co z tego wynikło.

Cecily kiedyś zaplanowała, że będzie prowadziła swoją księgę w komputerze. Dzięki temu łatwiej mogłaby ją zniszczyć, ale także porządkować. Marzyła nawet, aby listy składników eliksirów rozpisać i w Ebccelu. Nauczyła się jednak, że sama księga też była ważna. Należało trzymać ją w pobliżu przy rzucaniu ważnego zaklęcia, a z czasem magia zaczynała przesączać się przez jej karty. *Księga Cieni* starej i potężnej czarownicy niemal sama w sobie posiadała moc. Oczywiście Cecily nie podejdzie i nie poprosi: „Mamo, pożycz mi swoją *Księgę Cieni*”. Kilka razy widziała księgę mamy, ale tylko z okazji wielkich świąt i w obecności jej *autorki*. A zatem musi ukraść księgę. No, może nie ukraść. Pożyczyć. Tak, to brzmiało zdecydowanie lepiej. W końcu zamierzała oddać księgę właścicielce, prawda? Mama mogła nawet nie zauważyć, że jej własność na jakiś czas zaginęła.

Wszyscy szykowali się już do snu, czyli włączyli się po korytarzu w pidżamach i udawali, że wcale ich nie denerwuje brak wolnej łazienki. Cecily włożyła koszulkę i spodenki do jogi. Ten strój trochę wyglądał jak nocny, a zarazem pozwalał na wygodne wędrówki po domu, a także sekretne wycieczki na zewnątrz.

Przez chwilę spacerowała po korytarzu, próbując robić dobrą minę do złej gry. Mama i tata jeszcze nie poszli spać. Na szczęście siedzieli w salonie, popijając wino. Zachowywali się podejrzanie ckliwie. Cecily odwróciła wzrok, żeby uniknąć koszmarne widoku całujących się seniorów. Najważniejsze, że byli zajęci. To dawało jej szansę działania.

Szybko, na paluszkach, ruszyła w stronę sypialni rodziców. Nie zauważył jej nikt z wyjątkiem Thea. Ale chłopiec pocierał oczy i prawdopodobnie ze zmęczenia nie zwracał uwagi na siostrę. Cecily rozejrzała się po sypialni, rozważając i odrzucając różne opcje, gdzie mama trzyma ukrytą księgę. Tata w każdej chwili mógłby zajrzeć do szuflad albo pod łóżko, więc matka z pewnością nie schowałaby jej w żadnej z tych kryjówek. To samo dotyczyło walizek. Musiała wybrać o wiele bezpieczniejsze miejsce.

Oczy Cecily zaświeciły się, gdy zobaczyła nad łóżkiem gablotkę - zwykłą dekorację z jakimiś kiczowatymi plażowymi gadżetami. Koszmarek doskonale pasował do wystroju wnętrza w Oceanicznym Raju. Dość duża gablotka lekko odstawała od ściany... Cecily szarpnęła, a *Księga Cieni* spadła na łóżko. Kiedy już poczuła smak zwycięstwa, nagle usłyszała w korytarzu głos mamy.

- Lubię, jak śpiewasz. To mnie chyba kręci.

- Gdybym wiedział, nie zszedłbym ze sceny do rana - odparł tata, śmiejąc się cicho.

Cecily zamarła ze strachu. Co gorsze: zostać przyłapaną na kradzieży czy słuchać, jak rodzice flirtują? Chyba jednak nie miała wyboru. Najwyraźniej czekało ją i jedno, i drugie nieszczęście naraz. Większej katastrofy już sobie nie wyobrażała.

Niespodziewanie rozległ się głos Thea.

- Mamo, taato, poczytajcie mi na dobranoc!

- O, już dawno o to nie prosiłeś. - Głos taty brzmiał bardzo serdecznie. - Ale Scott nie będzie mógł zasnąć.

- Jego nie ma, całuje się z Kathleen - burknął z urazą Theo. - Chodźcie tu i mi poczytajcie!

Kroki rodziców zbliżyły się do drzwi sypialni, po czym ją minęły. Poszli do Thea. Cecily wstrzymała oddech, przycisnęła *Księgę Cieni* do piersi i wysliznęła się na korytarz. Wychodząc, obejrzała się. Mama niosła Thea do jego pokoju. Chłopiec uśmiechnął się do Cecily znad ramienia matki i mrugnął porozumiewawczo.

Nie wierzę. Theo mnie ocalił!

Mały nie widział, po co siostra zakradała się do pokoju rodziców, ale i tak postanowił jej pomóc. Bez żadnych pytań. Z całą pewnością jeszcze nigdy nie zachował się tak dojrzałe.

Cecily uśmiechnęła się do brata dumna, że realizacja przynajmniej jednego elementu samodoskonalenia w końcu się opłaciła. Teraz pozostało najważniejsze zadanie: załatwić Kathleen.

Część IV

LISTA SKŁADNIKÓW - ZAKŁĘCIE ODCZAROWUJĄCE

- skrzydła ciem
- czerwone wino (z barku w domku na plaży)
- oczyszczony popiół
- rozbite szkło (poświęcić szklanekę z kuchni, zostawić kilka dolców dla właścicieli)
- esencja prawdy
- kociołek (trzeba improwizować)
- kruszone pancerze żuków
- krew dziewicy (z tym składnikiem niestety nie będzie problemu)

Gwałtowny wiatr od oceanu zmroził Cecily, która siedziała na mokrym piasku. Chociaż deszcz nareszcie ustał, niebo wciąż pokrywały chmury, przesłaniając wszystkie gwiazdy. *Księga Cieni* leżała obok na ręczniku. Chociaż nie była tak zdobna jak księgi niektórych czarownic - mama ceniła *prostotę* – kryła się w niej dziwna moc. Cecily wydawało się, że jasnoszara okładka lśni nawet bez światła księżyca.

Mogła zostać w budynku, jednak uznała, że tam byłoby jej zbyt wygodnie: ciepło i przytulnie, z jasną lampą. Nie wygrałaby z pokusą, żeby przeczytać wszystkie zaklęcia mamy. Nie czuła się winna z powodu kradzieży, bo działała w ważnej sprawie, ale gdyby wykorzystwała okazję w innych celach, moralnie ustawiłaby się na przegranej pozycji. Poza tym, miło wyjść z zatłoczonego domu i na chwilę odpocząć od kiczowatych dekoracji. Odkryła, że chłodne nocne powietrze i ryczący ocean pomagają jej oczyścić myśli. Przestała zachwycać się tym, jak mocno zawstydzi Kathleen, i martwić się, jak mama zareaguje na bezprawne wykorzystanie jej *Księgi Cieni*. W końcu skupiła się na Scotcie.

Jak on się poczuje, gdy przestanie działać zaklęcie Kathleen? Księża tego nie precyzowała. Czy po prostu się odkocha i zacznie zastanawiać, co w niej widział? A może wydarzy się coś dramatycznego? Jeśli tak, to czy zda sobie sprawę, że znajdował się pod wpływem uroku? Na Cecily kilka razy rzucono nieszkodliwe czary -to standardowy element wykształcenia czarownicy. Każda musi wiedzieć, jak to jest. Uczucia, gdy urok pryska, nie dało się porównać z żadnym innym. Przypominało zjazd kolejką górską. Cecily czuła, że spada na ziemię z trzaskiem, i wiedziała, że wydarzyło się coś nienaturalnego.

Nawet ktoś, kto nigdy nie słyszał o Magicznym Rzemiośle, mógł się zorientować, że był pod wpływem czarów. Między innymi dlatego należało bardzo oszczędnie używać magii i w ogóle unikać rzucania uroków. A gdyby Scott zrozumiał, co się stało?

Najprawdopodobniej gdzieś na kartach *Księgi Cieni* kryła się odpowiedź, ale Cecily nie zamierzała jej szukać. W głębi serca zawsze wierzyła, że mężczyźni są zdolni zrozumieć i zaakceptować prawdy na temat magii i czarownictwa. Może nie wszyscy -ale także nie każda kobieta miała prawo się czegokolwiek na ten temat dowiedzieć. Mama przez całe życie oszukiwała ojca, ale Cecily nie chciała tak postępować.

Mężczyzna jej marzeń - szef kuchni, który otworzy z nią restaurację - uznałby nie tylko to, że Cecily jest czarownicą, ale także i to, jak wspaniała jest magia. Byłby dumny z mocy Cecily. I wspierałby ją bez względu na wszystko.

Czy Scott mógł być tym mężczyzną?

Serce podskoczyło jej w piersi. Właśnie zamierzała się przekonać.

Poranek nie był słoneczny, ale przynajmniej nie padało. Mimo chłodu i chmur niemal wszyscy poszli na plażę. Theo wybiegł na korytarz w kąpielówkach i fluorescencyjnych zielonych klapkach.

- Cecily! Chodź z nami popływać!

- Zaraz was dogonię - obiecała, wciskając się w czarne bikini. - To nie potrwa długo. - Przyjrzała się swojemu odbiciu.

Czy naprawdę kiedyś bała się włożyć ten kostium? W porównaniu z tym, o jaką stawkę miała dziś zagrać, wydawało się to zupełnie nieistotne.

A poza tym - wyglądała świetnie.

Wyszła z pokoju, zachowując się jakby nigdy nic. Przewiesiła sobie przez ramię wielki plażowy ręcznik, żeby ukryć to, co trzymała w dłoni: butelkę z pompką. Tym razem naczynie zawierało niemal gotowy eliksir do odczarowywania.

Dom opustoszał. Został tylko Scott, który wcierał sobie w ramiona krem do opalania. Cecily z ogromnym trudem powstrzymała się, by zaproponować mu pomoc.

- Cześć - powiedział. - Idziemy z Kathleen na plażę. Chcesz dołączyć?

- Ona nigdy nie chce! - wrzasnęła Kathleen ze swojego pokoju.

- Chyba trochę za zimno na kąpiel w oceanie - odparła z uśmiechem Cecily.

- Owszem, ale nie ma mowy, żebym tydzień siedział na Wybrzeżu i nawet raz sobie nie popływał. -

Scott obrzucił wzrokiem jej bikini. Tylko zerknął, ale to bardzo ją ośmieliło.

- Hm, a co powiecie na gorącą kąpiel na ładzie? - rzuciła obojętnym tonem, jakby ten pomysł właśnie przyszedł jej do głowy. - Ciepła woda, bulgotanie jacuzzi. .. To chyba lepsze niż odmrażanie sobie tyłków.

Scott uśmiechnął się ciepło, powoli, niemal roztapiając Cecily.

- A wiesz, to znakomity pomysł.

- W takim razie nie czekajcie na mnie z Kathleen. Muszę sprawdzić, co sobie robi na plaży, ale po drodze wpadnę się wykąpać.

Kociołek - gotowy, odhaczyła w myślach.

Poszła do barku. Ale jeszcze obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Scott rusza w stronę jacuzzi. Nigdy nie sądziła, że plecy faceta też mogą być seksowne.

Boski chłopak. To oczywiście nie usprawiedliwia Kathleen, ale przynajmniej ją rozumiem, pomyślała.

Ledwo wyszli, Cecily zabrała się do pracy. Korkociąg wydawał się bardzo prosty w obsłudze, ale jeszcze nigdy się nim nie posługiwała, więc otwieranie czerwonego wina zajęło o wiele więcej czasu, niż planowała. Opóźnienie spotęgowało napięcie. Gdyby nagle do salonu weszła matka, Cecily nie miałyby nawet szans wytłumaczyć, do czego potrzebuje alkoholu. Nie przeżyłaby tak długo.

Korek nareszcie ustąpił; wyskoczył z charakterystycznym dźwiękiem. Zapach zawartości butelki nie spodobał się Cecily. Może wino zamieniło się już w ocet? Tale czy inaczej, to nie powinno zaszkodzić eliksirowi.

Cienkim strumieniem wlała do buteleczki wino. Natychmiast uniósł się błękitny dymek, lśniący i trochę niezemski.

Należało go teraz wzmocnić - zaklęcie musiało być potężniejsze.

Sięgnęła po szklankę i drżącą ręką przeniosła ją nad zlew. Zaczęła się bać. Nie bądź głupia, tłumaczyła sobie. Nie zachowuj się jak Theo, który jęczy i płacze, zanim jeszcze dotrze do lekarza.

Ale to nie ból ją przerażał. Jeszcze nigdy nie przymierzyła się do tak poważnej magii. Nie miała pojęcia, co się stanie, jeśli coś zrobi źle, ale podejrzewała, że nic dobrego.

Dość, nakazała sobie surowo. Obróciła twarz, by ochronić oczy, i wrzuciła szklankę do zlewu. Szkło rozbiło się ze szczękiem, a Cecily poczuła ukłucie w dłoń. No cóż, przynajmniej nie musi przecinać sobie skóry.

Dodała kilka małych odłamków do mieszanki, po czym odkręciła pompkę i przez chwilę pottrzymała butelkę pod swoją dłonią, aż ściekło trochę krwi. Z każdą kroplą z wywaru strzelał nowy obłok dymu, coraz ciemniejszy - najpierw granatowy, potem fioletowy, a na koniec czarny. Chyba o coś takiego chodziło. W takim razie akcja- start.

Wkroczyła do łazienki z nadzieją, że ma pewną siebie minę. Zakochana para siedziała w gorącej wannie. Kathleen przewiesiła nogi przez kolana chłopaka. Podniosła głowę i popatrzyła na Cecily z urazą.

- Nie musisz przypadkiem pobawić się z braciszkiem?

- Za chwilę idę. Ale jeszcze nie teraz. Scott się uśmiechnął.

- A to co? - Wskazał butelkę z pompką. Powiew chłodnego wiatru przeczesał włosy Cecily, przyprawiając ją o dreszcz.

- Twoja wolność.

Kathleen otworzyła szeroko oczy. Wiedziała. Teraz albo nigdy.

Cecily odkręciła butelkę i wyszeptując zaklęcie, wlała wywar do wanny.

Eliksir zawirował. Czarnogranatowa spirala z każdą chwilą zataczała coraz szerszy krąg. Zamiast się rozpuścić, eliksir zabarwił wodę na czarno. Wkrótce *Scott i Kathleen* wyglądali, jak gdyby siedzieli w kałuży atramentu. Nad powierzchnią ukazał się gęsty dym; zaczął przelewać się nad brzegami wanny. Powietrze przybrało siarczany zapach. Cecily z trudem chwytła oddech.

- Co jest, do... - Scott usiłował wydostać się z jacuzzi, ale nie zdążył, bo wtedy nastąpiła gwałtowna eksplozja.

Nie taka prawdziwa - strzępy wanny i podłogi nie rozprysły się dokoła. Ale i tak to było jak wybuch. Fala wstrząsu pochłonęła całą trójkę, grzmiać niczym bomba dźwiękowa. W powietrzu zaiskrzyły małe łuki elektrycznych wyładowań. Kathleen zaczęła krzyczeć. Hm, nic dziwnego.

Nagle zapanował spokój. Scott osunął się, jakby stracił przytomność, ale Cecily zdążyła podtrzymać mu głowę.

- Scott? - zawołała drżącym głosem. - Wszystko w porządku?

- Tak. - Wyprostował się i zamrugał powoli z oszołomionym wyrazem twarzy. - Co się stało?

- Nie musisz wiedzieć. - Kathleen wygramoliła się z wanny cała roztrzęsiona. Naelektryzowane włosy stanęły jej dęba.

- Chodź, Scott.

- On nigdzie z tobą nie pójdzie.

- A kim ty jesteś, żeby o tym decydować? Scott, zabieram cię ze sobą. - Kathleen wyciągnęła do niego rękę, ale chłopak nawet nie drgnął.

Wciąż wydawał się mocno zdezorientowany. A właściwie... pusty. Jak gdyby nie był myślącą istotą. Czy ja mu zrobiłam krzywdę?

Wtedy jacuzzi włączyło się z powrotem, a chłopak uśmiechnął się leniwie, głupawo. Cecily nigdy wcześniej nie widziała u niego takiej miny.

- Kurczę, te wanny zawsze mnie rozbijają.

- Dlaczego? - Cecily przekrzywiła głowę.

- Bo jak widzę bąbelki, to zawsze myślę, że ktoś tam pierdzi.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytała Cecily. - Mówisz jakoś... inaczej niż zwykle.

Scott roześmiał się, co brzmiało jak rżenie osła.

- I wiecie co? Sam teraz pierdę, a wy nawet tego nie widzicie.

Cecily wycofała się na drugą stronę pomieszczenia. Coś tu było nie tak. *Scott* zmienił się kogoś zupełnie innego. Czyżby źle wypowiedziała zaklęcie?

- Zniszczyłaś go! - krzyknęła Kathleen, ocierając z policzków łzy wściekłości.

Cecily nagle odkryła całą prawdę.

- Ty nie tylko sprawiłaś, że cię polubił. Zaklęcie odmieniło też jego osobowość, żeby stał się twoim ideałem.

Albo moim, dokończyła w myślach, przypominając sobie, jakie wrażenie wywierał na niej Scott i jak się zmieniał z chwilą, gdy tylko Kathleen pojawiała się na horyzoncie. Czemu wcześniej nie zwróciła na to uwagi? Prawdziwy Scott to facet, który właśnie siedzi w jacuzzi. Głupi, z wysuniętą szczęką, totalnie niezainteresowany czymkolwiek wokół. Nawet nie słuchał ich rozmowy.

- Gdybyś miała dość odwagi, żeby wziąć *Księżę Cieni* matki, to poznałabyś prawdziwą magię - kpiła Kathleen.

Podeszła bliżej. Cecily przywarła plecami do balustrady. Jakich jeszcze zaklęć Kathleen się nauczyła? Do czego była zdolna? Cecily chciała wierzyć, że potrafi się obronić, ale wolałaby po prostu pobiec po pomoc. Ale Kathleen zagroziła jej drogę.

- Scott był ideałem i znów może nim być, bo ty przestaniesz mi przeszkadzać.

- Nic z tego - powiedziała surowo pani Pruitt. Stanęła w drzwiach łazienki, a za jej plecami zgromadziły się wszystkie matki. Miały bardzo poważne miny. - Kathleen, pozwól tutaj.

Twarz dziewczyny, która zwykle wyrażała złośliwość, przybrała wyraz, jakiego Cecily jeszcze nigdy u niej nie widziała. Kathleen ogarnął prawdziwy strach.

Najwyraźniej kobiety zorientowały się, że ktoś właśnie rzucił zaklęcie odczarowujące, i usłyszały dość, by domyślić się, co Kathleen zrobiła. Żadna nie użyła magii - to nie było konieczne. Sama moc dorosłych czarownic przekraczała wszystkie możliwości Cecily czy Kathleen.

Nareszcie długie i okrutne panowanie panny Pruitt dobiegło końca. I to jak spektakularnie.

- Co się z nią stanie? - zapytała później Cecily, gdy z matką przechadzały się po plaży.

- Już nigdy nie będzie mogła uprawiać magii. Nie pozna właściwych zaklęć, by rozpocząć pisanie własnej *Księgi Cieni*. Trzeba zniszczyć jej rekwizyty. Nie wymażemy tego, co już wie, jednak od dziś nie *wolno* jej uczestniczyć w żadnym sabacie. Pani Pruitt bardzo źle to zniesie, ale zasady to zasady. - Przez chwilę szły w milczeniu. - Jestem z ciebie bardzo dumna, że się teraz nie wywyższasz.

Cecily była pewna, że już wkrótce ogarnie ją dzika satysfakcja, ale na razie jeszcze nie otrząsnęła się z szoku.

- Ten wybuch, dym... Tata musiał coś widzieć...

- Powiedziałyśmy panom, że w jacuzzi nastąpiło zwarcie. Obawiam się, że w tym roku już się nie po-kąpiemy.

Cecily i tak nie weszły do tej wanny.

- A Scott?

- Nie wie, co się stało. I chyba to go nie interesuje. Razem popatrzyły w stronę domu. Scott siedział

z Theem na stopniach prowadzących na plażę. Wypił pół puszki piwa bezalkoholowego, po czym beknął, wypowiadając imię Thea. Chłopczyk oszalał z entuzjazmu. Cecily westchnęła.

- Wczoraj usiłowałaś ostrzec mnie przed Kathleen. Żałuję, że cię nie posłuchałam. W przyszłości tak nie zrobię.

- Dzięki, mamó.

- I nie będziesz miała już wymówki, żeby zaglądać do mojej *Księgi Cieni* bez pozwolenia.

- Jasne.

Mama z czułością pociągnęła Cecily za kucyk.

- Podjęłaś spore ryzyko. Nie tylko dlatego, że sama odczyliłaś urok. Gdyby Scott był bardziej... dociekliwy, pewnie zdałby sobie sprawę, że ktoś rzucił na niego czar. Zrozumiałby, że magia istnieje naprawdę. Wtedy zatuszowanie całej sprawy wymagałoby wiele pracy i sama nie dałabyś rady.

- Ale czemu musimy ich okłamywać? Nigdy nie chciałaś, żeby tata znał prawdę? Nie sądzisz, że kochałby cię mocniej, gdyby wiedział, jaką jesteś wspaniałą czarownicą?

Na chwilę zapadło milczenie. Cecily wsłuchiwała się w ryk oceanu.

- A myślałam, że właśnie dziś zrozumiesz, dlaczego należy postępować zgodnie z naszymi prawami - odparła w końcu mama.

To nie była żadna odpowiedź, ale Cecily wiedziała, że nic więcej nie usłyszy. Przytuliła mamę, po czym ruszyła biegiem w stronę morza. Chłodne fale pienią się wokół jej stóp.

Pewnego dnia to zrobię, pomyślała. Spotkam faceta, który zniesie prawdę. To, że pomyliłam się co do Scotta, nie znaczy, że moje marzenie nigdy się nie spełni.

Przynajmniej wakacje wciąż jeszcze nie przepadły. Cecily zostało kilka dni na dobrą zabawę - na którą w swoim przekonaniu naprawdę zasłużyła.

SAMODOSKONALENIE: NOWA USTA W ostatnie dni wakacji zamierzam:

- powstrzymać się od okazywania radości z powodu upadku Kathleen, przynajmniej przy świadkach
- pływać co najmniej dwie godziny dziennie
- sprawdzić, czy zyskałam na tyle dużo uznania, żeby mamy nauczyły mnie jakichś solidnych czarów
- ograć Thea w piłkarzyki przynajmniej raz, żeby odzyskać godność
- co dzień rano chodzić trzy kilometry po plaży

- sprawdzić, czy da się tu załatwić lekcje tenisa ° albo jazdy konnej
- podsumowując: po prostu przebywać na dworze tak dużo, jak tylko się da

Po chwili w oddali zagrzmiało, a na piasku pojawiły się pierwsze krople deszczu. Cecily jęknęła, biegnąc do najbliższego schronienia. Może uda się w przyszłym roku, pomyślała.

Maureen Johnson

Dekret o podejrzanych

Nienawidzę wakacji - powiedziałam. Moja siostra Marylou siedziała w bujanym fotelu przy oknie, bezmyślnie nawijając na palec rdzawe kosmyki włosów. Przed nią leżał otwarty *ZZP - DS--IV*, czyli - piszę na wypadek gdybyście nigdy o tej pozycji nie słyszeli - podręcznik *Zaburzenia zdrowia psychicznego - diagnostyka i statystyka*. Wydanie czwarte. Marylou właśnie skończyła pierwszy rok psychologii i... Uwielbiała marnować czas na diagnozowanie u mnie wszystkich, ale to dosłownie wszystkich przypadków z *DS-IV*. Cóż, nie powinnam jej tego mówić.

- Utrata zainteresowania rzeczami, które normalny człowiek uważa za przyjemne - oświadczyła. -Charlie, masz depresję.

- Normalny człowiek? - powtórzyłam.

Nie lubimy używać tego pojęcia... - powiedziała, chociaż właśnie go użyła.

- My, czyli kto?

- Specjaliści zajmujący się zdrowiem psychicznym.

Nazwanie Marylou specjalistką od zdrowia psychicznego granoczyło chyba z absurdem. Iak naprawdę była fachowcem od robienia kawy z ekspresu, z ukończonymi dwoma semestrami wstępu do psychologii.

- Jasne - odparłam. - Specjalistka od zdrowia psychicznego. Ale przecież w pracy serwujesz latte. Czyżbyś została dyrektorką Starbucks? Dobrze rozumiuję?

- Zamknij się, Charlie. Szelest przewracanych kartek.

- A właściwie dlaczego tak ci zależy, żeby mnie zdiagnozować? - spytałam, odpędzając natrętną muchę. - Facet siedzący obok mnie w samolocie usiłował mnie ukłuć widelcem, a jednak nie przypięłaś mu żadnej etykiety.

- Bo wcale nie chciał cię ukłuć - odparła spokojnie. - Kłamałaś.

To mnie prześladowało. Kiedyś często kłamałam. Albo raczej - koloryzowałam. Chyba po prostu się nudziłam i moje małe dodatki do różnych historii ubarwiały mi świat. Muszę przyznać, byłam w tym niezła. Potrafiłam nabrać każdego. Moje kłamstwa nikomu nie szkodziły, nikogo też nie zraniłam. Przecież pies, który pogonił mnie na ulicy, mógł być większy, a nawet chorować na wściekliznę. Nie upuściłam lodów, bo przestraszył mnie podmuch wiatru, tylko trąba powietrzna.

Ale kłamanie jest złe. Teraz to wiem. Chociaż moje kłamstwa nie były podłe, spowodowały mnóstwo problemów i ludzie przestali mi ufać. Dlatego skończyłam z tym raz na zawsze, w pierwszej klasie liceum. Jestem na odwyku od trzech lat.

tylko że nikogo to nie obchodzi. To chyba tak jak z kryminalną przeszłością. Nikt nigdy już ci nie zaufa. Nawet jeśli kiedyś kradłeś, ale teraz odmieniłeś swoje życie i wszyscy o tym wiedzą, to i tak nikt cię nie poprosi, żebyś zaniósł gotówkę do banku.

A facet z siedzenia 56E naprawdę ukłuł mnie widelcem. Chyba podejrzewał, że zwinęłam mu słuchawki Air France, kiedy drzemał. Ale byłam niewinna. Stewardessa po prostu go nie obudziła, kiedy rozdawała słuchawki. Marylou i ja używałyśmy własnych, a ona wcisnęła mi parę od Air France do kieszeni fotela. I właśnie dlatego, kiedy pan z miejsca 56E obudził się z chrapnięciem nad środkiem Atlantyku, zobaczył parę słuchawek, które ja miałam przed sobą. Nic nie powiedział, ale jego oczy krzyczały wyraźnie „złodziejka!” Gdy zbliżyła się stewardessa z tacami, z takim impetem chwycił widelec, że omal nie dziabnął mnie w rękę. Przez cały lot zachowywał się dziwnie. Chyba kilkanaście razy wstawał, żeby ćwiczyć jogę na tyłach samolotu. A do tego czytał książkę o wyrobie jogurtu.

Ale czy Marylou choćby zainteresowała się tym wzorcem normalności? Skąd!

Ja byłam ciekawszym obiektem badań.

Prawdę mówiąc, nie miałyśmy nic szczególnego do roboty poza omawianiem objawów różnych zaburzeń, więc nic dziwnego, że wróciłyśmy do depresji. Może i cierpiałam na depresję. Każdy czułby się przygnębiony w mojej sytuacji.

Marylou i ja siedziałyśmy we Francji od trzech dni i nic nie szło zgodnie z planem. Nasza matka urodziła się jako Francuzka, ale jej rodzice wyprowadzili się do Ameryki, gdy miała tylko cztery lata. I tak oto dorobiłyśmy się całej masy francuskich krewnych, którzy od lat suszyli mamie głowę, żeby przywiozła do Francji małą Marie-Louise i Charlotte, bo przecież dziewczynki muszą zobaczyć kraj przodków. Szczególnie domagał się tego kuzyn Claude, paryska gruba ryba reklamy. To on zrobił klip z dziećmi ubranymi w malutkie zbroje ~ wszyscy się tym zachwycali. Mieszkał w centrum Paryża i najbardziej na świecie pragnął wizyty młodych kuzynek, które mógłby oprowadzić po mieście.

Marylou i ja gorąco popierałyśmy ten pomysł, bo kto nie chce jechać na miesiąc do Paryża? A taki właśnie był plan: wycieczka na cały sierpień. Marylou właśnie skończyła pierwszy rok studiów, a ja zdałam do ostatniej klasy liceum, więc wydawało się, że jesteśmy wystarczająco duże na samodzielną podróż, a zarazem wciąż młode, i że nastał właściwy czas. W dodatku Air France zrobiło promocję na bilety.

W końcu więc wyruszyłyśmy do Francji, wylądowałyśmy w Paryżu i zostałyśmy powitane przez Claude[^], który miał ze dwa metry wzrostu i zachowywał się bardzo serdecznie. Spędziłyśmy jedną noc w jego paryskim mieszkaniu, odsypiając podróż w pokoju gościnnym. Następnego ranka spodziewałyśmy się wycieczki pod wieżę Eiffla, przejażdżki skuterami po ulicach i jedzenia mnóstwa sera. Chciałyśmy zakosztować francuskiego życia, które kuzyn tak nam zachwalał.

Ale Claude powiedział *non, non, non*, żaden pa-ryżanin nie siedzi w mieście w sierpniu. Jest zbyt gorąco. Czy miałybyśmy ochotę pojechać na wieś? Nie miałyśmy, ale z grzeczności nie zaprotestowałyśmy. W zasadzie cokolwiek byśmy odpowiedziały, nie zrobiłoby to żadnej różnicy, bo Claude zdążył już wynająć domek w Prowansji. Po południu wyjazd. Wtedy jednak zadzwonił telefon. Coś poszło nie tak z tymi dziećmi w zbrojach i Claude musiał zostać. Powiedział, żebyśmy jechały same, on do nas dołączy. Na miejscu miał nas powitać gospodarz. Niech żyje Francja!

Niecałe dwadzieścia cztery godziny po przylocie wylądowałyśmy więc w pociągu zmierzającym na francuską wieś i to bez Claude'a. Przejażdżka była bardzo przyjemna. Cały czas wyglądałyśmy przez okno i zamawiałyśmy kolejne kieliszki wina po siedem euro sztuka - bo tu nam wolno. Ponieważ wciąż jeszcze nie oprzytomniałyśmy po podróży ze Stanów, omal nie przegapiłyśmy przystanku.

Ale Marylou - jak to ona - pędem rzuciła się po bagaże, więc zdołałyśmy wsiąść. Dzięki temu nie dotarłyśmy do Włoch lub na koniec świata.

Za dworcem czekał na nas mężczyzna w małym, niebieskim samochodzie. Miał siwe włosy i wściekłą minę. Nie mówił po angielsku, ale chyba wiedział, kim jesteśmy. Ten fakt - oraz całkowity brak innych kandydatów na naszego gospodarza w okolicy - przekonał nas do pojechania z facetem. Ogromne walizy nie mieściły się w bagażniku, więc musiałyśmy wsiąść, a bagaż został wsadzony do tyłu, przygważdżając nas do niemal roztopionych z upału siedzeń.

Po drodze gospodarz pokazał nam dowód osobisty, z którego dowiedziałyśmy się, że ma na imię Eriquer. Facet tak ostro kaszlał, że tracił kontrolę nad samochodem. Jechaliśmy zygakiem. Marylou i ja znałyśmy w sumie kilkadziesiąt francuskich słówek, co nie wystarczało do nawiązania rozmowy, ale co jakiś czas usiłowałyśmy oczarować i rozbawić Eriquer'a, rzucając bez szczególnego związku z czymkolwiek takie słowa, jak „gorąco”, „pociąg”, „Paryż” czy „drzewo”. Za każdym razem, kiedy się odzywałyśmy, patrzył na nas smutno przez lusterko, więc w końcu przestałyśmy.

Przejechaliśmy przez wioskę - dokładnie tak piękną i spokojną, jak można sobie wyobrazić francuską prowincję. Ludzie wychodzili z piekarni z bagietkami i popijali wino pod parasolami przed wejściem do kawiarni. Wokół kręciły się na rowerach francuskie dzieci, przy antycznej fontannie siedzieli staruszkowie, w oddali migotały wzgórza. Ten sielski krajobraz jak z podręcznika do francuskiego zakłócały tylko ambulans i radiowóz. Mrugały światłami zaparkowane przy jednym z urokliwych domków. Przy otwartych drzwiach stała grupka ratowników medycznych i policjantów. Palili papierosy i rozmawiali oparci o puste nosze. W tym miasteczku nawet z wypadkami radzono sobie ze spokojną elegancją. Za wioską zjechaliśmy z wygodnych asfaltowanych dróg na nieco wyboiste wśród gajów oliwnych. A z wyboistych - na ścieżki prowadzące donikąd. Jeszcze piętnaście minut męczyliśmy się w rozklekotanym aucie, w koszmarnej upale, z wielkim bagażem, który miażdżył nam kolana. W końcu Eriq zjechał na jeszcze węższą drożkę i zza drzew wyłonił się przed nami dom.

Ściany były koloru kremowego marmuru, a wszystkie okiennice błękitne. Dom wyraźnie odcinał się od tła drzew, za którymi rosły kolejne drzewa. I jeszcze więcej drzew. Gdziekolwiek tylko wystawały krzaki rozmarynu czy lawendy. Gdy szło się zwirową alejką do drzwi, słodki zapach ziół niemal zwał z nóg. Potem dawało się nura w grubą warstwę zieleni osłaniającą dom. Z boku płynął strumyk, który autentycznie szumiał i mieszkało w nim z dziesięć milionów malutkich, czarnych żabek.

Eriq oprowadził nas po nowym francuskim lokum. Otwierał drzwi, włączał wentylatory, podnosił martwe pająki i żaby i wyrzucał je przez okno. Dom wyglądał tak, jak gdyby co dziesięć lat zmieniano wystrój. Zaczęli chyba w 1750, a skończyli około 1970 roku. Meble wielkie i ciężkie jak z *Hobbita*, Niektóre ściany wykończono boazerią, ale na większości widniały tapety. W jednym z pokoiów - żółte, psychodeliczne z lat sześćdziesiątych, w innym - panelopodobne, w kolejnym - z nadrukowanymi brązowymi jabłkami i gruszkami. W naszej sypialni wzór był całkiem znośny: niebieskie dzwonki i splątane pnącza winorośli. Sama bym sobie nie przykleiła czegoś takiego do ściany, ale przynajmniej ta tapeta nie przyprowadzała mnie do dreszcze jak to coś w żółtym pokoju czy gnijące owoce.

Głównymi ozdobami były stare oprawione mapy Francji, z obrzydliwymi żółtymi plamami w miejscach, gdzie pod szkło dostała się wilgoć. Łazienkę dekorowała reklama keyboardów Casio - chyba z połowy lat osiemdziesiątych. Przedstawiała faceta w pomarańczowym garniturze, który ścisnął pod pachą keyboard. Bardzo długo przyglądałam się temu dziełu. Zastanawiałam się, kto i dlaczego zadał sobie trud, żeby zabrać takie paskudztwo z magazynu, oprawić i powiesić przy umywalce.

Eriq wypełnił malutką lodówkę jedzeniem, zastawił półki bochnami chleba, ciepłą oranżadą i wodą, a potem odjechał z turkotem. Zaczęliśmy szukać rozrywek. Trafiłyśmy na regał francuskich romansów, powieści detektywistycznych, przewodników i książek historycznych - wszystkie zaczynały śmierdzieć pleśnią. Znalazłyśmy też trochę starych gier planszowych. I telewizor z anteną. Łapał tylko jeden kanał z amerykańskimi kreskówkami dubbingowanymi po francusku.

Przypuszczałam, że większość Francuzów, którzy wynajmowali ten dom na wakacje, przyjeżdżała z własnymi rowerami i kajakami - i keyboardami Casio, i cokolwiek jeszcze. Claude napomknął, że przywiezie nam sprzęt, kiedy tylko da radę, więc miałyśmy po prostu „wypoczywać”, czyli po prostu snuć się po kątach, czekać i umierać z nudów. Nie mogłam znieść tego drewna, zapachu rozmarynu i tymianku. Czułam się, jakbym zamieszkała na półce z przyprawami.

Rozejrzałyśmy się po okolicy, ale Marylou bała się małych żab, głównie dlatego że co chwila wyskakiwały znieca na drogę. Jedną przez nieuwagę rozdeptała, a potem musiała przejść wszystkie pięć stadiów żalu. Marylou słynie z łagodności i niechęci do przemocy. Pająki, karaluchy, robactwo... - wobec takich przeciwników staje się bezbronna. Resztę popołudnia

spędziłam więc na pocieszeniu siostry. Wieczorem zjadłyśmy kolację, przeczytałyśmy książki, które przywiozłyśmy ze sobą, i czekałyśmy dalej.

Tak minęły dwa dni. Eriqne przyjeżdżał każdego popołudnia i przywoził przepyszne wiejskie jedzenie, po czym patrzył na nas bezradnie. Czasem wskazywał na zegarek, po czym wymownie pomachał butelką mleka. Zupełnie nie wiedziałyśmy, o co mu chodzi. Tylko raz go zrozumiłyśmy - zaprezentował nam wtedy małego martwego skorpiona. Roześmiał się, po czym zdjął but i nim potrząsnął. Początkowo totalnie nie kapowałyśmy w czym rzecz, ale ponieważ robił tak za każdym razem, gdy od nas wychodził, w końcu zdałyśmy sobie sprawę, że my też powinnyśmy wytrząsać buty przed włożeniem, żeby sprawdzić, czy w środku nie ma skorpionów.

Byłyśmy bezpieczne i dobrze karmione, ale powoli popadałyśmy w szaleństwo. Tak przynajmniej uważała Marylou, sądząc po tym, ile razy diagnozowała mnie z bujanego fotela w sypialni. Ostatnio dopatrywała się u mnie stanów lękowych, ADHD, zaburzeń postrzegania ciała, kłopotów adaptacyjnych i tendencji do kleptomanii - ponieważ używałam jej szczoteczki. Tym razem dostałam depresji. I na tym kończy się krótkie wprowadzenie. Mamy dzień trzeci.

- Tobie też się nie podobają - stwierdziłam. - Więc albo obie jesteśmy nienormalne, albo obie cierpimy na depresję. A po co targałaś ze sobą tę cegłę? To nie jest wakacyjna lektura.

- Owszem, jest, jeśli chcesz dobrze zdać egzamin. Poza tym co mam lepszego do roboty? Racja. Sama wpatrywałam się we francuskie wydanie „Vogue'a” z 1984 roku. Oczywiście fajnie pooglądać wielkie, natapirowane fryzury, ale ile można. Odłożyłam pismo i podniosłam bezużyteczny telefon na kartę, który kupił Claude. Nasze amerykańskie komórki albo by nie działały, albo połączenie kosztowałoby milion dolarów za sekundę.

- Może sygnał nie dociera przez te ściany? - powiedziałam, chociaż ani przez sekundę w to nie wierzyłam. Ostatni raz jakkolwiek sieć telefon wykrywał na stacji kolejowej, ponad dziesięć kilometrów stąd. - Przecież gdzieś tu na pewno jest zasięg. Muszę tylko znaleźć to miejsce.

- Powodzenia. - Marylou pomachała mi dłonią, ale nawet nie podniosła wzroku. - Spróbuj.

- Ciebie to w ogóle nie wkurza? To już trzy dni. Powiedział, że się spóźni... góra dobę.

- Nic podobnego nie mówił. Obiecał, że przyjedzie, kiedy tylko załatwi sprawę. Ktoś przynosi nam jedzenie dwa razy dziennie. Pyszne jedzenie. Mieszkamy w pięknym domu...

- Pięknym? - powtórzyłam.

- Biorąc pod uwagę, że to francuska wieś. Trzeba się przyzwyczaić do innego sposobu życia, spokojnego tempa. Spokój jest dobry.

- Nienawidzę spokoju. - Wzdrygnęłam się. Marylou przewróciła kilka stron, prawdopodobnie w poszukiwaniu zaburzenia, które sprawia, że ktoś nie lubi nudnych odludzi.

- Czemu nie pójdziesz ze mną? - spytałam.

- Z powodu żab. Dobrze mi tutaj.

Wyszłam i usiadłam na ścieżce z wyprostowanymi nogami. Pozwoliłam, by żabki skakały wokół moich kostek. Chyba sprawiało im to frajdę. Na pewno po raz pierwszy widziały czyjeś stopy w swoim żabim świecie. Wyjście z dusznego domu poprawiło mi humor.

Ruszyłam w stronę drogi. Widoki były bez wątpienia piękne, ale nawet najcudowniejszy krajobraz zaczyna ci grać na nerwach, kiedy czujesz się odcięta od świata, znudzona i nie wiesz co się właściwie, do cholery, dzieje. Chociaż doceniałam urok łagodnego, żółtego światła okalającego białe wzgórza jasnych pasów fioletu kwitnącej lawendy, a także ciężki aromat sosen... to naprawdę chciałam zobaczyć kilka kresek zasięgu na ekranie komórki. Przeszłam co najmniej dwa kilometry zupełnie sama. Zero ludzi. Zero zasięgu. Minęłam gaj oliwny. Drzewka uginały się od owoców, a przez alejkę przemknęły jakieś zwierzątka. Poza tym - cisza.

W końcu dotarłam do małej, czerwonej chatki. Przed nią krzątał się człowiek. Powiedziałam „krzątał się”, bo naprawdę to właśnie robił. Nigdy wcześniej nie widziałam prawdziwego krzątania. W profesjonalnym wykonaniu działa na obserwatora niemal magnetycznie. Jest w nim jakaś bezcelowość, która zawsze się udziela. Ten człowiek na przykład w kółko chodził po trawniku.

Wyglądał całkiem sympatycznie; dałabym mu dwadzieścia, trzydzieści lat. Miał długie włosy w artystycznym nieładzie i ziemię na kolanach, szortach i dłoniach, jak gdyby przed chwilą skończył pracę w ogrodzie. Na kamiennym schodku stał plastikowy pojemnik z dużymi pomidorami, paprykami i bakłażanami. Facet wydawał się całkowicie zdezorientowany i palił bardzo nerwowo, jakby nie mógł wchłonąć dość nikotyny, mimo że zaciągał się szybko i chciwie. Na mój widok zamrugał kilka razy, pomachał sztywno i powiedział *bonjour*.

Odpowiedziałam *bonjour*, ale to zachęciło go do trajkotania po francusku z prędkością karabinu maszynowego, więc pokręciłam głową i podeszłam bliżej.

- Przepraszam. Nie znam...

- A, rozumiem - odparł błyskawicznie. - Jesteś Angielką? Amerykanką?

- Amerykanką.

Znakomicie mówił po angielsku, prawie bez obcego akcentu, choć ewidentnie był Francuzem. Tylko leciutko zniekształcał końcówki słów.

- Szukam swojego psa - ciągnął. - Często ucieka, żeby polować na króliki. Nie ma go już od wielu godzin. Widziałaś może po drodze psa?

- Nie. Bardzo mi przykro.

Przygryzł wargę w zamyśleniu, po czym wbił wzrok w drzewa.

- Boję się, że wpadł do jakiejś dziury albo został ranny. Wołam i wołam, ale nie przychodzi. -

Wyssał resztę papierosa i upuścił żarzący się niedopałek na trawę. Pet powoli wygasł. -

Przyjechałaś tu na wakacje?

- Tak. Z siostrą... Mieszkamy w domku przy drodze. .. Nasz kuzyn...

- Znam ten domek.

- Usiłuję się do kogoś dodzwonić, ale komórki tu nie działają.

- Komórki? A... telefony komórkowe. Niestety, rzeczywiście nie ma zasięgu. Ani innego telefonu. Nazywam się Henri, a ty?

- Char... lotte. - Wszyscy mówią na mnie Charlie, ale we Francji czułam, że powinnam używać prawdziwego imienia.

- Chce ci się pić? Taki upał. Może się czymś poczęstujesz? - Nie czekając na odpowiedź, skinął na mnie, podniósł koszyk i wszedł do domu.

- Sam wyhodowałeś?

Spojrzał w dół na koszyk, jakby o nim zupełnie zapomniał.

- O, tak - odparł roztargnionym tonem. - W ogrodzie.

Drzwi wychodziły bezpośrednio na wielką kuchnię z szorstką, drewnianą podłogą, wiązkami wyschniętych ziół i wielką, czerwoną kuchenką z masywnymi płaskimi palnikami.

Henri postawił kosz na stole.

- Lemoniady? Bardzo smaczna.

Poprosiłam, więc nalał mi szklankę. Napój okazał się tak straszliwie kwaśny, że omal się nie popłakałam, ale wypijałam do końca, żeby nie zachować się niegrzecznie.

- Przyjechałaś z rodziną?

Cały czas mówił beznamiętnym tonem, niemal bezmyślnie wyciągnął kolejnego papierosa z paczki i zaczął nerwowo się zaciągać.

- Tylko z siostrą, Marylou - przypomniałam. - Naprawdę nazywa się Marie-Louise.

Oczy Henriego nagle dziwnie zabłyśły. Popatrzył na mnie tak, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy. Wziął lekki oddech i położył papierosa na popielniczce.

- Dziwne imiona - zauważył. - Niezwykle historycznie obciążone.

- To znaczy?

- Ile wiesz o rewolucji francuskiej?

- Niewiele. - Miałam na myśli „prawie nic”, ale wyglądało na to, że Henri i tak zamierza wygłosić wykład, więc się nie przejmowałam.

- Z pewnością słyszałaś, że lud obalił króla i królową, a większość arystokracji zamordował. Nastąpił okres zwany terrorem. Zginęło tysiące ludzi. Wprowadzono wtedy dekret o podejrzanych. Obywatelowi, o którym powiedziano, że jest wrogiem ludu, groziła śmierć. Każdego można było oskarżyć. Każdego zabić. I każdy by to zrobił.

Kiwałam głową, zastanawiając się nad tym, do czego Henri zmierza, ale też nad tym, jak wypić tę lemoniadę, żeby nie podrażniła mojego wrażliwego języka, który niezwykle gwałtownie reaguje na kwaśny smak.

- Marie-Louise to imiona księżniczki Lamballe, powiernicy Marii Antoniny. Zabito ją we wrześniu 1792 roku, w czasie masakr. Wiesz jak?

- Nie.

- Wyciągnęli ją z więzienia w La Force. Dziki tłum rzucił się na nią i rozerwał ją na strzępy. Głowę odcięto od ciała i zanieśiono do fryzjera, by ten ją... uczesał. Na koniec, nabito tę głowę na kij, zanieśiono do okna Marii Antoniny i wsadzono do środka. Natomiast Charlotte to imię jednej z najsłynniejszych morderczyń w całej Francji, Charlotte Corday. Wbiła nóż w pierś Jeana-Paula Marata. W wannie. Sławny obraz przedstawia tę scenę

- Świetnie - mruknęłam. - Ale to dość popularne imiona.

Kiedy zapalił kolejnego papierosa, zauważyłam, że trochę się denerwuje. Zapalił zapałkę dopiero za czwartym razem. Właściwie wiedziałam, o czym mówi, ale wolałam, żeby już skończył. Udało mi się wypić lemoniadę. Wciąż nie miałam zasięgu i musiałam się pospieszyć, jeśli nie chciałam przegapić ulubionej kreskówki w telewizji.

- To po prostu historia Francji. Poznajemy ją w szkole. Ale mnie zawsze udowadniała jedno: każdy jest zdolny do morderstwa. Każdy. Wielu rewolucjonistów twierdziło, że zabija w imię wolności, ale to nie tłumaczy, dlaczego organizowano lincze... Ludzie włamywali się do mieszkań, wywlekali na ulicę krzyczące ofiary i żywcem obdzierali je ze skóry. Praczki wołały „krwi!” pod gilotyną. To byli zupełnie przeciętni obywatele. Tę falę zbrodni nazywano rewolucyjnym duchem. Ale to duch morderczy panował wówczas we Francji. To on panuje wszędzie...

Henri zaczął się zachowywać naprawdę podejrzanie. Może Francuzi zawsze opowiadają historyjki o masowych mordach z przeszłości, kiedy chcą się zaprzyjaźnić. Ot, po prostu dla przełamania lodów, pomyślałam. Henri tymczasem głądził o różnych okropnościach, aż w końcu musiałam mu przerwać.

- Czy mogłabym skorzystać z łazienki? - wtrąciłam, kiedy brał oddech między zdaniem.

Moja prośba zbiła Henriego z pantafelku. Zakrztusił się dymem z papierosa.

- Oczywiście. Jest na górze.

Dom był znacznie sympatyczniejszy niż nasz, ale nic dziwnego - facet mieszkał tu na stałe. Salon wyglądał bardzo schludnie. Stały w nim mnóstwo regałów, sprzęt do nagrywania, drukarka i coś, co przypominało porządną wieżę. Na ścianach wisiły artystyczne fotografie. Niektóre przedstawiały krajobraz, inne gospodarza i jakąś kobietę - pewnie jego żonę. Na jednym zdjęciu, blisko szczytu schodów, kobieta była zupełnie naga, ale wyglądała gustownie, po francusku i nawet trochę wzruszająco. Wszędzie piętrzyły się sterty książek. Na podłodze leżało kilka psich zabawek.

Łazienka znajdowała się tuż przy schodach. Solidne pomieszczenie wyłożone błotnymi kafelkami... ale bez ręczników, dywanika, firan, papieru toaletowego, zasłonki od prysznica... Nie zauważyłam nawet mydła. Wyglądało to tak, jak gdyby nikt nie używał tej łazienki.

Gdy zesłam z powrotem, Henri stał w korytarzu. Wiatr trząsał czerwonymi drzwiami. Wichura wpadła do środka i zaczęła ciskać różnymi przedmiotami. Henri zupełnie nie zwracał na to uwagi.

- Chyba idzie burza - powiedział. - Może dotrze tu już dziś. Zjesz coś?

- Nie, dziękuję - odparłam szybko. - Muszę wracać. Siostra będzie się martwić.

- Ach tak. Siostra.

- Bardzo ładne zdjęcia. To twoja żona? Henri jakby nie miał pojęcia, o czym mówię.

- Te zdjęcia przy schodach. - wskazałam na oprawione odbitki.

- Moja żona - powtórzył. - Tak, to moja żona.

- Zostaniemy tu jakiś czas. - Prześliznęłam się obok niego do drzwi. - Poszukam twojego psa. Szybko wyszłam z domu, chcąc jak najszybciej oddalić się od Henriego. Przez całą drogę słyszałam wycie wiatru, który nawiewał mi brud i pyłki do oczu. Gdy znów znalazłam się pod naszym dachem, ledwo widziałam i wyglądałam jak kupka nieszczęścia. Tymczasem Marylou nawet nie zmieniła pozycji. Wciąż siedziała z małutkimi stopami podwiniętymi pod krzesło. Zamknęła wielkie, błękitne okiennice w sypialni, żeby nie wpadał wiatr, więc teraz pokój pochłaniały ciemności, które rozpraszała tylko stara lampka w rogu.

- Ludzie tutaj są bardzo dziwni - powiedziałam. Marylou podniosła wzrok znad „wielkiej księgi wariatów”.

- Zdefiniuj, co rozumiesz przez „dziwni”.

- Po drodze minęłam pewien domek. Stał przed nim facet, który wyglądał jak zombie. Szukał swojego psa, a gadał w kółko o rewolucji francuskiej, morderczym duchu i jakimś koszmarnym dekrete. Naprawdę przyprawiał o dreszcze. Nie trzymał nic w łazience...

- Charlie - przerwała mi siostra, zamykając książkę. - Myślałam, że już z tym skończyłaś.

- Mówię poważnie.

Jednak Marylou ewidentnie mi nie uwierzyła.

- Powinnyśmy wrócić do Paryża - oznajmiłam. - Dostać się do miasteczka i wsiąść do tego samego pociągu, którym tu przyjechałyśmy. To miejsce jest straszne.

- Ale Claude pewnie już do nas jedzie. Więc dokąd tam byśmy poszły? A co z telefonem? Pokręciłam głową.

- No cóż... Był Eriąue z zakupami. Weźmy się do jedzenia.

Eriąue przyniósł same pyszności - pieczonego kurczaka, chleb, *omidory* i miękki ser pachnący lawendą. I jeszcze więcej ciepłej oranżady. Wiatr tłukł w ściany domu, gdy Marylou zastawiała nasz hobbitowy stół ciężkimi, biało-niebieskimi talerzami z kredensu. Zamknęła też kuchenne okiennice, więc i tu zapanowała ciemność. Usiadłam na jednej z ław, wpatrując się we wzór sęków na drewnianym stole.

- No, nie wygłupiaj się - powiedziała Marylou. - Tu wcale nie jest tak źle. Spróbuj. - Oderwała widelcem kawałek kurczaka, po czym odcięła mi kawałek sera i chleba.

Wszystko smakowało wyśmienicie - chrupki kurczak z tymiankiem i ser przetykany ślicznymi, fioletowymi nitkami lawendy. Chyba powinnam się cieszyć typową francuską atmosferą - siedziałam w ciepłe, bezpieczna, wiatr hulał na zewnątrz, jadłam pyszności... Ale wcale się nie cieszyłam. Ogarniały mnie mdłości.

- Co się z tobą dzieje? - spytała Marylou.

- To wina tego faceta.

- Dobra... - Rozsmarowała grubą warstwę sera na chlebie. - Co ci naopowiadał, że tak się wystraszyłaś?

Powtórzyłam tyle, ile pamiętałam z wynurzeń Henriego. Bardzo starałam się jak najdokładniej odtworzyć fakty. Kiedy skończyłam, Marylou pokręciła lekko głową.

- Widać interesuje się historią. I lubi krwawe opowieści. To nie wystarczy, żeby go uznać za wariata, Charlie.

- Och, przecież nie używamy takich słów - poprawiłam ją.

Marylou zaczęła się śmiać, a mnie zrobiło się trochę lepiej, że wyrzuciłam z siebie tę makabreskę. Wiatr już nie wydawał się taki ponury. Zjadłam duży kawałek kurczaka i długo rozmawialiśmy o innych sprawach. Na przykład, że pod moją nieobecność Marylou znalazła rakiety i piłeczkę do ping-ponga i że nasz stół łatwo zmienić w pingpongowy. Właśnie kończyłyśmy kolację, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Marylou rzuciła się, by otworzyć. Ale to nie był Claude. Spotkało nas większe szczęście. W progu stał facet w wieku Marylou. Wysoki, szczupły, z krótkimi, wystrzępionymi czarnymi włosami. Miał na sobie powycinaną koszulkę Led Zeppelin i dzinsy obcięte na wysokości kolan. We włosy wplątała mu się jakaś roślina. Mocno się pocił. Ale w ogóle był przystojny. Nawet bardzo.

Otworzył usta, ale postanowiłam od razu zapobiec nieporozumieniom, j

- Nie mówimy po francusku.

- Mój angielski jest taki sobie. - Nieśmiało wszedł do pokoju. Rozejrzał się po naszej hobbickiej kuchni. - Nazywam się Gerard i mieszkam w wiosce.

Widziałem cię, jak idziesz ścieżką. Pomyślałem, że wpadnę się przywitać.

Wpatrywałyśmy się w niego głupio. Zdaje się, że po tylu dniach tkwienia we francuskiej chacie na widok faceta po prostu traci się głowę. A umiejętności społeczne cofają się do prymitywnych stadiów rozwoju.

- Witaj - wydusiła w końcu Marylou. - Może masz ochotę na... yyy... kurczaka? Albo ser... czy...? - Wskazała na prawie całkiem ogryzione kości, resztkę sera i okruchy chleba.

- Coś do picia! - rzuciłam. - Mamy oranżadę!

- Z przyjemnością. Dziękuję.

Nalałam Gerardowi i usiedliśmy do stołu. Chłopak wbił nieśmiały wzrok w szklankę. Był wyrośniętym młodzieńcem, który wyglądał, jakby dorastał na tych pięknych polach, a mięśnie wyrobił sobie na kręceniu serów.

- A jak masz na imię? - spytał.

- Charlie. Charlotte.

- Charlie Charlotte?

- Które wolisz - wymamrotałam.

- A ja jestem Marylou. - Siostra najwyraźniej wyciągnęła lekcję z moich opowieści i nie zamierzała podawać swojego francuskiego imienia.

- Co tu robicie? - zapytał.

Udało mi się wyprzedzić Marylou i przedstawić Gerardowi całą historię: od pana z miejsca 56E, przez Claude'a i jego dzieci w zbrojach, Eriquer'a, malutkie żaby, aż po Henriego i jego mrozące krew w żyłach opowieści. Ta ostatnia część zaintrygowała Gerarda. Cały czas nie spuszczał ze mnie uważnego spojrzenia orzechowych oczu.

- 'enri lubi 'istorię - powiedział, ale jakoś mało entuzjastycznie.

Wywnioskowałam więc, że Henri po prostu serwował straszliwe opowiadki o historii, krwi i śmierci komu tylko się dało. Gerard miał taki wyraz twarzy, jakby kiedyś to już wszystko słyszał.

- A ty co robisz? - zapytała Marylou.

- Studiuję na uniwersytecie w Lyonie. Psychologię. Ach, ta radość na obliczu mojej siostry.

Oto Marylou

poznała bratnią duszę. Natychmiast zaczęła bredzić o tych wspaniałych dniach w laboratorium, kiedy torturowała studentów, którzy zgodzili się uczestniczyć w badaniach po osiem dolców za godzinę. Gerard pokiwał głową i od czasu do czasu coś komentował. O ile dobrze go zrozumiałam, miał dziewiętnaście lat, studiował od roku i psychologia nie zachwycała go aż tak jak Marylou. Zresztą nic dziwnego - trudno byłoby przebić Marylou pod względem miłości do psychologii. Gerard słuchał koleżanki po fachu przez dobrą godzinę, ale częściej zerkał na mnie.

To wydało mi się podejrzane. Uznałam, że pewnie zainteresuje się starszą dziewczyną, bardziej zrównoważoną i lepiej wykształconą. Najwyraźniej jednak się pomyliłam. Ilekroć Marylou odwracała wzrok, spojrzenie Gerarda krzyżowało się z moim - a wyraźny błysk w jego oczach przypominał mi o dreszczu z podniecenia. Francja z Gerardem wydawała się o wiele sympatyczniejszym krajem.

- A ten DS... DS... - zagadnął w pewnym momencie Gerard.

- *DS, wydanie czwarte* - podsunęła Marylou.

- Właśnie. Bardzo 'ciałbym go zobaczyć. Masz tu gdzieś?

- Jasne! - Marylou poderwała się z miejsca i popędziła na górę, do naszego pokoju.

Ledwo znikła z horyzontu, Gerard przechylił się przez stół i przybliżył twarz do mojej twarzy.

- Posłuchaj - szepnął. - Jeśli chcesz przeżyć i kochasz siostrę, musisz teraz za mną pójść.

- Co takiego?

Gerard chwycił mój telefon i rzucił się do biegu.

Dobra. Teraz wyobraźcie sobie, że jesteście mną. Siedzicie w jednym pomieszczeniu z najpiękniejszym facetem, jakiego widziałyście w życiu. Kradnie wam telefon. I każe iść za sobą.

Ruszacie za nim, prawda? Bo co innego zrobić?

Mam rację?

W porządku. Może nie wszyscy by pobiegli. Pewnie niektórzy zatrzasnęliby drzwi za Gerardem i zaczęli krzyczeć. Gdybym należała do tych osób, ta historia potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Ale ja oczywiście podążyłam w jego ślady, drąc się wniebogłose. Gerard był szybki i miał o wiele dłuższe nogi, więc błyskawicznie zostawił mnie daleko w tyle. Gnałam aż do drogi gruntowej. Tam wziął ostry zakręt i wpadł między drzewa. Ja za nim.

I nagle znikł. Znalazłam się sama pośrodku lasu.

- Nie zrobię ci krzywdy. - Niespodziewanie wyłonił się tuż za moimi plecami.

wycofałam się. Nareszcie zdałam sobie sprawę, że ściganie złodzieja w niecywilizowanym miejscu to nie najmądrzejszy pomysł.

- Super - burknęłam.

- Charlie, teraz zadam ci ważne pytanie. - Podszedł bliżej. - Czy powtórzyłaś siostrze tę 'istorię? To, co mówił ci 'enri?

No, tego pytania się nie spodziewałam. Z drugiej strony, takiego pytania nie zadałby ktoś, kto planuje nagły atak.

- Słucham?

- Opowiedziałaś jej tę 'istorię? O dekrete o podejrzanych?

- Te bzdury Henriego? Oczywiście!

Oskoczył do tyłu, jakby dostał cios. Nagle wszystkie mięśnie jego twarzy się rozluźniły.

Osunął się na drzewo, w rozpaczy podnosząc wzrok na gałęzie.

W końcu wziął głęboki wdech, wypuścił powoli powietrze i znów na mnie spojrzął.

- Coś ci pokażę - odparł. - Nie będzie ci się podobać. Ale musisz zobaczyć, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Ściągnął z ramienia torbę, z której wyjął jakieś śmieć. Torbę foliową. Potrząsnął nią, aż coś wypadło na ścieżkę. Małe jak ptak. Martwy ptak.

Wciąż pamiętam, jak pomyślałam: ale po co on nosi przy sobie zdechłego ptaka? Mój mózg zaczął analizować sytuację i w końcu uzmysłowiłam sobie, że to nie ptak.

I to była dobra wiadomość.

A teraz zła wiadomość: na ścieżce leżała dłoń.

Niebieskawobiała, wykrwawiona, bardzo brudna, sprawnie odcięta na wysokości, na której zwykle nosi się zegarek. I taka mała, ale może wszystkie dłonie tak wyglądają po...

odłączeniu od reszty.

Zrobiło mi się słabo. W jednej chwili skotłowało się we mnie mnóstwo emocji. W głowie poczułam ogromne, niepojęte pobudzenie. Zaśmiałam się. Odkasznęłam. A potem potknęłam się i opadłam na kolana.

- Znalazłem ją w domu 'enriego - wyjaśnił Gerard, który najwyraźniej spodziewał się mojej reakcji. - Sądzę, że to jego żona. To znaczy dłoń żony. Reszta ciała... chyba też gdzieś tam leży. Teraz musisz mnie posłuchać. Od tego zależy twoje życie.

Przycisnęłam twarz do ziemi, niechcący wciągając jej trochę nosem. Bardzo szybko oddychałam. Czułam zapach grzybów.

- Charlie, wiem, że robi ci się niedobrze, ale to nie jest właściwa pora...

- Nie? - Śmiałam się histerycznie i prychałam ziemią. Gerard pomógł mi wstać. - Policja - wymamrotałam.

- Nie mamy czasu. - Oparł mnie o pień, żebym znów nie upadła. - Teraz słuchaj i staraj się zrozumieć. Jej już nie pomożemy. - Wskazał na dłoń, która po prostu leżała grzbietem do dołu i biernie uczestniczyła w konwersacji, jak to odcięta ręka. - Ale trzeba ocalić ciebie. I twoją siostrę. Każda z was mogła się zarazić...

- Ale... o czym... ty... mówisz?

- To moja wina - *wyznał* żalonym *tonem*. - I to ja muszę wszystko naprawić. - Wziął patyk, chwycił nim kawałek folii i przykrył dłoń, żebym przestała na nią bez przerwy patrzeć. W końcu uniósł mi podbródek, abym spojrzała mu w oczy. - Trzy tygodnie temu w wypadku samochodowym zginął słynny psycholog. Razem z żoną. Zostawił uniwersytetowi swoją bibliotekę i dokumenty. Tysiące książek i papierów. Jestem jednym z pięciorga studentów, którym zlecono przejrzenie tych rzeczy i uporządkowanie. Przekopałem z tuzin pudeł, może nawet więcej.

Kilka dni temu pojechałem do domu odwiedzić kuzynkę. Mogłem zabrać ze sobą trochę dokumentów. Czytałem je w pociągu. Straszna nuda. Ale w końcu trafiłem na zwój starych kartek. Znalazłem dołączoną do nich notkę zapisaną ręcznie przez psychologa. „Nie czytać”. Oczywiście musiałem rzucić okiem na te dokumenty. Dowodziły, że profesor badał mordercze instynkty i to, jak normalni ludzie stają się mordercami.

Omam nie parsknęłam śmiechem i nie powiedziałam, że przecież psychologowie nie lubią używać słowa „normalny”, ale czułam, że jeśli się odezwę, zwymiotuję.

- Ten psycholog był wielkim naukowcem, ale z wiekiem zaczął interesować się irracjonalnymi zjawiskami spoza psychologii. Te notatki mówiły o pewnej morderczej historii. Podobno dotyczyła rewolucji i dekretu o podejrzanym. Kto ją usłyszał, musiał zamordować bliską osobę, i to przed nadejściem najbliższego świtu. Według dokumentów, w danym momencie mogła być „zarażona” tylko jedna osoba. To działało jak klątwa. Po dokonaniu morderstwa winny czuje wewnętrzny nakaz, by przekazać historię dalej. A potem się zabija. Psycholog załączył kopię tej opowieści wraz z wieloma ostrzeżeniami. Nic nie świadczyło o tym, że ją przeczytał. Wydawało się nawet, że raczej nie. Po prostu trafił na ostatnią znaną kopię i zatrzymał ją w swojej kolekcji, jak to naukowiec. Nie *wolno* pozbywać się ważnych dokumentów, choćby niebezpiecznych. Notatka wskazuje, że oryginalny dokument to list z 1804 roku. Zaginął wiele lat temu, ale psycholog go odnalazł. I bardzo żałował. Nie wziąłem tego poważnie. To nienaukowe. Idiotyczne. Przestałem czytać i się zdrzemnąłem. - Gerard z żalem pokręcił głową. - Kiedy przyjechałem do domu, opowiedziałem kuzynce tę historię przy kawie. Roześmiała się i poprosiła, żebym pokazał jej papiery. Nie są tajne, więc się zgodziłem. Tej nocy poszedłem spotkać się z przyjaciółmi. Zabawiłem u nich do późna. Po powrocie natychmiast zasnęłam...

Gerard ewidentnie cierpiał, relacjonując to wszystko. Ale bez wątpienia mówił prawdę.

Kłamcy przeważnie bez trudu ją rozpoznają. Gerard był błądy i co chwila łapał się za włosy. Z kolei mój wstrząs wywołany widokiem ręki stopniowo się pogłębiał; przerodził się w głęboki lęk. Stałam jak sparaliżowana,

- Następnego ranka dom był cichy i spokojny. Po jakimś czasie zaniepokoiłem się i zajrzałem do sypialni gospodarzy. Wtedy znalazłem męża kuzynki. Leżał zabity. Ktoś wkręcił mu korkociąg w ucho. Ona natomiast była w szafie. Powiesiła się... na pasku... od szlafroka. To zdarzyło się trzy dni temu.

Przypomniałam sobie wóz policyjny i ambulans. Pewnie chodziło właśnie o ten dom. A przejechaliśmy tuż obok i nawet nie wiedziałyśmy, co się dzieje.

- Policja uznała, że moja kuzynka zwariowała, może wpadła w szal zazdrości. Ale ja ją znam. Dopóki nie przeczytała tej 'istorii, zachowywała się zupełnie normalnie. Nie wiem, jak to działa ani dlaczego. Opowieść o dekreście o podejrzanych jest prawdziwa. A ja, przywożąc tutaj te dokumenty, przekonałem się, że znów sieje zniszczenie. Przez cały dzień nie mogłem dostać się do domu, a kiedy wreszcie tam wszedłem... nigdzie nie znalazłem papierów. Pytałem policjantów, czy ich nie zabrali, ale twierdzili, że nie. Przypomniało mi się, że zdaniem psychologa morderca przed samobójstwem zawsze przekazywał tę 'istorię dalej. Pomyślałem, że kuzynka wysłała dokumenty pocztą. Przez ostatnie dwa dni obserwowałem jej przyjaciół. Dziś rano zobaczyłem, że 'enri otwiera jakieś listy. Później poszedłem do jego domu. Tam zobaczyłem ciebie. Zauważyłem, że wygląda bardzo dziwnie. Gdy ty rozmawiałaś z nim w środku, ja wybrałem się do ogrodu. I znalazłem to... - Gerard wskazał przykrytą plastiką rękę. - Nie widziałem dziś jego żony. A ty?

- Nie - odparłam, z trudem wydobywając głos. - Twierdził, że szuka psa.

- Psa... - Gerard pokiwał głową. - To nawet logiczne. Kundel zawsze trzymał się tej kobiety. Podejrzewam,

że kiedy 'enri zaatakował żonę, pies się na niego rzucił. Pewnie też już nie żyje.

- Twierdzisz, że facet jest zakażony jakąś opowieścią z listu i zabił żonę?

- Sam nie 'ciałem w to wierzyć. Ale kuzynka i jej mąż nie żyją. A 'enri zakopał czyjeś ciało w ogrodzie. Przekazał ci tę 'istorię tak, jak przewiduje klątwa. Wiadomo, co będzie dalej. On umrze i klątwa przejdzie na ciebie lub na siostrę. Na pewno nie na obie naraz. Jeszcze przed świtem jedna z was zabije drugą, a potem popełni samobójstwo.

Niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. A jednak widziałam dłoń na własne oczy. I pamiętałam, jak dziwnie się czułam po rozmowie z Henrim. Coś tu nie gra. Coś się stało.

- Według psychologa istnieje tylko jeden ratunek. Zdarzały się przypadki, gdy ludzie ratowali się przed klątwą: 'owali się w bezpiecznym miejscu lub trzymali z daleka od innych. Po prostu musisz znaleźć się tam, gdzie nie możesz nikogo skrzywdzić.

Zapadła cisza. W oddali usłyszałam wołanie Marylou. To pomogło mi wrócić do rzeczywistości, a ta przedstawiała się tak, że wylądowałam w lesie w towarzystwie Gerarda i dłoni.

- Charlie, błagam. - Gerard wstał. - Nie wracaj. Popatrz. Mam... wodę i batony. Widzisz?

Starczy na jedną noc. - Wyciągał z torby kolejne przedmioty. Położył zapasy na ziemi i wcisnął mi latarkę w dłoń. - 'enri wie, co zrobił. Opowiedział 'istorię komuś innemu. Jego czas dobiega końca. Jeśli schowasz się teraz, jeśli doczekasz do rana, nic wam się nie stanie. Po prostu musisz się odizolować. Weź to i spędź noc tutaj, jak najdalej od domu. I od wioski. Zgub się.

- Och, wspaniale. - zaśmiałam się nerwowo. - Mam się zgubić w lesie. Świetny plan na noc, Gerardzie. Brzmi rozsądni. A czemu mi to mówisz akurat tutaj?

- Twoja siostra by nie uwierzyła - powiedział po prostu. - Ale czułem, że ciebie przekonam. Mam nadzieję, że dałem radę.

Niebo pociemniało i zgęstniało. Nadciągała burza, którą przepowiadał Henri. Popatrzyłam na wodę i batony. Gerard trzymał jedzenie w tej samej torbie co rękę.

- W jednym miałaś rację - oświadczyłam w końcu. - Naprawdę musimy się stąd wydostać. Odwróciłam się i ruszyłam z powrotem. Gerard wołał mnie błagalnie, ale nie zatrzymywałam się, a on za mną nie pobiegł.

Przedzierając się przez gałęzie, słuchałam głosu dobiegającego z domu. Usiłowałam ocenić swoją sytuację. To na pewno była prawdziwa ręka. Bez wątpienia.

Ktoś nie żył. I do tego *ta* pusta łazienka pozbawiona rzeczy, które mogłyby... wchłonąć krew. Ręczniki, papier toaletowy. Gdybym ja zamierzała pociąć ciało, zrobiłabym to w wannie. Potem bym umyła ją i zalała wybielaczem. Później wysprzątałabym całą łazienkę. To układało się w spójną całość. Gerard pewnie przeżył szok i całe zło przypisał jakiejś historyjce. Oszalał z żalu i poczucia winy. Ale wciąż jednak coś nam groziło - sam Henri. Wiedział, gdzie mieszkamy, że nasze telefony nie działają i że jesteśmy same. Musiałam więc przekonać Marylou, abyśmy *natychmiast wyjechały*.

Ruszyłam biegiem, nie zwracając uwagi na żabki pod stopami. Powoli ciemniejące niebo wyglądało jak z obrazów van Gogha - wirujące chmury na tle jaskrawych barw zachodzącego słońca. Dom zamigotał mi na horyzoncie *w rytm* mojego własnego pulsu. Marylou czekała w otwartych drzwiach. Na twarzy miała wypisaną wściekłość, w rękach trzymała niezawodne *DS-IV*.

- No, wreszcie! Wyszłam na dwie minuty, a wy zniknęliście? Co się stało?

Wepchnęłam ją do środka i zamknęłam drzwi.

- O co chodzi? - Opadła na kuchenną ławę. - Charlie, źle wyglądasz. Jesteś strasznie blada. Nie sądziłam, że Marylou mi uwierzy w istnienie odciętej dłoni. Skąd! Bez najmniejszych szans. Musiałam przedstawić jej bardziej prawdopodobną wersję. Potrzebowałam dobrego kłamstwa. Potężnego kłamstwa. Wymyśliłam je bez trudu.

- Słuchaj, ten facet, Gerard, to wariat. Ukradł mi telefon i wybiegł. Pogoniłam za nim, ale usiłował mnie zaatakować. Ledwo uciekłam. Wciąż tam jest. Musimy się stąd wydostać.

- Co takiego? - Podeszła i chwyciła mnie za ramiona. - Charlie... Co on ci zrobił?

- Nic. To ja go uderzyłam. Tym. - Pokazałam Marylou latarkę. - Udało mi się ją ukraść i rąbnęłam go w głowę. Zwiął. Uciekajmy. Dotrzemy do wioski i sprowadzimy pomoc. Spójrz na mnie.

Niemal widziałam, jak ocenia tę historyjkę. Muszę przyznać, że poszło mi wspaniale. Nie mówiłam prawdy, ale moje uczucia były autentyczne. Bałam się jak diabli. I miałam latarkę Gerarda. Poza tym Marylou pewnie widziała, jak chłopak wybiega. Dowodów więc nie brakowało.

Marylou wstała i przez chwilę przechadzała się po kuchni, ważąc fakty. W końcu na jej twarzy zabłysło zrozumienie.

- Ile on ma lat? - spytała. - Osiemnaście? Dziewiętnaście? W tym wieku ludzie często doświadczają lekkich psychoz.

- Dobrze wiedzieć. - Głośno przetknęłam ślinę.

- Jeśli on wciąż tam grasuje, to lepiej żebyśmy zostały w środku. Pozamykajmy drzwi i okna - dodała Marylou.

- Nie, nie, nie - zaprotestowałam szybko. - Zagroził, że wróci i włamie się do domu. Mamy tylko jedną szansę. Jeśli wynikniemy się stąd teraz, może nas nie dogoni.

Marylou odeszła od ławy, wzięła się pod boki i rozejrzała z troską.

- No dobrze. Tylko chwileczkę. - Z wieszaka ściągnęła dwa duże płaszcze przeciwdeszczowe.

- Włóż to. - Położyła jeden z nich na stole. - Zanosi się na niezłą ulewę.

Przez chwilę jeszcze miotła się po kuchni, pogrzechotała sztućcami, aż wyciągnęła z szuflady wielki, rzeźnicki nóż.

- Schowaj - poleciła.

- A to po co? - spytałam.

- Do obrony. Zamknę resztę okiennic na górze. Ty zajmij się tymi na dole.

Ruszyła na piętro, a ja poszłam do dwóch pokoiów na parterze, by zablokować dostęp nieistniejącemu napastnikowi. Na koniec zarzuciłam na siebie płaszcz.

- Znalazłam też to! - zawołam Marylou, zbiegając z powrotem po schodach.

„To” było fragmentem ciężkiej, długiej rury. Wyglądała jak część znacznie większej całości.

- Jeśli tylko się zbliży, dostanie. Moja siostra zadziwiająco dobrze radziła sobie z organizowaniem broni, zwłaszcza jak na kogoś, kto w życiu nie tknąłby nawet pająka.

Miałam nadzieję, że Gerard nas obserwuje i będzie jej unikał.

Wilgotne powietrze intensywnie pachniało ziemią i lawendą. Niebo wyglądało dziwnie, bo cały świat roztopiał się i rozmazywał w zielonkawym rozproszonym świetle. Żaby wyległy z kryjówek całymi legionami i musiałyśmy niemal podskakiwać na ścieżce, żeby ich nie rozdeptać. Poza wściekle grającymi cykadami i odgłosem naszych kroków na żwirze, nic nie zakłócało wieczornej ciszy. Roślinność i gęsta atmosfera tłumiły wszelkie odgłosy.

Nie spotkałyśmy po drodze nikogo. Marylou cały czas trzymała rurę w gotowości. Zanim przeszliśmy pierwszy kilometr, zaczęło padać. Deszcz lunął z całej siły, a jego potężne uderzenia o plastikowe kaptury płaszczy prawie nas ogłuszały. Porobiły się kałuże. Nie dało się ich wypatrzyć, więc ciągle wpadałyśmy w wodę.

Zmniejszona widoczność miała jednak pewną zaletę. Gdy dotarliśmy w okolice chaty Henriego, Marylou nie wypatrzyła jej przez drzewa. Szczęśliwie minęłyśmy zagrożenie i przeszliśmy kolejnych kilkaset metrów, ale nagle moje złudzenie bezpieczeństwa przysło.

Henri stał wprost na drodze. Patrzył w pustkę i bezmyślnie podniósł rękę na powitanie. W ogóle nie zwracał uwagi na ulewny deszcz. W palcach trzymał resztki rozmoczonego papierosa.

- Szukam psa - powiedział głośno. - Nie mogę go znaleźć.

Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, Marylou już wygadała Henriemu, na czym polega nasz problem. Nie zrozumiał ani słowa, ale wskazał swój dom. Siostra skwapliwie skorzystała z zaproszenia; podążyłam za nią.

W kuchni zrobiło się parno. Henri kroił cebule. Ogromne ilości białych krążków piętrzyły się na blacie, na desce do krojenia, w misce.

- Robię zupę - wymamrotał. - Cebulową.

Na drugim końcu stołu stały mały telewizor i odtwarzacz DVD. Leciąca *Mission Impossible* - oczywiście po francusku. Tym Cruise właśnie wykonywał swoje popisowe sztuczki.

- Musimy zadzwonić na policję - oświadczyła Marylou. - Przyszedł dziś do nas jakiś chłopak. Jak on się nazywa... Ger... Gerald?

Nie poprawiłam jej, ale w wioskach wszyscy się znają, więc Henri natychmiast wiedział, o kogo chodzi.

- Mieszka tu jeden Gerard.

- O właśnie. - jaki wysoki? Kręcone włosy? Henri przytaknął. W ogóle nie wydawał się zmartwiony. Ściągnął ze sznura główkę czosnku, po czym usiadł przy desce do krojenia. Wsadził sobie papierosa w usta, ale go nie zapalił. Chwycił ogromny nóż. Już chciałam odciągnąć Marylou, ale Henri tylko uderzył w czosnek bokiem ostrza i rozbił główkę na ząbki.

- Moja mama gotowała cebulę całymi godzinami - powiedział. - Po kolei dodawała kawałeczek po kawałeczku.

Chlast, chlast, chlast. Henri miażdżył kolejne ząbki. Rozdzierał skórki i zdejmował je palcami. Marylou zerknęła na mnie i postanowiła spróbować raz jeszcze. Upał i smród cebuli omal nie odebrały mi tchu.

- Musimy zadzwonić na policję - powtórzyła. - Ten Gerard zaatakował Charlie.

- Naprawdę? - spytał Henri bez większej troski. - Dziwne.

- Owszem - przytaknęła Marylou, szerząc moje kłamstwa.

- Tu nie może cię skrzywdzić. Usiądź. Będzie dobrze. Jesteś bezpieczna. Moja żona... no, ale teraz jej nie ma.

W tym zdaniu czegoś brakowało.

- Znacie ten film? - Wskazał ekran brudnym od cebuli nożem. - Bardzo amerykański, ale fajny. Obejrzyjcie.

- Musimy zadzwonić na policję - nie ustępowała Marylou.

Henri kroił dalej. Postanowiłam poszukać telefonu albo komputera. Marylou chwyciła mocniej za rurę ukrytą pod płaszczem. Miałam nadzieję, że gdyby coś poszło nie tak, bez wahania by jej użyła.

- Ojej... - zaczęłam, wracając do starej sztuczki. - Mogłabym skorzystać z łazienki?

Machnął nożem, co miało wyrażać pozwolenie.

Ruszyłam w ciemność. Teraz, kiedy znałam prawdę, nic nie wydawało mi się straszniejsze od tych ciemnych schodów i kilkunastu zdjęć żony Henriego. Nigdy tak się nie bałam. Nie czułam się tak samotna. I skazana na najgorsze. Kiedy dotarłam na górę, Gerard zatkał mi usta i wciągnął do łazienki. Co za ulga! Drugim ramieniem otoczył mnie w pasie i mocno ścisnął. Czułam jego ciepło i lekki zapach potu zmieszany z wiatrem. W uchu świszcział mi oddech chłopaka.

- Przybiegłem tu za wami - szepnął. - Wspiąłem się na drzewo i wszedłem przez okno. Teraz cię puszczę, ale nie krzycz, dobra?

Ostrożnie mnie uwolnił.

- Czemu powiedziałaś, że cię zaatakowałem? - spytał.

- Musiałam coś wymyślić. Żeby Marylou zgodziła się wyjechać.

Gerard miał urażoną minę, ale przytaknął.

- Nie powinniście tu przychodzić...

- To nie ja, to Marylou...

- 'enri ma samochód. Nie wiem, gdzie trzyma kluczyki. Znajdźcie je i zabierzcie. A potem uciekajcie. Dopóki 'enri żyje, nic wam nie grozi. Dotrzyjcie do miejsca, gdzie będziecie mogły się schronić. Na policję...

- Każesz mi ukraść samochód?

- To lepsze niż druga opcja. Tym razem zrób, co mówię, proszę.

Nie wiem, czemu słuchałam Gerarda. Z dwóch podejrzanych osób to on zachowywał się zdecydowanie dziwniej. Henri tylko opowiedział historyjkę i ugotował zupę. Gerard bił go na głowę w kategorii świr, przynajmniej tak się wydawało, a jednak... mu wierzyłam.

- Marylou ze mną nie pójdzie, jeśli gwizdnę samochód - odparłam, opierając się o ścianę.

- Więc trzeba zabrać ją siłą. Mogę ci pomóc. Zaczekam na zewnątrz, a kiedy wyjdiesz z kluczykami, ogłuszę Marylou. Szybko i sprawnie. Potem będzie trochę obolała, ale to i tak lepsze niż wasza druga opcja.

Gerard znowu głądził o „opcjach” i jak gdyby nigdy nic proponował mi, że zacai się w ciemnościach i rąbnie moją siostrę w twarz.

- Co takiego? - prychnęłam.

- Wiem, jak to się robi.

- A niby skąd?

- Byłem ratownikiem - wyjaśnił. - Stosuje się tę metodę przy wyciąganiu tonących. Uderza się w szczękę. To boli, ale jest lepsze...

- Wiem, wiem - przerwałam mu wywód. Najwyraźniej słówko „opcja” opanował szczególnie dobrze na lekcjach języka angielskiego. Nie do końca tylko rozumiałam, o co dokładnie mu chodzi. ~ Nie ma innego sposobu? Twierdzisz, że ta opcja...

- Nie czas eksperymentować. Zejdź, poszukaj kluczyków i...

Zanim zdążył dokończyć, drzwi otworzyły się, a za nimi ukazał się Henri, z małą strzelbą w rękach.

- *Bonsoir*, Gerard - powiedział.

Henri sprowadził nas oboje do kuchni. Cały czas celował bronią w Gerarda, ale byłam zupełnie pewna, że bez oporów wymierzyłby we mnie. Na dole zmusił Gerarda, by usiadł na krześle, po czym grzecznie poprosił Marylou, aby związała chłopaka sznurem, który wisiał przy drzwiach.

- Musimy wezwać policję - powiedziała Marylou chyba po raz dziesiąty.

- Najpierw trzeba go unieruchomić - odparł. - Wiąż mocno.

Marylou z nieszczęśliwą miną przyklękła za Gerardem i oplatała mu kostki i nadgarstki.

Zrobiła sporo węzłów. Gerard skrzywił się, ale nie spuścił wzroku z twarzy Henriego.

- Dlaczego nie pojedziesz do miasta? - spytał. - Chcesz wydać mnie w ręce policji? Proszę bardzo.

- Nie mam benzyny. Zamierzałem rano pójść na stację i przynieść. A teraz...

Henri zagapił się na Toma Cruise'a na małym ekranie. Wkrótce jednak znów skupił się na Gerardzie.

- Zalałeś dziewczynom za skórę - powiedział. - I włamałeś się do mojego domu. Co ty wyprawiasz?

- Otwórz moją torbę i sam się przekonaj.

Henri stopą przysunął do siebie sfatygowaną torbę chłopaka. Przechylił się, jedną ręką otworzył suwak i wyrzucił zawartość. Na podłodze wylądowały batoniki i butelki z wodą - widać Gerard je pozbierał. Znalazło się także ostrze.

- A to co? - spytał Henri.

- My też mamy nóż - wtrącałam się szybko.

- Charlie! - ryknęła Marylou, wbijając we mnie zszokowany wzrok.

- Naprawdę? - Henri jakoś się tym nie przejął.

- To z uwagi na niego. - Marylou wskazała Gerarda. - Żeby się bronić.

Usiłowałam nadać oczami komunikat: „Przecież byśmy cię nie zraniły”, ale okazało się to niezwykle skomplikowane. Nie jestem pewna, czy Gerard w ogóle chciał to wiedzieć.

Wszyscy byliśmy uzbrojeni po zęby, ale Henri miał zdecydowaną przewagę, a Gerard siedział przywiązany do krzesła, więc problem noża stawał się drugorzędny.

W każdym razie w torbie tkwił znacznie bardziej kłopotliwy obiekt i Henri właśnie do niego docierał. Wyciągnął już torbę foliową i kilka razy ostro nią potrząsnął. Dłoń łupnęła na podłogę. Gerard i ja wiedzieliśmy, co to jest, ale Henri i Marylou musieli przyjrzeć się bliżej.

- Martwy ptak? - Marylou się skrzywiła.

- Nie wygląda jak ptak - odparł ponuro Henri. Dostyc szybko się domyślił.

Marylou wpatrywała się w rękę jeszcze przez chwilę, po czym zaczęła się drzeć. Proszę Co do mojego ucha.

- Znalazłem to w ogrodzie, przed tym domem - wyjaśnił Gerard. - Pies ją wykopał, 'enri? A może inne zwierzę? Czy pies próbował obronić swoją panią? Wiedziałaś, co robisz, kiedy ją mordowałaś? Gdzie twoja żona, 'enri? Gdzie jest?

Zapadła straszliwa, zasysająca cisza. Nawet westchnienia Marylou momentalnie ucichły.

Powietrze ciężkie od smrodu cebuli zrobiło się gorące od napięcia.

Henri podniósł pilota i wyłączył telewizorek.

- Chyba będzie dla was bezpieczniej, jeśli zostanieie na górze - zwrócił się głównie do Marylou. -

Na drzwiach sypialni jest dobry zamek. Zabierz tam siostrę.

- Ja zostaję. - Nagle usłyszałam własny głos. Byłam całkowicie przekonana, że jeśli odejdziemy, Henri zabije Gerarda. Nie zamierzałam zostawiać chłopaka związanego i bezsilnego.

- Idźcie - rozkazał Henri ostrym tonem. Natychmiast usłuchałam polecenia. Zrozumiałam, że jeśli się sprzeciwię, Henri uśmierci Gerarda od razu. Ruszając na górę, kątem oka widziałam Gerarda; spokojnie siedział na krześle. Marylou chwyciła mnie za ramię, wbijając mi paznokcie w skórę.

- Chodź, Charlie, chodź! - szlochała w kółko. Gerard odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć.

Bat

się. Ale kiwnął, żebym poszła. Pozwoliłam Marylou zaciągnąć się na górę.

Sypialnia wyglądała równie dziwnie jak łazienka. Żadnych prześcieradeł, koców, zasłon. Marylou trzęsła się i nerwowo krążyła po pokoju. Z dołu dobiegały stłumione odgłosy. Ale nie dość, że rozmawiali cicho, to jeszcze po francusku. Ale raczej spokojnie.

- Marylou, to nie Gerard. Skłamałam. On wcale mnie nie zaatakował. Nie uciekałam przed nim.

- Co takiego? - Odwróciła się do mnie.

- To zbyt skomplikowane...

- Postaraj się jednak wyjaśnić!

- Bałam się Henriego - warknęłam. - Ta ręka... to jego wina... zamordował żonę. Gerard próbował nas ostrzec. Przypuszczałam, że mi nie uwierzysz, więc ci wcisnęłam kit, że na mnie napadł.

- Henri zabił swoją żonę?

- I prawdopodobnie psa - dodałam.

- A Gerard przyszedł, żeby nam to powiedzieć. Bo zrozumiał. Znalazł jej dłoń...

- Sama widziałas - przytaknęłam.

- Widziałam czyjąś dłoń. Która była w torbie Gerarda.

No ale jak sądzisz, skąd ją wziął?! - wrzasnęłam. - Przecież nie kupił w sklepie.

- Nie wiem, skąd wytrzasnął, tę rękę. Ale miał nóż! I twierdziłaś, że cię zaatakował.

- Przecież ci tłumaczę, że kłamałam!

- No pięknie! - ryknęła Marylou. - To naprawdę bardzo pomocne. Po prostu zamknij się na chwilę i daj mi pomyśleć.

Targane burzą okiennice klekotały, nadając upiorny rytm naszej kłótni. Mamrotanie na dole ustało. Marylou usiadła na skraju materaca i ukryła twarz w dłoniach.

I wtedy rozległ się strzał. A potem głucho uderzenie. I cisza. Przez moje ciało przepłynęło tyle adrenaliny, że mogłabym wyważyć drzwi, waląc w nie głową. I tak postanowiłam zrobić, z tym że zrywając się do biegu, wyrzeszczałam jeszcze imię Gerarda. Marylou mnie powstrzymała. Chwyciła z całej siły, wbiła mi szpony w rękę i cisnęła mnie na łóżko.

- Charlie! - krzyknęła mi prosto w twarz. - Nigdzie nie idziesz!

- Nie słyszałaś? On zastrzelił Gerarda! Mówiłam ci! Gerard jest niewinny! Chciał nam pomóc!

- Nie wiem, co tu się dzieje, ale zostajemy na górze!

- Świetnie, - Poczołgałam się na drugą stronę łóżka.

Marylou podeszła do drzwi sprawdzić, czy są zamknięte. Teraz zrozumiałam, że Gerard dobrze radził. Nie było czasu na dyskusje z moją siostrą. Jedyne miejsce, by schronić się w bezpiecznym miejscu, to ogłuszając ją i wyciągając stąd siłą. W przeciwnym razie Henri przyjdzie do nas z pistoletem. Rozejrzałam się po sypialni w poszukiwaniu odpowiedniego narzędzia. Hm... Cios lampą mógłby zabić, szczotką do włosów najwyżej by ją rozdrażnił. To za miękkie, to za twarde...

W końcu zauważyłam mały odtwarzacz DVD, podobny do tego, który stał na dole - Henri najwyraźniej lubił oglądać filmy. Urządzenie było cienkie i niezbyt ciężkie. Gdy Marylou pilnowała drzwi, po cichu odłączyłam DVD od telewizora. Na znak protestu odtwarzacz wypuścił płytę. Zamknęłam kieszeń.

Jak to zrobić? Gerard wspominał, żeby celować w szczękę, ale zupełnie sobie tego nie wyobrażałam. Stawiałam na uderzenie w tył głowy.

Wyważyłam sprzęt w dłoni. Odwróciłam go tak, by wałać tą cięższą stroną. Pociły mi się ręce. Wytarłam je o dzinsy. Marylou się odwróciła.

- Charlie? Co ty...

Rąbnęłam ją prosto w twarz. Odtwarzacz aż zawibrował. Marylou potknęła się i krzyknęła, ale nie upadła. Zaczęła jej lecieć krew - nie wiem skąd, chyba z nosa.

- Przepraszam - westchnęłam.

Znów ją walnęłam, tym razem w tył głowy, tak jak zamierzałam od początku. Rzuciła się do walki, ale wykonałam ruch bejsbolisty i grzmotnęłam ją z całej siły w podbródek. Tym razem runęła na podłogę. Z nosa ciekł cienki strumień krwi, rysując na policzku kreskę. Prędko sprawdziłam, czy Marylou oddycha, po czym wsunęłam ją pod łóżko. Uznałam to za dobrą kryjówkę.

- Przepraszam - powtórzyłam, wpychając siostrę jak najgłębiej. Z szuflady wyciągnęłam ubrania i ułożyłam je przy siostrze, by maksymalnie ją zamaskować. To nie był najlepszy kamuflaż, ale musiałam improwizować - jeśli wam też się kiedyś przytrafi podobna sytuacja, sami zobaczycie, czy poradzilibyście sobie lepiej.

Przez chwilę jeszcze klęczałam na czworakach, próbując odzyskać oddech. Z dołu nie dochodziły żadne odgłosy. Zły znak. Ale cisza panowała także na schodach. Marylou przyniosła na górę torbę, więc teraz wydobyłam rurę i nóż. Zastanowiłam się, które z tych narzędzi okaże się bardziej pomocne. Chyba rura. Podkrađłam się do drzwi i otworzyłam zamek. Przez chwilę czekałam, ściskając w dłoni rurę, na wypadek gdyby klamka się przekręciła.

Nic jednak się nie stało. Słyszałam tylko bicie własnego serca. I pulsowanie krwi, tak szybkie, że trzęsły mi się ręce.

Sięgnęłam do klamki, zacisnęłam na niej dłoń, po czym gwałtownie otworzyłam drzwi. Na pewno doskonale znacie ten ruch z filmów policyjnych - z tych scen, kiedy trzeba wskoczyć na korytarz i być gotowym do podjęcia walki.

Na dole rozległ się cichy szelest. Henri wciąż był w kuchni. Ruszyłam powoli na dół najostrożniej, jak się dało. Marzyłam, by moje ciało przestało cokolwiek ważyć i nie naciskało na stare skrzypiące deski. Szelest w kuchni nasilał się, więc próbowałam iść w jego rytmie. Gdy znalazłam się w korytarzu na dole, odór cebuli omal nie wypalił mi nosa. Henri chyba znalazł czas, żeby postawić ją na kuchence. Słyszałam skwierczenie. Ale nic poza tym. Spięłam się do akcji.

Wtedy czyjaś ręka chwyciła mnie za nadgarstek tak nagle, że upuściłam rurę. Zaczęłam krzyczeć.

- Spokojnie!

Przede mną stał Gerard. Sam.

- Co? - Z trudem łapałam oddech. - Co się...? W tej samej chwili zobaczyłam, co się stało, Henri leżał na podłodze na plecach. Jego głowa...

w każdym razie sporej jej części brakowało. Nie przyglądałam się uważnie. Nie żył. Cały kąt pokoju pokrywały czerwone szczątki. Wokół ciała gromadziła się krew, która wsiąkała w pory drewna. Pistolet był na stole.

- Jak do tego doszło? - zapytałam rozpalona i osłabiona. Musiałam złapać się drzwi.

- Rozwiązał mnie, a potem wypuścił - odparł lekko zszokowany Gerard. - I na koniec się zastrzelił. Gdzie twoja siostra?

- Ogłuszyłam ją odtwarzaczem DVD. Przytaknął w zamyśleniu. Obeszłam go i uważnie przyjrzałam się gospodarzowi. Z pewnością nie żył.

- Chyba na widok ręki przypomniał sobie, co zrobił - powiedział cicho Gerard. - I popełnił samobójstwo, tak jak moja kuzynka. Teraz Mątwą się przeniesie.

- Aha... - jęknęłam.

Cebule na patelni zaczęły się przypalać. Zdjęłam ją z gazu, bo nie miałam pojęcia, jak wyłączyć kuchenkę. Gerard zakrył palnik ciężką pokrywą.

- Teraz mi wierzysz - wyszeptał. - Ja też początkowo uważałem to za bzdurę, ale kiedy zobaczysz trupy, już wiesz, że to prawda.

Henri leżał z przestrzeloną głową. To, co wydawało się niemożliwe, okazało się zupełnie prawdopodobne. Spadła na nas klątwa.

- Tak, teraz ci wierzę - przyznałam.

- Jak się czujesz?

- Nieźle. To znaczy, przed chwilą uderzyłam Marylou w głowę. To chyba dobrze, prawda? - Wolałam się upewnić.

Ta wiadomość rozpozgodziła Gerarda. Jego twarz odrobinę się rozjaśniła.

- Znakomicie, Charlie! Świetnie!

Nagle przypomniało mi się, jak Marylou sięgnęła po nóż i rurę, jak ostro ze mną walczyła... gotowa mnie zabić.

- To ona! - zawołałam. - To na nią przeszła klątwa. Jestem pewna. Zachowywała się dziwnie. Gerard spoglądał na mnie z uwagą, wypatrując możliwych oznak, że za chwilę wpadnę w morderczy szał. Potem zerknął na rurę, którą odłożyłam na ławę przy stole. W końcu się uśmiechnął, a jego twarz wyrażała czystą ulgę.

- Iak - odparł. - Skoro nie zabiłaś jej, kiedy miałaś okazję, i skoro zachowywała się tak dziwnie... to myślę, że masz rację. Klątwa spadła na twoją siostrę. Zanikniemy Marylou i będziemy bezpieczni. Wszyscy.

Nagle porwał mnie w ramiona - nie wiem, może ogarnęło go szaleńcze pożądanie - i pocałował. To był namiętny, głęboki, bardzo zmysłowy pocałunek w najlepszym francuskim stylu, wykonany z taką pasją, na jaką stać tylko przystojnego chłopaka z wioski, który bardzo się cieszy, że przeżył.

Całkiem przyjemne uczucie, muszę przyznać. Sama cieszyłam się, że uszłam cało, a atmosfera w tej zakrwawionej i śmierdzącej cebulą kuchni, przy ulewie na dworze, stała się gorąca od emocji. Gerard przerwał na chwilę, roześmiał się, po czym podniósł mnie niepewnie. Oplotłam nogami jego biodra i znowu zaczęliśmy się całować.

Żadne z nas nie usłyszało, kiedy zjawiała się Marylou, ani nie zauważyło, jak podnosi strzelbę.

- Co wy zrobiliście? - wycedziła cicho.

Wyglądała fatalnie. Miała krew na twarzy i ciemne siniaki wzdłuż szczęki i policzka. W zaczerwienionych oczach błyszczały jej łzy.

A my, no cóż, właśnie całowaliśmy się nad trupem bez części głowy, więc nie wiedziałam, jak to prosto wytłumaczyć.

Gerard powoli opuścił mnie na ziemię i usiłował się uśmiechnąć, tak spokojnie, jakby mówił: „Już wszystko doobrze”.

- Nie rozumiesz... - zaczęłam.

Marylou wycofała się do korytarza i wsadziła lufę pomiędzy nas dwoje.

- Zabiłaś go - zwróciła się do Gerarda.

- Nie - zaprotestowałam szybko. - Henri sam się zabił. Bo wcześniej zamordował żonę. Tak jak ci mówiłam.

- Kiedy? Zanim uderzyłaś mnie w głowę? Marylou zaczęła się śmiać; jej wysoki, histeryczny śmiech mógłby służyć jako próbka audio do lektury *DS-IV*. Rozbrzmiewałby przy otwieraniu okładki, jak kolęda z kartki świątecznej. Marylou miała jednak prawo pytać. Ja oczywiście chciałam wyjaśnić, dlaczego ją pobiłam, ale uznałam, że potrzebuje najpierw chwili na uspokojenie. Żeby odzyskała kontrolę nad swoim gniewem - jak sama by to ujęła, gdyby jej totalnie nie odbiło. Ale wtedy nie wymachiwałaby też strzelbą.

- Czy ty w ogóle wiesz, jak się tego używa? - spytał łagodnie Gerard.

- Jakoś wykombinuję - odparła przez łzy. Czubek strzelby zaczął lekko drżeć.

- Marylou... - Starłam się panować nad sobą. - Odłóż broń. Gerard nie robi nam krzywdy, on nas bronił.

- Siadaj! - warknęła, odzyskując mocny głos. - Ty też.

Chłopak powoli opadł na krzesło, do którego wcześniej był przywiązany. Marylou uniosła strzelbę i wycelowała w niego. Pod pachami Gerarda i na jego klatce piersiowej pojawiły się wielkie plamy potu. Wszyscy strasznie się pociliśmy, bo w kuchni było absurdalnie parno.

- Dekret o podejrzanym - wymamrotał cicho, -Mój Boże! Czyli tak to się dzieje.
- Zamknij się! - krzyknęła Marylou. - Zastrzeleń go!
- A teraz klątwa przeszła na ciebie - ciągnął Gerard. - Nie rób krzywdy siostrze. Musisz walczyć z tą pokusą.
- Kazałam ci milczeć!

Podeszła prosto do niego i przytknęła mu lufę do twarzy. Gerard po raz drugi tej nocy mierzył się ze śmiercią. Tym razem wydawał się spokojny. Może zaczynał się przyzwyczajać. Wstał - w tym momencie lufa celowała w jego serce.

- Zastrzel mnie - powiedział. - Ale nie siostrę. Niech to się na tym skończy.
Gerard... chłopak, którego znałam zaledwie kilka godzin, usiłował mnie ocalić... a teraz zamierzał oddać za mnie życie. Marylou przestała się trząść. Powstrzymała też płacz..
- Zrób to - ciągnął. - Bo inaczej zabiorę ci broń.
- Nie! - wrzasnęłam. - Gerard, nie. Marylou, nie!

I wtedy wypadki potoczyły się błyskawicznie. Ja zerwałam się z krzesła i odepchnęłam Gerarda, żeby nie stał na linii ognia. A potem razem upadliśmy na podłogę. W locie uderzyłam głową o krawędź stołu. Wylądowałyśmy na nogach Henriego - w jego krwi i jeszcze na czymś oślizgłym, o czym nawet nie chcę mówić. Marylou podniosła się i chwyciła za spust. Usłyszałam cyk, cyk i pomyślałam, że tak właśnie wygląda koniec. Wszystko kończy się zwykłym cykaniem. Jak gdyby ktoś po kolei wyłączał światła.

Ale to cyk, cyk było odgłosem próby odbezpieczenia broni - Gerard musiał ją zabezpieczyć. Dzięki temu zyskał dość czasu, by wstać z podłogi i rąbnąć moją biedną siostrę w twarz. Jeden cios, prosto w szczękę, i opadła bez przytomności, po raz drugi w ciągu kwadransa.
- O Boże. - Podbiegłam, żeby sprawdzić, co jej się stało.

Kiedy się ocknie, będzie niezłe opuchnięta... Gerard szybko wziął sznury i mocno ją związał.
- Otwórz drzwi - rozkazał, nie przerywając pracy. Gdy podeszłam do drzwi frontowych, zawołał: -*Non, non, non...* do piwnicy. Tutaj.

Przy kuchence rzeczywiście znajdowały się grube, szorstkie drzwi. Żeby się do nich dostać, musiałam przeskoczyć ciało Henriego i strumyki krwi. Uniosłam wielką belkę blokującą przejście.

- Co my robimy? - wysapałam.
- Twoja siostra jest zarażona. Jedyne rozwiązanie, by jej pomóc, to zamknąć ją gdzieś do rana. Szybko, zanim się ocknie.

W piwnicy nie było włącznika, więc po raz drugi dałam susa przez zwłoki, żeby zabrać latarkę z blatu. Jakimś cudem nie została opryskana krwią. Potem Wróciłam do drzwi. W sumie skakałam przez martwe ciało już trzy razy. Ale cóż... sporo innych aspektów tej sprawy wydawało się jeszcze gorszych, a jednak sobie radziłam. Człowiek jednak jest w stanie przyzwyczaić się do każdych okoliczności.

Stara, bardzo mata i nieotynkowana piwnica miała kamienne ściany. Pachniała ziemią i panował w niej straszliwy chłód. Wyglądało to tak, jak gdyby Henri używał jej głównie jako ciemni fotograficznej. Dookoła mnóstwo półek z chemikaliami, tac; wisiał też sznurek z wysychającymi odbitkami. Większość zdjęć przedstawiała drzewa i góry. Stały tam również worki z kartoflami i cebulą, butelki wina, domowe przetwory na osobnej półce i plastikowe pojemniki z serem. W rogu tkwiły szpadle i inne narzędzia ogrodnicze. Do niedawna życie Henriego było sielskie, normalne.

- Poszukam koców - powiedziałam. -I płaszcz.
- Pospiesz się! - krzyknął Gerard.

Znalazłam włochaty koc na kanapie, jakąś marynarkę w korytarzu i zabrałam płaszcz przeciwdeszczowy. Z tego wszystkiego zrobiłam pościelanie dla mojej nieprzytomnej, związanej siostry i pomogłam Gerardowi zanieść ją na dół. Umościłam Marylou najwygodniej, jak umiałam, a Gerard przywiązał ją do jednego ze słupów. Zostawiłam jej też włączoną latarkę,

której światło skierowałam na sufit, żeby nie ocknęła się w ciemnościach. W końcu powlekliśmy się na górę, zamknęliśmy drzwi i zablokowaliśmy belkę.

- Czy to naprawdę konieczne? - jęknęłam.

- Co? - Gerard podniósł pistolet, by mu się przyjrzeć.

- Zamknijcie Marylou w piwnicy. Nie lepiej trzymać ją tutaj?

- Nie. Teraz jest niebezpieczna. Rano ją uwolnimy. Wydawało się to rozsądnym rozwiązaniem. O ile

cokolwiek w tej sytuacji mogło być rozsądne. Spojrzałam na zmasakrowane ciało Henriego.

- A co teraz? - spytałam.

Gerard spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

No dobrze, przyznaję. Przez godzinę pieściliśmy się na kanapie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał prawo mnie oceniać. Wiem, wiem. W kuchni trup. W piwnicy związana siostra.

Rozumiem. Ale naprawdę nie mieliśmy nic innego do roboty, z wyjątkiem oglądania *Mission Impossible* po francusku. Podobno w stresie ludzie zbliżają się do siebie. To prawda. Serio. *DS-IV* na pewno też gdzieś o tym wspomina.

A zatem: kanapa, ciemny salon, za oknami deszcz i francuska wieś... reszta obrazka już zaczyna pasować, co nie? Właśnie zrobiliśmy sobie chwilę przerwy, bo zaczynały nam drętwieć usta, kiedy usłyszeliśmy krzyki Marylou dochodzące z piwnicy.

- Oprzytomniała - oznajmił spokojnie Gerard, głaszcząc mnie po włosach.

Ukryłam twarz na jego piersi i zakryłam uszy dłońmi, ale nic nie zdołało stłumić tych ryków. Marylou w kółko wyrzaskiwała moje imię.

- Może ją wypuścimy? - zasugerowałam nieśmiało. - To my mamy pistolet. Przywiążmy Marylou w kuchni; tam jest ciepło. Będzie potrzebowała wody i jedzenia...

- Nic jej się nie stanie - odparł Gerard z dziwną stanowczością, która wcale mi się nie spodobała.

- Przecież nie zrobi nam krzywdy. - Wstałam. - We dwoje bez trudu z nią sobie poradzimy. Nie mówię, żeby puścić ją wolno, ale...

- Nie masz pojęcia, do czego jest teraz zdolna.

W ciemnościach widziałam tylko zarys jego fryzury i lśniące oczy. Trzymał dłoń na mojej nodze. Mocniej zacisnął palce.

- Ty nie rozumiesz, jak działa ta zaraza. Nie wiesz, co wyczynia z człowiekiem. Nie zdajesz sobie sprawy. Ja widziałem. Marylou to nie jest teraz siostra, którą znasz. Straciłaś ją w chwili, gdy doszłaś do fragmentu o gilotynie.

- O czym?

- O gilotynie.

Odtworzyłam sobie wszystkie wydarzenia od momentu, gdy stałam na dole z Henrim, przez kolejne fazy jego opowieści aż po chwilę, gdy poszłam do łazienki... Nic nie mówił o gilotynie. Przerwałam mu. Nigdy nie usłyszałam całej historii.

A to znaczyło, że... nie zostałam zarażona. I nie zainfekowałam Marylou.

Ale Gerard najwyraźniej wiedział sporo na temat dekretu o podejrzanych. Jego głos brzmiał coraz spokojniej, mniej dźwięcznie - zupełnie jak Henriego. Przecież Gerard nigdy nie wysłuchałby opowieści do końca...

Ale przecież siedział tu na krześle, związany i bezradny. Uwięziony w towarzystwie Henriego.

Palce Gerarda się rozluźniły. Patrzył na innie w ciemnościach, ale już bez wyrazu.

- No tale... - Usiłowałam zachować spokój. - Część o gilotynie jest najbardziej upiorna.

Nie dałabym sobie rady z Gerardem - nie pokonałabym go w walce wręcz. Miałam tylko pistolet, ale nie chciałam zastrzelić chłopaka. Chociaż nie znaliśmy się długo, to jednak go trochę polubiłam.

Był dobrym facetem. Omal nie poświęcił życia, żeby mnie chronić.

- Słuchaj, spróbujmy dostać się do samochodu - powiedziałam. - Założę się, że jest dość benzyny. Henri na pewno kłamał.

- A dokąd mielibyśmy jechać?

- Do miasta.

- To bez sensu.

- Czułabym się lepiej, gdybyśmy tylko sprawdzili, czy samochód odpali. Sama pójdę. To zajmie dwie sekundy. - Szybko odeszłam, zanim zdołał chwycić mnie za ramię. - I przyniosę coś do jedzenia - dodałam tak pogodnie, jak tylko potrafiłam. - Coś innego niż cebule.

Pognałam do kuchni i zaczęłam wymacywać włącznik światła. Zgasiliśmy lampy, bo widok był zbyt straszny. Nie mogłam znaleźć pstryczka, więc w ciemnościach dotarłam do stołu i chwyciłam pistolet. Musiałam go zabrać. Schować. Jakoś usunąć z pola akcji. Niestety nie zdążyłam. Gerard już stał za moimi plecami.

- Co robisz? - spytał.

Jeśli kiedykolwiek naprawdę potrzebowałam umiejętności wciskania kitu, to właśnie wtedy.

- O Boże! - jęknęłam. - Przewróciłam się i upadłam... na to! Potknęłam się o jego nogę. To potworne! - Postąpiłam kilka niezgrabnych kroków, wciąż ściskając pistolet. Wydawałam najróżniejsze dźwięki, które miały świadczyć o zdenerwowaniu i dezorientacji. Nieustające krzyki Marylou bardzo mi w tym pomagały.

- Oddaj mi to - syknął Gerard.

Przeszłam nad zwłokami Henriego i oparłam się plecami o drzwi do piwnicy, celując pistoletem prosto w chłopaka.

- Nie mogę. - Proszę, Gerard, nie chcę cię skrzywdzić.

- Charlie? Co ty wygadujesz?

Wydawał się tak zdziwiony, że wymówił moje imię z czysto francuskim akcentem. Wyglądał, jakby sam ze sobą walczył.

- Henri opowiedział ci tę historię, prawda? Kiedy siedziałeś związany na krześle. Nie mogłeś nic na to poradzić, uciec.

- Klątwa zawsze spada tylko na jedną osobę - przypomniał. - W tym przypadku na twoją siostrę.

- Nie, nie na Marylou. Na ciebie. I ty o tym wiesz. Proszę, Gerard.

Podszedł o krok.

- Całe życie polowałem na króliki - powiedział. - Świetnie strzelam. Oddaj mi to, ochronię nas oboje.

W ciemnościach moje drżące palce usiłowały odbezpieczyć broń. Wolałam, żeby im się nie udało. Robiły to niezależnie ode mnie. Gerard zbliżył się jeszcze bardziej i położył dłoń na lufie.

- Charlie... - To ja, Gerard. Nie strzelaj do mnie. Nie poddawaj się klątwie.

- Nie jestem zarażona! Nigdy nie usłyszałam zakończenia historii! A teraz się odsuń, bo...

Palce nagle odnalazły zamek i odbezpieczyły pistolet. Wystrzeliłam. Gerard runął na ziemię.

- Zaraz, zaraz - powiedziałam do siebie. - Henri przecież mówił coś o gilotynie. Jak mogłam zapomnieć?

Rozumiecie, to było tak...

Strasznie trudno to wyjaśnić. Wszystko mi się płacze. Zaczynam coś mówić i nagle tracę wątek. To chyba przez te leki. Co chwilę łykam jakieś pastylki. Próbuje najróżniejszych kombinacji. Niektóre dobrze działają, inne słabo. Dzisiaj mam lepszy dzień. Jestem na tyle przytomna, że pozwolili mi włączyć komputer. Przeważnie nie dają mi się nawet do niego zbliżyć, jakby się bali, że zjem klawiaturę.

Mówią, że jestem tu od trzech miesięcy, że tyle czasu minęło od tamtych wydarzeń. A mnie się wydaje, że najwyżej dwa tygodnie. Jednak kiedy wyglądam przez okno, widzę, że liście już spadły z drzew. Na podjeździe leży rozgnieciona dynia, a więc albo zbliża się Halloween,

albo dawno minęło. Chcecie wiedzieć, co się stało? O ile pamiętam, zastrzeliłam Gerarda, a sekundę czy dwie później rozległ się koszmarny hałas w mojej czaszce. Grzmotnęło i nastąpiła ciemność. Zgodnie z raportami, gdyby Gerard nie położył ręki na tej głupiej lufie, nic by mu się nie stało, ale niestety położył i mu ją odstrzeliłam. Potem upuściłam pistolet. Chłopak zdołał zachować przytomność na tyle długo, by podnieść broń i ogłuszyć mnie kolbą.

Ocknęłam się w szpitalu. Zobaczyłam Marylou. Trzymała mnie za rękę i ciągle powtarzała, że wszystko będzie dobrze. Potem znowu odpłynęłam. W ogóle długo nie mogłam odzyskać świadomości. Na chwilę obudziłam się w szpitalu we Francji. Pamiętam też kilka sekund, kiedy siedziałam na wózku na lotnisku. I przypominam sobie Gerarda. Przyszedł mnie odwiedzić przed wylotem. Jego ręka bez dłoni zwisała na temblaku. Przez większość czasu nie kontaktowałam, ale on się chyba nie gniewał. Wydaje mi się, że nawet pogłaskał mnie po włosach.

Koroner stwierdził, że Henri naprawdę się zabił -wynioskował tak z prochu na jego palcach. Zwłoki żony znaleziono dokładnie tam, gdzie Gerard wskazał. Zgromadzili też dość dowodów, że to Henri ją zamordował. Pies leżał tuż obok swojej pani. Nieco trudniejsza do rozwikłania okazała się sprawa chłopaka z wioski i dwóch amerykańskich turystek, którzy stoczyli w domu Henriego krwawą bójkę - jedno znalazło się związane w piwnicy, drugie skończyło bez ręki, trzecie leżało nieprzytomne na podłodze w kuchni. Fakt, że to wydarzyło się trzy dni po makabrycznym morderstwie i samobójstwie, dawał jeszcze więcej powodów do niepokoju.

Ostatecznie okrzyknięto Gerarda bohaterem. Zauważył nieobecność żony Henriego i obserwował jego dom. Kiedy u Henriego zjawiły się przypadkiem dwie amerykańskie turystki, czyli my, Gerard wkroczył do akcji, żeby je chronić. Henri targany poczuciem winy odebrał sobie życie. A ja szczęśliwie postradałam zmysły.

Miejscowa policja nie odkryła, czemu to wszystko zbiegło się w czasie, ale wielu psychologów zainteresowało się sprawą.

Ponieważ kłamałam, że Gerard mnie zaatakował, pobiłam siostrę odtwarzaczem DVD, strzelałam i tak dalej, uznano, że przeżyłam atak psychozy. Wylądowałam w psychiatryku na przedmieściach Bostonu. „Wolimy to nazywać placówkami rehabilitacji psychicznej” - powiedziała Marylou.

Teraz, kiedy odzyskałam dostęp do poczty elektronicznej, widzę, że Gerard codziennie wysyłał mi wiadomości. Pierwsze były bardzo krótkie, ale odkąd przyzwyczał się do stukania w klawiaturę jedną ręką, pisał o wiele więcej. Jest jedyną osobą na świecie, która myśli, że nie pasuję do tego miejsca. Nie może się doczekać, kiedy wyjdę, chociaż nie zapowiada się, żeby to nastąpiło wkrótce. Twierdzi, że odwiedzi mnie, gdy dopasują mu protezę dłoni.

Właśnie przeczytałam e-mail od Marylou... wysłała mi link do swojej - bardzo nagrodzonej - pracy z psychologii. Wierzy, że dzięki niej ma już zapewnione miejsce na jednym z najlepszych uniwersytetów. Preczytałam tę pracę. Zawiera wszystkie szczegóły sprawy. Łącznie z opowieścią o dekrete o podejrzanych.

I z fragmentem o gilotynie.

Teraz muszę się wylogować i wrócić do pokoju. Poproszę, żeby zwiększyli mi dawki leków. Podoba mi się tutaj. Jest miło i bezpiecznie, nie ma żadnych ostrych przedmiotów i wszyscy siedzą zamknięci. Jak powiedziałaby Gerard: inne opcje są gorsze.

Libba Bray

Nigdzie nie jest bezpiecznie

Halo? Nagrywamy? Widzę czerwoną lampkę, więc mam nadzieję, że bateria nie padnie.

Dobra, pełne skupienie, bo nie będę powtarzał, wszystko idzie na żywo. Skoro znalazłeś to na YouTube, masz farta, bo naprawdę powinieneś o tym wiedzieć.

Sorki za to walenie w tle. W tej chwili nie mogę tego wyjaśnić, poza tym wolisz nie wiedzieć, co znajduje się po drugiej stronie drzwi. Uwierz mi.

A w ogóle to jestem Poe. Poe Yamamoto. Na cześć Edgara Allana. Jasne, wiem: kto chciałby się tak nazywać? Cholera, rozkojarzyłem się. Dobra. Skoncentruj się, chłopie. Mów, co masz do powiedzenia.

Wyobraź sobie, że właśnie skończyłeś liceum i postanowiłeś uczcić zakończenie kilkunastu lat przymusowej edukacji, wybierając się z przyjaciółmi na małą wólcę po Europie.

Zaliczasz obowiązkowe punkty: Paryż, Dublin, Wenecja - która, tak na marginesie, śmierdzi smażonymi gołębiami kupami; Londyn - zimny, mokry i drogi; kilka browarów w Niemczech. Nagle jedno z was proponuje:

- Ej, a może zboczmy trochę z trasy i wybierzemy się do tych słynnych tajemniczych wschodnioeuropejskich miast. Poganiamy za wampirami, wilkołakami i innymi słowiańskimi nocnymi straszidłami. ~ No bo czemu nie? W końcu to jedyna taka okazja.

Pakujesz więc manatki i dalej, na wschód. Wsiadasz w pociąg jadący przez lasy, które są starsze niż wszystko, co mamy u siebie i co tylko jesteś sobie w stanie wyobrazić. Prawie dolatuje cię zapach starości od potężnej ściany odwiecznych drzew i sprawia że czujesz się malutki i nic nieznaczący.

Nieważne.

Docierasz do jakiejś wioski i widzisz, że miejscowi porozwieszali w oknach wielkie, dziwaczne wisiorki chroniące przed złym urokiem. Pewnie nawet nabijasz się z ich staroświeckich zabobonów, laka cholerna arogancja, mój przyjacielu, może cię zabić. Bo to nie staroświeckie zabobony. Nie bez powodu tamtejsi wciąż żyją.

Zostajesz na trochę, zajadasz pikantny gulasz i próbujesz nawiązać rozmowę z lokalną ludnością, która ciągle ci powtarza, żebyś jechał dalej - do Moskwy, Budapesztu albo Pragi. Jakby się chcieli ciebie pozbyć. Jakbyś sprawiał im kłopot. Olewasz ich, a któregoś dnia wybierasz się z przyjaciółmi do tajemniczego lasu, kluczysz w gęstej mgłę, która pojawiła się znikąd. To nie pora na przystanek i sikanie pod drzewem ani na kręcenie filmiku z podróży dla rodzinki.

Znasz to uczucie mrowienia na karku? Takie, że boisz się obejrzeć za siebie? Uważaj, Holmesie. To znak, że coś jest nie tak. Sygnały alarmowe powoli wydostają się z tej części mózgu, którą dzielisz z gadami. Z pierwotnego centrum gotowości bojowej. Jeszcze zachowało się ono w twoich szarych komórkach i nie uległo zagładzie pośród tych wszystkich chronionych osiedli, sklepów całodobowych ciągnących się wzdłuż autostrad i co najmniej kilku programów o pogromcach duchów, wyświetlanych późnym wieczorem na kablówce. Ja już tego doświadczyłem.

A zatem wędrujesz nieznaną ścieżką i nagle ni stąd, ni zowąd podnosi się mgła. Obejmuje cię swoimi mackami i obraca tak długo, aż gubisz drogę, a drzewa szepczą do ciebie. Albo wydaje ci się, że widzisz w ciemności coś, co w ogóle nie powinno *istnieć*, co ma rację bytu tylko w mrozących krew w żyłach ogniskowych opowieściach. Słuchaj swojego gadziego instynktu, Holmesie, i wyświadczyć sobie przysługę.

Uciekaj. Zwiewaj, jakby cię sam diabeł gonił.

Bo może i goni.

Ciągle nagrywamy? Świetnie. Opowiem, co się zdarzyło, póki jeszcze mogę.

Nie wiem, kto pierwszy wpadł na ten pomysł. Ja? Baz? Jego kuzyn, John? A może moja najlepsza przyjaciółka, Isabel? Trzech facetów i dziewczyna z plecakami, biletami Eurail* i dwoma miesiącami do dyspozycji, zanim trzeba będzie się stawić na uniwerku. Jakimś cudem w ciągu miesiąca upłynniłmy większą część gotówki. To wtedy jedno z nas - i znów nie pamiętam kto - zaproponowało, żeby przyszczędzić i bujnąć się po Europie Wschodniej.

- Albo tak zrobimy, albo wracamy wcześniej do domu i spędzamy resztę wakacji w drive-inie Taco Tempie na wręczaniu kierowcom bomb tłuszczowych - stwierdził Baz. Pił czwarte niemieckie piwo i zataczał się jak niewyspany kozioł, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Na świeżo wyrosniętej bródce miał pianę.

- A nie możemy jechać do Amsterdamu? Słyszałem, że pozwalają tam palić trawkę - marudził John.

Isabel pokręciła głową.

- Za drogo.

- Chyba dla was - mruknął John.

- No nie bądź taki. - Isabel cmoknęła go, a on trochę zmiękł.

Sparowali się zaraz po drugim tygodniu podróży, a ja próbowałam się tym nie przejmować.

Szczerze mówiąc, Izzie była warta dziesięciu takich Johnów.

- To dokąd jedziemy? Byle nie tam, gdzie szurnięta ciotka Panny. Marzy mi się jakaś prawdziwa przygoda.

- Na przykład jaka, moja wspianała, dzielna księżniczko-podróżniczko? - spytał Baz w typowy dla siebie sposób, który świadczył, że chłopak bardziej jest bezczelnym przyjacielem niż beznadziejnym palantem. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać irokeza Isabel. Odtrąciła go, żartobliwie piorunując wzrokiem, i pogroziła pięścią. Baz padł na kolana w udawanym przerażeniu. - Litości! - zawył piskliwie. A potem mrugnął. - Albo nie. Tali też jest fajnie. Isabel przewróciła oczami i otworzyła przewodnik *Tanie podróżowanie po Europie* na dziale *Nawiedzona Europa*. Pokrótce opisywano tam mniej znane miejsca, a każde z nich miało być przeklęte: zamki wzniesione z ludzkich kości, wioski, gdzie kiedyś palono czarownice, starożytne tereny pochówku i jaskinie zamieszkałe przez wampiry. Ulubione zakamarki wilkołaków i sukubów.

John połaskotał Isabel i wyrwał jej książkę.

- A co powiecie na to? - Zaczął czytać na głos: -,Necuratul. Miasto przeklętych. W średniowieczu na Necuratul spadła plaga nieszczęść: straszliwa susza, napaść bezwzględnych najeźdźców i czarna śmierć. Aż nagle w XV wieku ich kłopoty ustały. Necu rat u i zaczął rozkwitać. Uodpornił się na choroby i z łatwością odpierał ataki wrogów. Wieść niosła, że mieszkańcy zawarli pakt z diabłem w zamian za pomyślność i przetrwanie.

W ciągu minionego stulecia majątek Necuratulu zaczął się kurczyć. Młodzi masowo wyjeżdżali z rodzinnych stron, odizolowanych przez gęstą puszcę i zapomnianych przez cywilizację. Wyruszali w świat w poszukiwaniu rozrywki i na uniwersytety. Ale zawsze powracają na miejscowe święto, trzynastego sierpnia, kiedy to Necuratul oddaje hołd swojej przeszłości i odświeża rytuały. Kulminacją stanowi wielki festyn. Przypomina on ostatki.

* Jeden bilet na całą Europę, na dowolne środki lokomocji (przyp. red.).

Serwuje się wtedy wyśmienite potrawy i mocne napitki. Necuratul słynie z wybornych win i przerażającej historii.

Niestety być może to ostatni rok obchodów tego święta, a także istnienia samego miasteczka, ponieważ istnieją plany przesiedlenia ludności i wybudowania tam elektrowni".

- Rany. Cóż za przyjemniutki opis - skomentował Baz. - Wpadnij do nas! Napij się naszego wina! Poflirtuj z naszymi kobietami! Zabaw się w dniu naszego święta! A to wszystko jedynie za... twoją duszę!

- Świetne wino i niezła balanga? Wchodzę w to -oznajmił John. Szpanerskie okulary wciąż nosił nasunięte na głowę. Miał spalony nos.

Baz dopił piwo i otarł usta ręką.

- Ja też.

- I ja. Poe? - Isabel wyciągnęła do mnie dłoń i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Ciężko było odmówić Izzie, kiedy odzywała się jej żyłka awanturnicza. Zaprzyjaźniliśmy się jeszcze w siódmej klasie, kiedy ona wyemigrowała z Haiti, a ja przyjechałem z wielkiego miasta; trzymaliśmy się razem; przypominaliśmy dwie boje dryfujące na ciemnym, wzburzonym morzu. Splotłem z nią palce.

- Kierunek: miasto potępionych - powiedziałem i wszyscy podaliśmy sobie ręce na znak zgody.

Następnego ranka wymeldowaliśmy się z hostelu przed świtem i wyruszyliśmy na wschód od Monachium. Pociąg telepał się przez góry. Ciągłe podjazdy i zjazdy po stromiznach wywoływały u wiecznie skacowanych Johna i Baza chorobę lokomocyjną. Po kilku kolejnych zakrętach zanurzyliśmy się w ciemny, gęsty las - w objęcia strzelistego strażnika pradawnych bóstw.

- Nie przetrwałbym tam nawet jednego dnia -mruknąłem.

- Chłopie, nikomu by się to nie udało - odparł John. Naciągnął na oczy czapkę, żeby nie raziło go światło, i ułożył się do snu na ramieniu Isabel.

W Budapeszcie dosiadło się trochę osób, a nasz przytulny przedział zaanektowała starsza pani, która śmierdziała czosnkiem i mówiła angielskim tak przaśnym jak chleb razowy.

- Tu siedzę, tak? Usuńcie się.

Isabel i John spali na siedzeniach naprzeciwko, więc ja i Baz ścisnęliśmy się, a kobieta rozsiadła się obok nas.

- Dokąd zmierzacie? Nie, zaraz! Nie mówcie. Sama zgadnę. Jedzicie...

- Do Necuratulu. Miasta potępionych - wtrącił się Baz. Poruszył brwiami dla większego efektu.

- Powiedziałam, że zgadnę - burknęła nowa pasażerka. - Przepowiadam przyszłość. Chyba że jakiś głupi Amerykanin mnie wyminie.

- Chyba uprzedzi? - podsunął Baz.

- Co za różnica. Nazywacie się? Przedstawiliśmy się, a ona pokiwała głową, jakby wszystko sobie dokładnie przemyślała i uznała, że mamy prawo nosić takie a nie inne imiona.

- Możecie się do mnie zwracać pani Smith. Nazwisko Smith nie bardzo pasowało do wróżki z Europy Wschodniej, która najwyraźniej uwielbiała czosnek i dosiadła się w Budapeszcie. Nasze twarze musiały jej to zdradzić, bo wzruszyła lekko ramionami.

- Łatwo to było napisać na wozie. Poza tym każdy zna jakiegoś Smitha. Chodźcie. Powrózę wam.

- Nie mamy pieniędzy - uprzedziłem szybko.

- A czy ktoś wspominał o pieniądzach? - warknęła. - Nie wzięłam książki i się nudzę. Nie zachowujcie się jak barany.

- To chyba częste w filmach, co? Pojawia się starszy koleś albo babka i gada coś w stylu: „Och, wkrótce umrzesz albo zarobisz kupę forsy, albo poznasz dziewczynę. A teraz dawaj kasę” - zrzędził Baz.

Pani Smith się zjeżyła.

- Tobie mogę przepowiedzieć przyszłość nawet bez czytania z ręki.

- Tak?

- Jesteś idiotą. I zawsze nim będziesz.

Z twarzy Baza zniknął protekcyjny uśmiešek.

- No dobra. W filmach to zwykle bardziej skomplikowane. I mniej aroganckie.

Pani Smith wpatrywała się w moją twarz, a ja natychmiast zacząłem się opancerzać. Jakbym znów przeżywał pierwszy dzień w liceum: „Elo, kitajcu. Brzydału. Sushi. Ej, Azjata, odrobisz za mnie matnę?”

- Coś nie tak? - spytałem w napięciu.

- Masz jedno oko niebieskie, a drugie brązowe - zauważyła.

Skrzyżowałem ręce na piersiach, jak gdybym rzucał jej wyzwanie.

- Owszem. Mieszanka genetyczna. Tata jest Japończykiem, mama Amerykanką.

- I do tego całkiem seksi - przerwał Baz. - Znaczy, twoja mama, nie tata. No, ojciec też niczego sobie, ale mama...

- Baz. Zamilcz.

- Dobra.

- Istnieje legenda o mężczyźnie z oczami, które spoglądają w ziemię i niebo. Z jednym brązowym, a drugim niebieskim - podjęła pani Smith. Jej głos zmienił się, stał się cichszy, jakiś nieufny.

- Co to za legenda?

- Mężczyzna jest przeklęty i musi żyć w dwóch światach: świecie żywych i umarłych. Mogę?

- Podniosła moją dłoń i przyglądała się jej dłuższą chwilę ze zmarszczonymi brwiami. - Tak jak myślałam. Idziesz ramię w ramię z niewidocznymi mocami, mrocznymi duchami, niespokojnymi i żądnymi zemsty. Poe Yamamoto, jest ci przeznaczona walka ze złem i wkrótce zostaniesz wystawiony na próbę.

- No, stary - szepnął mi do ucha aż, łaskocząc mnie w policzek swoimi blond dredami. - Czy ta Stara dziwaczka właśnie powiedziała: „walka ze złem”?

Kobieta uderzyła go w rękę.

- Wszystko słyszałam.

- Au! Tak nie wolno.

- Za dużo sobie pozwalasz - stwierdziła zdecydowanie pani Smith.

Baz zamknął się wreszcie. Moim zdaniem każdy, kto potrafił go zgasić, zasługiwał na szacunek.

- Strzeż się łatwych odpowiedzi, Poe Yamamoto. Patrz głębiej, żeby dostrzec to co pod powierzchnią. Zawsze znajdziesz tam coś więcej. Inne wyjaśnienie. Głębszą, bardziej przerażającą prawdę. Ale bez prawdy nie ma rozwiązania. A bez rozwiązania umarli nie mogą spocząć.

- Okeeej. Powinienem wiedzieć coś jeszcze? - zapytałem.

- Iak. Nie jedz ciasta w wagonie restauracyjnym. To nie przepowiednia. To doświadczenie.

Zawsze podają strasznie czerstwe. - Wręczyła mi swoją wizytówkę. „Pani Smith, wróżka”. A pod spodem wytłoczony numer telefonu. - Na wszelki wypadek.

- Na jaki wypadek?

- Gdybyś wrócił. - Zebrała swoje rzeczy i wrzuciła do torby. - No dobrze. Pójdę do innego przedziału. Szczerze mówiąc, przerażasz mnie. Powodzenia, Poe Yamamoto.

Drzwi zamknęły się za nią z hukiem. Isabel rozbudziła się i przeciągnęła. Taka zaspana wyglądała ślicznie, słońce pokrywało cętkami jej hebanowe policzki.

- Co mnie ominęło?

- Lasy. Góry. Znowu lasy. Aha, i jakaś dziwaczna kobieta właśnie przepowiedziała Poemu, że będzie walczył ze złem.

Isabel chuchnęła sobie w dłoń i się skrzywiła.

- Iak, to zdecydowanie mój oddech. Pójdę do restauracyjnego po gumę.

Następnego dnia dotarliśmy w końcu do stacji niedaleko Necuratulu. Dawno już minęła pora obiadu. Każde z nas było całe zeszywniałe, a w brzuchach burczało nam z głodu.

Pokazaliśmy zawiadowcy nasz przewodnik, a facet kiwnął głową w stronę woźnicy w świątecznym kapeluszu z piórką zatkniętą za wstążkę. Mężczyzna siedział na wozie i jadł kanapkę. Isabel wskazała palcem w książce słowo „Necuratul”. Woźnica przestał przeżuwać i spojrzał na nas dziwnie.

- Powinniście jechać do Bukaresztu albo do Pragi. Piękne miasta - powiedział.

- Bardzo nam zależy na festiwalu - wyjaśniła Isabel. Uśmiechnęła się rozbrajająco, ale na tego gościa to nie podziałało. Wywołało tylko lekki grymas na jego twarzy.

Znów zabrał się do kanapki.

- Gadają, że kiedyś czcili tam diabła. I podobno nadal to robią.

Baz zrobił minę wampira, nasunął zęby na dolną wargę i wytrzeszczył oczy. Isabel szturchnęła go w ramię.

- W przyszłym roku - ciągnął właściciel wozu - na górze powstanie elektrownia. Żegnaj, Necuratulu. Mówią, że to postęp. Może. Macie pieniądze?

- Całe mnóstwo - prychnął Baz.

- Nie za dużo - przyznał John w tym samym momencie.

- Ech, młodzi - mruknął woźnica i wytarł ręce. - Wskakujcie. Ale najpierw muszę was ostrzec: nie włączcie do lasu. Trzymajcie się kamiennego obmurowania i nie wychodźcie poza nie, bo pożałujecie.

- Dlaczego? - zapytała Isabel.

- Niespokojne duchy tylko czekają, żeby ktoś je oswobodził - wyjaśnił i nakarmił konia resztką kanapki.

- A to nas postraszył - mruknął John, kiedy ładowaliśmy się na wóz. - Myślicie, że płacą mu ekstra, żeby dorzucał takie teksty? W Londynie na trasie Kuby Rozpruwacza przewodnicy też ciągle gadają, że nigdy go nie odnaleziono, i nagle mija cię szybkim krokiem jakiś aktorzyzna w czarnej pelerynie.

- Może - powiedziałem, choć woźnica nie wyglądał na żartownisia. W tej samej chwili zauważyłem niski kamienny murek z obydwu stron odgradzający wąską drogę gruntową od lasu. Wzdłuż drogi biegły smugi białego proszku. Stacja za nami już zniknęła, zostały tylko gęste zarośla i mgła. A ja przysięgłbym, że przed oczami mignęła mi dziewczynka, która przygląda się nam zza drzewa. - Ej, widzieliście... - Wyciągnąłem rękę, ale mała postać już zniknęła.

- Nigdy nie odnaleziono Kuby Rozpruwacza! - zawołał Baz i rzucił się na mnie. Musiałem dać mu kopa, żeby się uspokoił.

Dwadzieścia pięć kilometrów przez most i pod górę na wozie dało mi się we znaki. Czułem, że mój tyłek to jeden wielki obolały kawałek suszonej wołowiny. W końcu las zaczął się przerzedzać. Zobaczyłem spalone słońcem czerwone dachy i wąskie smużki dymu unoszące się znad przekrzywionych kominów. Kamienne ogrodzenie, takie samo jak to, które widzieliśmy po drodze, oddzielało wioskę od lasu. Tutaj też rozsypano biały proszek. Woźnica zatrzymał się z dala od kamieni, pilnując, żeby koń się do nich nie zbliżał. Zapłaciliśmy facetowi. John z kwaśną miną rozstawał się z kolejną partią pieniędzy od dziadków.

- To nawet nie był mój pomysł - jęczał.

- Przestań - uciał Baz. - A na co chciałbyś wydać tę kasę?

- Na porno - prychnęła Isabel. - Słyszałam, że jeśli się zarejestrujesz na stu stronach, jedną dostajesz za darmo.

Baz cofnął się i złapał za serce.

- Och! Bel cię zdradziła, Johnster!

- Zaniknij się. - John trzepnął Baza w ramię mocniej, niż było konieczne.

Po prawej stał wysoki słup z dzwonem i liną. Woźnica zadzwonił. Po kilku minutach zjawiała się starsza kobiety jasnej spódnicy po kostki, brązowej koszuli z długimi rękawami i chustką na głowie. Zamieniła z woźnicą kilka słów, momentami dość burzliwych. Przyglądała się nam dłuższą chwilę: czwórka brudnych nastolatków, śmierdzących starym potem i wagonem kolejowym. Kiedy jej spojrzenie padło na Isabel, cała się nastroszyła.

Dziewczyna skrzyżowała ręce na swojej poszarpanej ramonesce.

- Świetnie - mruknęła. - Rasiści. To lubię. Kobieta wsunęła rękę do fartucha i sypnęła na nas garść białego proszku. Isabel wzdrygnęła się i zacisnęła dłonie w pięści.

- Co, u licha?

- Sól - oznajmił John. Część drobinek wpadło mu do ust. - To sól.

Starsza kobieta rzuciła za nas jeszcze jedną garść soli.

- Ochrona - wyjaśniła. Później dowiedzieliśmy się, że to jedno z dwóch słów po angielsku, które знаła. Drugie to „diabeł”.

Oderwała kawałek chleba i wyciągnęła go przed siebie, jakby chciała zwabić jakieś zwierzę. Chyba powinniśmy go od niej wziąć, ale kiedy spróbowałem to zrobić, odsunęła się z nieufnym wyrazem twarzy. Wiatr wzmógł się nagle i odepchnął nas lekko. Gwizdał wśród drzew, jak gdyby wyśpiewywał modlitwę za zmarłych. Kobieta znieruchomiała. Przeszedłem przez kamienny murek; kumple zrobili to samo. Wiatr ucichł, las umilkł. Starsza kobieta wrzuciła chleb do kieszeni fartucha i wytarła ręce w spódnice, a jej spojrzenie mówiło, że nas chciałyby się pozbyć równie łatwo. Potem odwróciła się i odeszła sztywnym krokiem.

- Dziwne. - Isabel pokręciła głową.

- O co jej chodziło z tym chlebem? - zapytał Baz.

- Chleb jest dla żywych - odparł czyjś głos. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy dziewczynę, mniej

więcej naszą rówieśniczkę, może trochę starszą. Zamiatła ulicę. Miała ciemne oczy i długie włosy w kolorze pszenicy, nosiła džinsy i koszulkę z Flaming Lips. Obok niej machała szcztoką kobieta w wieku mojej mamy. Była ubrana w bure, wiejskie ciuchy jak ta babka, która obrzuciła nas solą. Nie patrzyła na nas.

- No i co z tego? Umarli są na diecie niskowęglo-wodanowej? - spytałem z uśmiechem.

Na szczęście dziewczyna odwzajemniła mój uśmiech.

- Umarli nie jedzą. Gdyby jedli, mielibyśmy już całkiem przechlapane.

- Niezła - szepnął Baz. - Wyobrażam sobie, jak się przeży w kalendarzu *Gorące kociaki Necuratulu*, może w bikini z Władem Palownikiem. Oooch!

Isabel zasunęła Bazowi z całej siły łokciem w brzuch.

- Ostro, Iz - wykaszał Baz.

- Dorośnij, Baz - odszczeknęła się.

- Znasz angielski - zwrócił się John do dziewczyny, stwierdzając oczywisty fakt.

- Tak. Studiuję. Przyjechałam do domu na wakacje. Na święto. Dziś wieczorem w karczmie będzie niezłe pijaństwo.

John się uśmiechnął.

- Ekstra.

- A tak w ogóle, co to za język? - spytał Baz, zgrywając światowca. - Przypomina trochę rumuński. Albo węgierski.

- To necuratuli. Miejscowy dialekt. Nie próbujcie czegokolwiek. zrozumieć. Jest zbyt dziwny. Mam na imię Mariana. - Wyciągnęła rękę, a kiedy ją uściśnałem, starsza kobieta pokręciła

głową i wymamrotała coś pod nosem. Splunęła trzy razy. Mariana wzruszyła ramionami. - Moja matka. Nie toleruje żadnych grzesznych obyczajów. U nas kobiety nie podają dłoni mężczyznom. - Mariana powiedziała coś w necuratuli, a pani starsza rzuciła nam jeszcze jedno podejrzliwe spojrzenie i się oddaliła. - Nie zwracajcie na nią uwagi. Denerwują ją przyjezdni i wszelkie nowości. Przyjechaliście na nasze święto?

- Tak. Przeczytaliśmy o nim tutaj. - Uniosłem przewodnik. - No wiesz, głowa kozła, składanie zwierząt w ofierze, pakt z Panem D.

Mariana się roześmiała.

- Właśnie tak ściągamy turystów. Florencja ma Dawida, a my Szatana. Przykro mi, muszę was rozczarować, ale to w większości przesady. Ale wino jest fantastyczne, a samo święto to świetna zabawa. Proszę. Zostawcie tu swoje plecaki. Nikt ich nie weźmie. To jedna z zalet tego miasteczka, wszystko jest tu bezpieczne; nie trzeba się o nic martwić. Wyobrażacie sobie coś podobnego w Londynie, w Nowym Jorku lub Moskwie?

- Mnie ukradli raz rower, choć stał przypięty łańcuchem - wyznał Baz. Zerknął na nią z udawaną nieśmiałością, na co Izzie przewróciła oczami. - Najbardziej żałowałem dzwonnka. Mariana wybuchnęła śmiechem, słysząc ten tani dowcip podrywacza.

- Może pocieszy cię mała wycieczka po Necuratulu. Chodźcie. Oprowadzę was.

- O co chodzi z tymi kamieniami i solą? - zapytałem, zrzucając plecak.

- Stary ludowy zwyczaj. Ma bronić wstępu złym duchom. Nieumarli nie mogą przekroczyć przez próg. I nic jeść. Dlatego kobieta poczęstowała was chlebem, kiedy jeszcze byliście po drugiej stronie, żeby sprawdzić, czy należycie do żywych. Jeślibyście próbowali zabrać jej chleb podczas przekraczania progu, spaliliby was na popiół. Baz zagwizdał.

- Rany boskie.

- A wielu nieumarłych usiłuje się tu dostać, a potem robi sobie zdjęcia i prosi o koszulkę z napisem: „Imprezowałem z głową kozia”? - zażartowałem.

Mariana poważnie pokiwała głową i westchnęła:

- A jak sądzicie, skąd się wzięło określenie „niespokojne duchy”? Przyłazą, demolują całą karcznię i nie dają napiwków. Zresztą i tak nie wolno wam wchodzić do lasu. A przede wszystkim zabierać tam chleba. W ten sposób karmi się nieumarłych, daje im siłę.

- Ludzie, to przecież przesady. Totalna bzdura, co nie? - rzucił z pełnym wyższości uśmiechem John.

- Każde miejsce ma swoje tradycje - odparła trochę chłodno Mariana,

Baz przysunął się do kuzyna.

- Naucz się zjednywać sobie miejscowych, przyjacielu. - Zwrócił się do Mariany: -

Uwielbiam opowieści o różnych zwyczajach! - Szedł tuż obok niej, kiedy oprowadzała nas po Necuratulu.

Przewodnik nie kłamał: miasteczko wyglądało jak z bajki z elementami horroru. Każdy dom obsypano dokoła solą. Z okien zwisały warkocze czosnku, były też przybite gwoździami do drzwi. Za miasteczkiem rozciągały się faliste łąki, na których pasły się owce. Spokój. Ślicznie jak na pocztówce. Nagle zauważyłem strachy na wróble z symbolami chroniącymi od złego uroku wymalowanymi na czołach, Nie takie obrazki chce się mieć w rodzinnym albumie.

Jednak punktem kulminacyjnym okazał się olbrzymi gotycki kościół. Wznosił się na szczycie wzgórza, na samym krańcu miasteczka, prawie na tej samej wysokości co Unia drzew.

Naliczyłem trzynaście poskręcanych iglic. Wejścia broniły masywne drewniane drzwi z wyrzeźbionymi twarzami. Z bliska twarze wyglądały makabrycznie. Wrzeszczące usta.

Rozszerzone z przerażenia oczy. Błagający o coś ludzie.

- Rany. Jakie słodkie - wymamrotałem.

- Wiem. Nie da się żyć w ciągłym strachu. - Mariana pchnęła drzwi i weszliśmy do środka.

- O rany - westchnął Baz.

Nic na zewnątrz nie zdradzało, jak porażająco pięknie jest w środku. Ściany - każdy najdrobniejszy ich skrawek - lśniły od kolorowych, pozłacanych malowideł. Zachowały się w doskonałym stanie.

- Wszystko to powstało w średniowieczu - objaśniła Mariana. - To historia miasta.

Ściany po lewej były jak żywcem wyjęte z horroru. Dziwaczne obrazy wyniszczonych pól. Schorowani, wychudzeni ludzie pokryci ranami. Płaczące dzieci.

Psy gryzące się o skrawek mięsa. Palące się trupy ułożone nawozach, rozpaczające obok kobiety. Malowidła po prawej dawały trochę oddechu. Rolnicy w polu. Kobiety wypiekające chleb. Łany zbóż. Pasące się w spokoju zwierzęta. Wszystko to wyglądało kropka w kropkę jak okolica, którą właśnie zwiedziliśmy. Z wyjątkiem jednego drobnego szczegółu, który mógł dostrzec tylko uważny obserwator. Na malowidłach po prawej, w lesie kryły się niewyraźne postacie obserwujących dzieci.

- Nawet na suficie są obrazy. - John zadarł głowę. Nad nami widniało wymalowane jezioro w środku

lasu. Obok, na kępie trawy gromadzili się mieszkańcy miasteczka. Dzieci stały po pas w wodzie. Miały związane ręce. Kapłan w czerwonej szacie z kapturem unosił wysoko głowę kozła, a z jej rogów zwisały warkocze. Widok przerażający, a zarazem trochę śmieszny. Szatańska głowa Heidi i kozła w jednym. Jak się zastanowić, w klubach widywałem dziewczyny o podobnym spojrzeniu. Z lasu napływała gęsta mgła. Dzieci patrzyły w jej stronę, natomiast dorośli wbijali wzrok w głowę kozła. Na wodzie ukazywały się bąble i wiry.

- A to przyjemna scenka - mruknąłem. Mariana się wzdrygnęła.

- Dziwna, prawda? - Roześmiała się. - Nie chcielibyście dorastać z czymś takim przed oczami. Uwierzcie mi, ten widok trzymał nas w ryzach.

Dobrze, że zażartowała. Wizyta w kościele przyprawiała mnie o gęsią skórkę.

- Ale dlaczego kozioł ma warkoczyki jak u Heidi? - spytałem.

Mariana podeszła do ołtarza, na którym wystawiono wielką księgę. Przerzucała strony, aż znalazła rysunek. Pokazywał głowę kozła z bliska i ze wszystkimi szczegółami: rozjarzone oczy, zebrane pod brodą warkocze, uplecione z włosów różnego koloru i grubości.

Isabel zadrżała.

- Co to jest, do cholery?

- Dusza Necuratulu - wyjaśniła Mariana. - Według legendy w mrocznych czasach co siedem lat każda rodzina poświęcała jedno dziecko Szatanowi w zamian za opiekę. Aby dowieść swojej lojalności, pokazać, że dotrzyma się obietnicy, trzeba było obciąć dziecku włosy i upleść z nich warkocz, a następnie przyczepić go do kozła. W ten sposób składano przysięgę, że odda się duszę swojego dziecka.

- Niezli popaprańcy - stwierdził Baz, gapiąc się w rysunek.

- Ale ludzie wierzyli, że to konieczne. A wierzenia mają moc. Dlatego tak ciężko pozbyć się przesądów. - Mariana przebiegła palcem po postarzałym brzegu karty. - Mówią, że do czasu przybycia angielskich misjonarzy pod koniec XVIII wieku, ciągle składano ofiary.

- Rany - jęknął John.

- Przepraszam, że was straszę. - Mariana roześmiała się z przymusem. Zamknęła księgę z głośnym trzaskiem, a wokół wzbijała się chmura kurzu. - Oczywiście misjonarze natychmiast położyli temu kres, zniszczyli głowę kozła, wszystkie związane z nim symbole i czerwone szaty. Po dziś dzień czerwony jest zakazany w mieście. Mówi się, że to kolor diabła.

Misjonarze dopilnowali, żeby dzieci zdobyły wykształcenie, a część chłopców posłali do szkół w Anglii.

- Chłopców. No jasne - prychnęła Isabel.

- A dokąd prowadzą te drzwi? - Wskazałem bogato zdobioną ścianę na przedzie kościoła.

Namalowano na niej złotych świętych i anioły. Na środku znajdowała się jeszcze jedna para rzeźbionych drzwi.

- To ikonostas - wyjaśniła Mariana. - Najogólniej ujmując, osłania ołtarz przed gawiedzią. Kapłan sam decyduje, czy otworzyć drzwi podczas mszy i pokazać ludziom ołtarz, czy nie. i A możemy tam zajrzeć? - poprosił John.

- Pewnie. - Mariana nacisnęła klamkę i zmarszczyła brwi. - Dziwne. Zamknięte. - Uniosła rękę. -Przykro mi.

- Nie szkodzi. - Baz przysunął się do niej trochę bliżej. - Powiedz, naprawdę chcą tu wybudować elektrownię?

- W przyszłym roku. Podobno. Dlatego teraz wszyscy zjechali się na święto. Potem już nic nie zostanie. - Mariana rozejrzała się ze smutkiem, a po chwili jakby otrząsnęła się z ponurych myśli. - No dobra. Skoro już poznaliście nas od najgorszej strony, chodźcie zobaczyć tę najlepszą. Gulasz jagnięcy w karczmie jest naprawdę wyśmienity. A wino jeszcze lepsze. I nikt nie pyta, czy skończyłeś dwadzieścia jeden lat.

- W końcu mówisz do rzeczy - zauważył John.

Kiedy dotarliśmy do celu, wreszcie dostrzeegliśmy więcej oznak życia. Zaczęły pojawiać się osoby poniżej wieku emerytalnego. Mariana witała się ze wszystkimi jak z kuzynami - bo wiele osób było jej kuzynostwem. Wyjaśniła nam, że wrócili na festiwal z pracy i ze szkół w miastach. Zjawiły się też dzieciaki. Zaśmiewając się, kopały prowizoryczną piłkę, a ja aż zatęskniłem za domem. Jakiś brunet w skórzanej kurtce pocałował Marianę w oba policzki i przedstawił się nam. Nazywał się Vasul i studiował w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Londynie. Miał dwadzieścia lat, tak samo jak Mariana, i wygląd rosyjskiego księcia. Wszyscy traktowali nas jak starych znajomych. Wino lało się strumieniami. Siedzieliśmy do świtu, rozprawiając o życiu, polityce, tradycjach i nowoczesności. Domyślałem się, iż właśnie takie dyskusje będą się toczyć na uniwerku, i wreszcie poczułem, że dorosłem. Że nie jestem już dzieckiem.

- Patrzcie na wujka Radu. Wyciąga akordeon - zarechotał Vasul.

Mariana ukryła twarz na jego ramieniu i zdusiła wybuch śmiechu.

- O co chodzi? - spytał John.

- Zaczekaj moment - odpowiedzieli oboje jednocześnie.

Wujek Radu, który miał sto lat z okładem, zaczął grać. A raczej obdzierać akordeon ze skóry, bo dźwięk wydawany przez instrument brzmiał jak okrzyk cierpienia. Mariana i Vasul nie wytrzymali, zakryli usta dłońmi i pękali ze śmiechu. Matka Mariany rzuciła jej oburzone spojrzenie. Ale wuj Radu nie przerwał. Jakiś inny mężczyzna sięgnął po skrzypce, a jedna z kobiet postanowiła śpiewać. Karczmarz chodził między stołami i klaskał. Dzieciaki jednali nie wykazały większego entuzjazmu, a kiedy pieśń dobiegła końca i rozbrzmiała kolejna, straciły zainteresowanie i znów zajęły się picciem, rzucaniem monetami i dyskusjami na temat muzyki alternatywnej i filmów hinduskich.

- Później mi się za to oberwie - pisnęła Mariana.

- Kiedy babcia zobaczyła moje ciuchy, cmoknęła tylko i wyszła - powiedziała jedna z dziewcząt z końca stołu.

Siedzący obok niej chłopak zgasił niedopałek.

- Czasem rodzice patrzają na mnie tak, jakby mnie nie poznawali. Z lekkim obrzydzeniem, a trochę z przerażeniem.

Mariana wciąła się mu w słowo.

- Każde pokolenie boi się następnego. Jego muzyki, ciuchów, aspiracji. Młodości. Jakby wiedzieli, że my zrobimy to, czego oni już nie mogą.

- Czasem moje ciotki mówią po kreolsku, żebyśmy ich nie rozumieli. Chyba specjalnie chcą nas wkurzyć - wyznała Isabel. - To doprowadza mnie do szału.

Vasul wybuchał śmiechem.

- Do szału - przedrzeźniał ją, a ona uśmiechnęła się do niego uroczo.

John splótł z nią palce i pocałował ją w rękę, jakby zamierzał podkreślić, że Isabel to jego własność.

- Przyjechałam do domu ledwie kilka godzin temu, a rodzice od razu swoje: kiedy się ustatkuję i urodzę im wnuki - poskarżyła się dziewczyna imieniem Dovka. - Skończyłam dopiero dwadzieścia jeden lat! Jestem didżejką w knajpie w Bukareszcie! -Zwróciła się do Johna: - Też się denerwujesz, jak tak robią?

- Moi starzy mają to gdzieś, bylebym tylko dostawał dobre stopnie i unikał problemów z policją. Dają mi kasę, żebym się zmył i nie przeszkadzał im w partyjkach golfa i zajęciach z pilatesu - odparł John z gorzkim śmiechem.

Zrobiło mi się żal chłopaka. Wyglądało na to, że jego rodzice wynajęli cały sztab ludzi, żeby się zajęli ich czwórka dzieci.

- A ty, Poe? ~ zapytała Mariana. Wzruszyłem ramionami.

- Moi są w porządku. Czasem mnie złością, ale mają dobre serce. Nie sądzę, żeby się mnie bali. Raczej przeraża ich bałagan w moim pokoju - zażartowałem. - Mama pochodzi z Wisconsin. Zabawnie mówi i uwielbia Green Bay Packersów. Tata jest profesorem, zdecydowanie za dużo gra w *Tetris*, kiedy powinien sprawdzać prace, i zbiera stare płyty Staxa. Babcia ciągle żyje wspomnieniami. Jak byłem mały, opowiadała mi o życiu w obozach dla internowanych podczas II wojny światowej. A kiedy opowieść za bardzo ją męczyła, uciniała rozmowę słowami: „Strach prowadzi do głupoty”. Uczyła mnie też japońskiej kaligrafii, gładko prowadząc mój pędzelek po kartce. A później szliśmy do McDonalda. Uwielbiała frytki.

Dovka oparła głowę na dłoni. Wzrok jej się zaszklili.

- Mimo wszystko tradycje są fajne. Dają poczucie przynależności, przypominają, skąd jesteśmy.

- Albo hamują rozwój. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Chyba po prostu chciałem zająć przeciwne stanowisko.

- Właśnie - wymamrotał Baz. Siedział z przymkniętymi oczami. - W zeszłym roku chodziłem z Chloe. Moich rodziców aż zatkało. Są liberalni, ale mimo to mieli problem, że Chloe nie jest żydówką. Ojciec zaczął się dopytywać, czy chcę iść w piątek do synagogi. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Powiedziałem mu, że w piątki przypada inne święto: *Doctor Who*. W końcu to nie moja wina, że nie kupili jeszcze nagrywarki.

Mariana uniosła kciuk.

- Nagrywarka!

- Nagrywarka - przytaknął Vasul.

Wszyscy stuknęli się kieliszkami i zawołali: „Nagrywarka!”, aż starsi zaczęli nas uciszać.

- A jednak - powiedział Vasul, kiedy się uspokoiiliśmy. - Czasem sobie myślę, że może to nie taki zły pomysł, żeby tu wrócić. Cisza. Spokój. Żadnych chorób wenerycznych, przetwarzanego jedzenia, zanieczyszczeń. - Zamilkł. - Żadnych bomb.

Mariana położyła mu rękę na ramieniu.

- przeżył zamach terrorystyczny w Londynie. Na Russel Square. Był świadkiem tego, co się stało - wyjaśniła.

- Mogłem jechać tym autobusem - wyszeptał Vasul. - Czasem odnoszę wrażenie, że świat to piekło. Że nigdzie już nie jest bezpiecznie. Tylko w Necuratulu.

Wznieśliśmy kieliszki w pełnym szacunku toaście.

- Necuratul.

Mariana powiedziała coś do Vasula w ich języku.

- Tak czy inaczej - odezwała się z westchnieniem -wszystko to kwestia dyskusyjna. Tutejsi ludzie: nasi rodzice, dziadkowie i pradziadkowie, starzeją się. Kiedy umrą, miasteczko przestanie istnieć. Cała nasza kultura pójdzie w zapomnienie. Zwłaszcza jeśli ich przesiedlą i wybudują tu elektrownię. Widziałam już takie rzeczy. Diaspory.

- To smutne - powiedziała cicho Isabel i wiem, że myślała wtedy o swojej rodzinie wygnanej z Haiti i przesiedlonej na amerykańskie przedmieścia, gdzie nigdy nie doczekali się niczego więcej poza grzecznymi uśmiechami swoich białych sąsiadów.

- Cholera - mruknęła Dovka. - Musimy to jakoś przeżyć. Stawiać na nowe.

Mariana przewróciła oczami.

- Masz rację. To się staje nie do zniesienia. Chcę jeszcze wina. - Nalała wszystkim po kolejce i po raz trzeci wzniosła kieliszek.

- Za przyszłość.

- Za przyszłość - powtórzyliśmy. Byliśmy na najlepszej drodze do całkowitego nawalenia się. Starsi mieszkańcy przyglądali się nam niespokojnie, jakby się bali, że zaraz wybuchniemy i pogrzebiemy ich razem ze sobą. Znów zabrali się ostrożnie do śpiewu i gry na instrumentach. Ale my - młodszy i bardziej hałaśliwi - wkrótce całkiem zagłuszyliśmy ich tęskną ludową pieśń.

Następnego dnia lało jak z cebra. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego oberwania chmury.

Dobrze, że Necuratul znajduje się na wzgórzu, bo inaczej ulewa na pewno by nas zalała.

Mariana, Vasul, Dovka i pozostali wyjechali przed świtem po prowiant na festiwal.

Wypełniali swój obowiązek, bez względu na kaca, Ale przy takim deszczu pewnie będą mieli problem z powrotem.

- Most - rzucił karczmarz łamaną angielszczyzną. Zagwizdał i pokazał coś rękami: „zniknął”.

Pod nieobecność młodych mieszkańcy nie traktowali nas przesadnie miło. Tak naprawdę odnosiłem wrażenie, że chcieli, abyśmy zniknęli jak most. Mama Mariany prowadziła piekarnię. Wpadłem tam po chleb. Pokazałem na migi, o co mi chodzi, uśmiechnąłem się i położyłem na ladę pieniądze, żeby kobieta, sama wzięła, ile trzeba. Kiedy odliczała monety, zacząłem się rozglądać po przytulnym wnętrzu. Przy masywnym stole pod oknem siedziało dwóch zwalistych facetów i piło z parujących kubków ciemnowy płyn. Gapili się na mnie bez żenady. Jeden z nich powiedział coś do drugiego i obydwaj wybuchnęli śmiechem.

- Zupełnie jak na stołówce w szkole - mruknałem, czując, że się czerwienię.

Patrzyłem na półki pełne świeżego pieczywa, otylkowane ściany, ozdobione czosnkiem i wisiorami chroniącymi przed złym urokiem. Przez łukowate drzwi widziałem piec. Nagle wydawało mi się, że dostrzegłem coś czerwonego. Zamrugałem, ale wtedy mama Mariany zatrzasnęła drzwi. Uśmiechnęła się do mnie z przymusem i wskazała wzrokiem resztę.

Wymamrotałem podziękowania i wyszedłem z chlebem ze sklepu, zastanawiając się, czy rzeczywiście dojrzałem zakazany kolor.

Biegłem w ulewie z powrotem do karczmy, ale nagle znów zobaczyłem w lesie dziewczynkę.

Tym razem stała z wyciągniętymi rękami. Błada, wokół oczu ciemne obwódki; długa sukienka cała ubłocona, jakby dziecko pośliznęło się, zbiegając ze wzgórza.

- Cześć? - zawołałem. - Wszystko w porządku? Nie odpowiedziała, więc podszedłem bliżej.

Znalazłem się tuż przy brzegu kamiennego obmurowania.

- Potrzebujesz pomocy? - Mówiłem powoli. Jak kretyń sądziłem, że mimo bariery językowej dzięki temu lepiej mnie zrozumie.

Spojrzała na bochenek.

- Chcesz... chleba? Jesteś głodna?

Otworzyła usta, jakby zamierzała krzyknąć, a drzewa zatrzęsły się tysiącem szeptów. Włosy stanęły mi dęba. Ktoś złapał mnie za ramię. Ta starsza kobieta, która wpuściła nas przez bramę. Na jej twarzy malowała się wściekłość, a z ust wypływał potok słów, pełen gardłowych dźwięków. Aż zakręciło mi się w głowie.

- Nic nie rozumiem! - próbowałem przekrzyczeć ulewę.

- Diabeł - powiedziała, używając drugiego z dwóch słów, które znała po angielsku. Wzrokiem wskazała las. Nikogo już tam nie było. Ale przysięgłbym, że wcześniej widziałem dziewczynkę.

Rozległo się głośne bicie kościelnego dzwonu. W ciągu kilku sekund wielu mieszkańców miasteczka, w tym karczmarz, mama Mariany i dwóch mężczyzn z piekarni, pospieszyło na wzgórze do kościoła. Przechodząc, obrzucali mnie nieufnym spojrzeniem. Nie towarzyszyły im żadne dzieci.

- Dokąd ona poszła? - zapytałem kobietę. - Ta dziewczynka. Zauważyła ją pani?

- Diabeł - powtórzyła i ruszyła za innymi do kościoła.

Otworzyła drzwi, a ja znów kątem oka zobaczyłem coś czerwonego. Czerwona szata, podpowiedział mi umysł. Ale wszystko działo się tak szybko, że już niczego nie byłem pewien. Pragnąłem tylko, żeby Mariana, Vasul i reszta młodzieży wreszcie wrócili. Starsi budzili we mnie przerażenie.

Dotarłem pod dach przemoczony do suchej nitki. Chleb nie nadawał się do jedzenia.

Towarzystwo porozkładało się na łózkach i gapiło pustym wzrokiem przed siebie. Nie mieliśmy zasięgu w komórkach, a w odległości wielu kilometrów nie dało się uświadczyc żadnej kafejki internetowej. No pięknie. Cały dzień spędzimy w pokoju bez najmniejszej nawet rozrywki w postaci filmików na YouTube. Zanudzimy się na śmierć.

- Odczuwam objawy głodu internetowego - powiedział John. Leżał rozwalony na łóżku i machał sobie przed nosem wisiorkiem chroniącym przed złym okiem, który kupił na stacji kolejowej. - Serio, jeśli nie pogadam z kimkolwiek na komunikatorze, to chyba zwariuję.

Isabel wyjęła telefon i zaczęła udawać, że wysyła mu esemesa.

- J, gdzie się do cholery podziewasz? - zapiszczała mechanicznym głosem.

- W piekle - odpowiedział, przebierając palcami w powietrzu. - A ty?

- Też. Chcę frytek. Bez czosnku. John roześmiał się, a potem zamilkł.

- Naprawdę, boki zrywać.

Opowiedziałem im o swoim dziwnym spotkaniu z dziewczynką w lesie i o tym, że zobaczyłem ją po raz drugi. A starsza kobieta, strażniczka przy bramie, nazwała las „diabłem”.

- Chyba powinniśmy zrobić mały rekonesans w tym lesie - zasugerował John.

Pozostali natychmiast go poparli.

- Ej, a jeśli tam są pułapki na niedźwiedzie, jadowite węże, jelenie ludojady? Albo coś jeszcze gorszego? A jeśli natkniemy się na koncert Jonas Brothers? - Wzdrygnąłem się dla wywołania lepszego efektu.

- Albo na Belzebuba - dodał Baz. - Pana ciemności, który akurat urządził sobie zakrapianą orgietkę.

- Lepiej zostańmy - powiedziałem.

Isabel westchnęła, znów wzięła komórkę i zaczęła „pisać” do Johna.

- O Boże, J! Jak tu nudno. A Poe to palant. - Zerknęła na mnie.

John poruszył palcami.

- Racja.

Miałem dość. Byłem tak samo udupiony w naszej XIV-wiecznej celi jak reszta.

- No dobra. Jutro idziemy do lasu.

Cała trójka zarzuciła mi ręce na szyję i zwałiliśmy się na łóżko, skandując:

- Re-ko-ne-sans! Re-ko-ne-sans!

Rozległ się głośny trzask; przestraszyłem się, że rozwaliliśmy obskurne legowisko.

- Cholera. - John trzymał w rękach połamaną wisiorzek chroniący przed złym urokiem. -

Zostałem naznaczony. -I wybuchnął śmiechem.

Następnego ranka, kiedy deszcz zelżał do lekkiego kapuśniaczku, wzięliśmy latarki i trochę świeżego chleba, na wypadek gdybyśmy zgłodnieli.

- Myślicie, że możemy brać chleb? - zapytała Isabel. - Podobno nie wolno.

- Nie idzie się na wycieczkę bez jedzenia. Nie znasz losów Donner Party*? - zażartował Baz.

- Mimo wszystko..., - Isabel pokręciła głową.

- Naprawdę wierzysz w te bzdury? - John cmoknął ją w policzek. - Zabobony.

- Racja. - Isabel się rozchmurzyła. Ruszyliśmy do lasu. Na jednej z wąskich uliczek między domami gromadka dzieciaków grała w jakąś grę. Pięcioro stało na środku, a pozostałe ustawiły się wokół nich. Maluchy w zewnętrznym kręgu trzymały się za ręce i śpiewając, chodziły w kółko. Na nasz widok zatrzymały się i zaczęły gapić.

- Cześć. - Isabel pomachała do nich.

Kroczyły za nami. Gdy się odwróciliśmy, chowały się gdzie popadło. Dobiegł nas chichot. Śledzenie przybyszów pewnie było najfajniejszą zabawą, jaką miały od dłuższego czasu. Ale w ten sposób nasze wyjście do lasu stawało się bardziej ryzykowne.

- Idziemy tylko na spacer - wyjaśniłem im nerwowo. - No dobra. Zmykajcie. Bawcie się dobrze.

- Są ciągle za nami - szepnął Baz.

- Zatrzymajcie się i róbcie coś nudnego. Stanęliśmy w miejscu i zaczęliśmy gapić się na kościół. Isabel zrobiła kilka zdjęć. Rozmawialiśmy o architekturze, wygadując totalne bzdury. Kilka minut później dzieciaki przestały się nami interesować zniknęły, żeby pobawić się w coś innego.

- Dobra, w drogę - powiedział John. Ruszyliśmy do kościoła i przekradliśmy się wzdłuż jednej ze ścian. Przez witrażowe okna nic nie było widać, ale ze środka dochodziły nas odgłosy - ni to śpiewy, ni to modlitwa. Jakies monotonne mamrotanie. Może jednak modlitwa? Trudno stwierdzić. Isabel kiwnęła na mnie, żebym się pospieszył, więc podbiegłem.

John jednym susem przeskoczył obmurowanie i obwódkę z soli. Był już w lesie.

- To mały krok dla człowieka, ale ogromny skok dla ludzkości.

- Tędy. - Baz poszedł z Isabel za Johnem.

Kiedy już się przymierzałem, żeby przejść, znów rozległy się szepty na wietrze.

- Słyszycie? - spytałem.

- Co? - zapytał Baz.

Prawie rozróżniałem poszczególne słowa. Jedno z nich brzmiało chyba jak „pomścić”.

- Nic - odparłem. - Chodźmy.

Baz zaczął dla draki rzucać za siebie okruszki chleba, jak Jaś i Małgosia.

- Żebyśmy znaleźli drogę powrotną. O ile w ogóle wrócimy. Hahahahaha!

- Zamknij się - zgasiła go Isabel.

Las był zdumiewający: bujna zieleń, a wokół pełno niesamowitych grzybów w ciemne kropki. Dziwne tylko, że nigdzie nie widzieliśmy zwierząt. Żadnych jeleni, ptaków. Żadnych żywych stworzeń oprócz nas.

John i Isabel znów wdali się w kłótnię, którą rozpoczęli kilka tygodni wcześniej. Miałem wrażenie, że niespecjalnie im już zależy na walce o własne racje, ale żadne nie chciało się do tego przyznać.

- Ja tylko twierdzę, że wszyscy obywatele Stanów Zjednoczonych powinni mówić po angielsku. Gdybym się przeprowadził do Francji, nauczyłbym się francuskiego, prawda?

- Nieprawda - odparła ze śmiechem Isabel. W jej tonie pobrzmiwała nuta wyższości. - Zatrudniłbyś tłumacza, John.

- Tak sądzisz?

- Zrobiłbyś to bez wahania.

* Grupa amerykańskich pionierów, która w połowie XIX w. wyruszyła do Kalifornii. Na skutek tragicznych okoliczności do celu dotarła tylko część podróżników (przyp. red.).

- Wiesz co, Isabel, nie moja wina, że nie jestem biedakiem - odparował John, żeby jej trochę dopiec. - Mam wrażenie, że powinienem przepraszać za to, że mam kasę. No, chyba że akurat jej potrzebujecie. Bez urazy, ale bez mojej pomocy nie byłoby was tutaj. Isabel wycelowała w niego palcem.

- No i proszę. Raz mówisz: „Och, nie wińcie mnie; nie jestem zwolennikiem elitaryzmu”, a zaraz potem: „Nie zapominajcie, że to ja mam forszę, więc ja rządę!” - Isabel dyszała ciężko.

- Boże! Ależ ty... odwracasz kota ogonem.

- Nie! Wypowiadam tylko na głos to, co naprawdę czujesz! Czasem wydaje mi się, że chodzisz ze mną wyłącznie po to, żeby potem się pochwalić, że miałaś czarną dziewczynę! Johnowi zrobiło się przykro.

- Odwołaj to.

- A niby czemu?

- Słuchajcie, dajcie sobie na wstrzymanie, co? - powiedziałem. Zaczęła podnosić się mgła. Zrobiło się szaro i traciłem orientację w terenie.

Isabel nadrabiała miną, ale zbyt dobrze ją znałem.

- Przestań ich bronić, Poe. Sami z siebie nigdy by nas nie uznali za swoich. Choć chciałbyś wierzyć, że byłoby inaczej.

- Hej. - Baz wyciągnął przed siebie ręce. - A ja to co, powietrze? Że niby mojego ludu nie ciemiono i nie prześladowano? Nas też wybijano w pień.

- Uprzedzenia to nie to samo co rasizm - stwierdziła Isabel.

- Tak? Sześć milionów zabitych mogłoby się z tobą nie zgodzić.

- Nie jestem taki zły - powiedział cicho John. Wśród drzew znów rozległy się dziwne szepty, aż rozboleły mnie uszy.

- Słuchajcie...

Z prawej dobiegi mnie jakiś odgłos. Łamanej gałęzi. Ktoś wyrzał zza drzewa. Dziewczynka, którą widziałem po drodze. Na oko - siedem czy osiem lat. Miała mokre włosy, a sukienkę i bluzkę całą w szlamie i błocie, jakby pływała w mulistym jeziorze. Zawołała nas w obcym języku.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie znamy... Otworzyła dłoń i pokazała zebrane okruszki chleba.

- O cholera... - Obejrzałem się szybko za siebie. Okruszki zniknęły. Najwyraźniej od początku szła za nami. Już nie wiedziałem, gdzie jestem i jak wrócić. W tym samym momencie dziewczynka podkasła spódnicę i pobięła w las. Bez namysłu puściłem się za nią. - Gońcie ją! - krzyknąłem.

Dawała nura w gąszcz. Mnie nisko zwisające gałęzie smagały po twarzy. Mała z łatwością omijała każdą przeszkodę. Znała drogę i miała przewagę, mimo to udało nam się nie stracić jej z oczu. W głębi ducha czułem, że prowadzi nas w głąb lasu. Dobiegliśmy do miejsca, gdzie mgła była jeszcze gęstsza. Drzewa, obumarłe i zszarzałe, wyglądały tak, jakby strawił je pożar. Pod stopami nie mieliśmy już poszycia z liści i roślin. Stąpaliśmy po kamienistej i spękanej ziemi.

- Nie zgubcie jej! - wrzasnąłem do kumpli.

- Straszna mgła! - odkrzyknął Baz. - W takiej zupie nie znalazłbym własnego tyłka.

- Zazwyczaj nie potrafisz go znaleźć - wypaliła Isabel. Biegła ramię w ramię ze mną.

Mgła rozrzedziła się trochę. Dziewczynka stała przy dużym, głębokim jeziorze otoczonym przez kikuty drzew. Dziwne, wszędzie indziej las rósł bujny i kolorowy. Ale to miejsce pozostawało ogołocone. Bez życia. Było też zimniej - bardziej jak w październiku niż w sierpniu. Trzy *metry od* nas, tuż pod powierzchnią wody widniały zaokrąglone, wygładzone czubki kamieni.

Dziewczynka spojrzała na jezioro i ruszyła w kierunku jaskini. Zagwizdała, a po chwili z jamy wyszło więcej dzieci. Policzyłem je - pięcioro, sześcioro, dziesięcioro. Błade,

zabiedzone. Wszystkie miary na sobie przemoczone wiejskie ubrania, pokryte glonami i brudem. Z gromadki wystąpił szesnastoletni chłopak. Nie wiedziałem: uciekać czy stać. Przecież miejscowi zabraniali wchodzić do lasu. A jeśli te dzieciaki były dzikusami? Miały mordercze zapędy? Instynktownie zwarliśmy szeregi i zacisnęliśmy pięści, gotowi podjąć walkę.

- Cześć - powiedziałem, starając się mówić spokojnie, choć prawie się trząsnęm ze strachu. - Tylko spacerujemy. Nie chcemy was skrzywdzić. - Do pozostałej trójki szepnąłem: -

Wycofujcie się powoli.

- Nie możemy - pisnęła Isabel. - Zobacz.

Droga odwrotu została odcięta przez kolejną grupkę dziesięciorga upiornych dzieciaków

- Chcemy tylko wrócić do miasteczka - tłumaczyłem.

John wyjął portfel.

- Dam wam pieniądze.

- Zaniknij się, John - syknął Baz.

Dzieciaki zbliżyły się i zamknęły nas w ciasnym kręgu. Pachniały ziemią i wilgocią, jakby stanowiły część lasu. Zaczęły pożerać okruszki chleba. Dziewczynka, za którą tu przybiegliśmy, podała mi butelkę z ciemnym płynem.

- *A bea* - powiedziała. Słyszałem już to słowo w karczmie. Znaczyło: „pij”. - *Vin*. - To też znałem: „wino”.

- Chłopie, nie rusz tego gówna. Nie wiadomo, co to jest - ostrzegł mnie Baz.

Pokręciłem głową, a trójka nastolatków złapała Baza i pociągnęła do jeziora. Zanim zdążyliśmy zareagować, wepchnęli mu głowę pod wodę. Baz zaczął walić na oślep długimi rękami, próbując się czegoś złapać, ale otoczyło go jeszcze więcej dzieci, a tłum zawsze ma przewagę nad jedną osobą - nawet jeśli to prawie dwumetrowy dryblas z siłą perkusisty death-metalowego, dokładnie jak Baz. Zerwaliśmy się na pomoc przyjacielowi, ale dzieci przytrzymały nas w miejscu.

- Dobra! *A bea vin!* - krzyknąłem i sięgnąłem po butelkę.

Puściły Baza.

- Cholera! - wykrztusił pomiędzy gwałtownymi napadami kaszlu.

Wiedziałem, że wycieczka do lasu to zły pomysł. Babcia zawsze mi powtarzała, żeby słuchać instynktu, lego ranka, kiedy przyszli wywieźć ich całą rodzinę z domu w Kalifornii, obudziła się o czwartej nad ranem z przeświadczeniem, że musi uciekać. Zamiast tego postarała się jednak uspokoić i zaczęła układać lalki wokół zastawy do herbaty, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

„Iak właśnie postępujemy” - powiedziała mi, kiedy czekaliśmy na autobus. „Próbujemy stłumić nasz wewnętrzny głos prawdy, bo niczego nie boimy się tak jak prawdy”.

Dziewczynka przytknęła mi do ust butelkę.

- *A bea*.

Trzęsła mi się ręka, kiedy pociągnąłem łyk i przełknąłem. Zakrztusiłem się i poczułem narastającą panikę.

- Poe! - Isabel chwyciła mnie za rękę. - Wszystko w porządku?

- Smakuje jak szlam - wycharczałem. Ale nic złego się nie stało. W dół gardła nie spływała mi raczej żadna trucizna. Serce waliło mi jednak jak oszalałe.

Każde z nas zostało zmuszone, żeby napić się z butelki. Wypiliśmy po trzy kolejki, a potem kazano nam usiąść pod zmurszałym pnieniem obumarłego drzewa.

- A teraz co? - spytał Baz. Po twarzy wciąż ciekła mu woda.

Dzieci nie odstępowały nas na krok. Czekały. Nie wiedziałem na co, ale bałem się tego dowiedzieć. Dziesięć minut później poczułem pod skórą dziwne mrowienie, a las zaczął jakby oddychać. Gdy w uszy zawiał mi wiatr, przysiągłbym, że doszło mnie słowo: „zemsta”.

- Izzie? - wyszeptąłem, ale nie usłyszałem odpowiedzi. Zobaczyłem, że na pobliskim kamieniu jedno z dzieci wrzuca do butelki grzyba z czarnymi kropkami.

- Co nam podaliście? - wymamrotałem. - Co tam wrzuciliście?

- Coś, co pomoże wam widzieć - odparła dziewczynka.

Zrozumiałem ją bez trudu.

- Ale ja nie mam kłopotów ze wzrokiem. - Nagle kąt mojego widzenia wygiął się do środka i zaczął

odslaniać dziwne rzeczy. Przechodziłem przez kolejne bramy szaleństwa. Każda wydawała się końcem jakiegoś snu, tyle że „budziłem się” i stwierdzałem, że znajduję się w następnym. Idę korytarzem sunącego pociągu. Po lewej i po prawej przedziały są pełne umarłych: trupie czaszki, puste oczodoły, spalone, posiniaczone, zmalretowane ciała. Patrzą, jakby czegoś ode mnie oczekiwali. Z końca przejścia woła mnie pani Smith.

- To dopiero początek twojej podróży, Poe Yamamoto!

Stoję w tłumie w kościele. Scena przypomina mi obraz wymalowany na suficie. Kapłan w czerwonej szacie z kapturem czyta z ogromnej księgi. Na środku stoją dzieci. Nie wyglądają na przerażone. Ksiądz odczytuje kolejne fragmenty, a jedna z kobiet obcina każdemu dziecku pasmo włosów, wplata je w warkocze spływające z rogów kozła i przywiązuje sznurkiem.

Teraz sam jestem jednym z dzieci. Zabrali nas nad jezioro. Czuję przenikliwie zimno, mam ochotę wrócić do domu i zjeść jagnięcinę. Kaza nam jednak wejść do jeziora. Do ciemnej i lodowatej wody. Nie chcemy się zanurzać, ale nas zmuszają. Jesteśmy ze sobą związani. Jeśli jedno się szamocze, wszyscy zaczynamy się szamotać, a lina zaciska się coraz mocniej wokół nadgarstków. Dzieci błagają. Kapłan unosi wysoko głowę kozła i wykrzykuje:

- Ześlij obfite zbiory! Zamknij nasze granice przed wrogami! Przyjmij ofiarę na znak ufności, jaką pokładamy w tobie, o Czarny Panie! - Mgła zasnuwa jezioro i wciska mi się pod stopy; dno zapada się pode mną. Szybko wciąga mnie otchłań.

Siedzę w karczmie. Na haczyku przy drzwiach wisi czerwona szata. Nożyczki tną włosy.

Włosy spadają kaskadami do miski. Starsi mieszkańcy stoją nad nią i patrzą.

- Diabeł - mówi do mnie strażniczka przy bramie. - Diabeł.

Zacząłem się otrząsać z narkotycznych wizji.

- Isabel? - zawołałem. Nikogo nie mogłem dostrzec, więc wstałem z trudem i krzyknąłem: -

Baz! John! - Ani żywej duszy. Mgła tańczyła nad wodą. Kamienie jakby się chwiały.

Poruszały. Unosiły. Bo to nie były kamienie, tylko głowy; wypływały na powierzchnię jeziora, w którym od setek lat zatapiano dzieci. Przez puste oczodoły wpełzały węże. Do policzków kleił się mech. Wargi zgniły i odstąpiły poplamione kości i szyjki spróchniałych zębów.

- Znów planują złożyć ofiarę - szepnęły. - Poświęć życie, żeby ocalić Necuratul. Już się zaczęło. Jutro nikt się nie uratuje. Pomścij nas. - Ich słowa wirowały wokół mnie jak suche liście na wietrze. - Pomścij nas.

Zjawiła się znajoma dziewczynka. Jej skóra wyglądała jak spikselowana. Zerknąłem na małą raz jeszcze i zobaczyłem, że każdy skrawek ciała obsiadły maleńkie ćmy. Odleciały, a skóra pod spodem była biała jak śnieg, cała się wiła. Larwy.

Ocknąłem się z wraskiem. Moi przyjaciele leżeli nieprzytomni na brzegu jeziora. Kamienie już zniknęły; nad wodą unosiła się tylko leciutka mgiełka. Pokręciłem głową, na wypadek gdyby wszystko znów okazało się snem. Ściemniło się, a ja straciłem poczucie czasu. Zniknął nasz bochenek chleba, ale w zamian pojawił się świeży ślad usypany z okruszków.

- Wstawajcie. - Zacząłem poszturchiwać przyjaciół. Usiedli niemrawo i z wysiłkiem otrząsali się z zamroczenia. Opowiedziałem im swój sen. - Wydaje mi się, że starsi mieszkańcy miasteczka planują złożyć nas w ofierze.

- A gdzie się podziały dzieciaki? - Baz się rozejrzał.

- Ulotniły się - odparłem. - Powinniśmy zrobić to samo.

Kierując się okruszkami, wróciliśmy do Necuratulu i stanęliśmy przy ochronnym obmurowaniu. Minęło już trochę czasu, od kiedy wyszliśmy. Zapadł zmierzch. Na uliczkach

kręciło się parę osób - zamiatały, witały się z sąsiadami, zamykały sklepy, zajmowały się tym co zwykle.

- Nie możemy zdradzić, że coś wiemy - szepnąłem. - Po cichu pakujemy manatki, bierzemy latarki i idziemy na dworzec, nawet jeśli mielibyśmy maszerować całą noc.

- A co z mostem? - spytał Baz.

- Nie wiemy, czy mówią nam prawdę, czy nie. Będziemy się martwić, gdy tam dotrzemy.

Isabel wzięła mnie pod ramię, tak jak pierwszego dnia w szkole.

- A Mariana, Vasul i cała reszta? Musimy ich ostrzec.

- Ja spadam - oznajmił John. Spojrzał na Isabel. - Zmywajmy się stąd.

Instykt podpowiadał mi, żeby zachować się jak tchórz i uciekać, ale jeśli nic nie powiemy Marianie i Vasulowi, to tak jakbyśmy dopuścili się morderstwa. - Ostrzeżemy ich, a potem zwiejemy.

Prześliznęliśmy się obok kościoła, a potem wyszliśmy ot tak, jak zwykli turyści, którzy wybrali się na wieczorny spacer. Wszystko wyglądało inaczej. Złowrogo. Latarnie na haczykach. Strachy na wróble w polu. Amulety kołyszające się na wietrze. Gwiazdy na wieczornym niebie. Już nic nie wydawało się normalne.

Starsza kobieta, która wpuściła nas do miasteczka, robiła wieczorny obchód, Kiedy jednak dotarła do muru, upuściła pojemnik z solą i zaczęła krzyczeć i piszczeć. Ochronny krąg zniknął, a w jego miejscu pozostał pasek spalonej ziemi. Nadbiegł Vasul, jeszcze z torbą podróżną na ramieniu. Zaczął uspokajać kobietę, aż doszła do siebie.

- Co się stało? - zapytałem, nie patrząc chłopakowi w oczy.

- Ona uważa, że pieczęć została zerwana, a żądne zemsty duchy umarłych mogą się teraz przedostać do środka. - Pokręcił głową. - Wyjaśniałem, że to przez deszcz i że ta cała sól wypaliła ziemię. Powiedziałem jej, żeby się nie martwiła.

- Jasne, to na pewno dlatego - przytaknął skwapliwie Baz, ale w jego sarkastycznej odpowiedzi dało się wyczuć strach.

- Co się dzieje? - zapytał Vasul.

- A jeśli ona rzeczywiście ma powód do niepokoju? - Tym razem spojrzałem mu prosto w oczy. - Jeśli coś tu czyha?

Vasul uniósł brew.

- Tylko mi nie mówcie, że zaraziliście się miejscowymi przesądami.

- Nie - skłamałem.

- To dobrze. Bo jutrzejsze święto zapowiada się fantastyczne! Gdybyście wiedzieli, co przywieźliśmy z Mariana z miasta. Moi drodzy, będziemy świętować, aż się porzygamy. Wsunąłem dłonie do kieszeni.

- Eee, my chyba jednak nie zostaniemy aż do festiwalu. Musimy wyjechać dzień wcześniej, jeśli chcemy przed powrotem do Stanów zwiedzić Pragę.

Vasul skrzyżował ręce na piersiach i uśmiechnął się znacząco, a ja poczułem się jak największy cykor.

- Zaraz... jechaliście tu piętnaście godzin pociągiem z Monachium, a potem tłukliście się pod górę dwadzieścia pięć kilometrów na wozie specjalnie po to, żeby wziąć udział w festiwalu i móc potem opowiedzieć o tym kumplom. A teraz nie zamierzacie zostać?

Przed oczami stanęły mi martwe dzieciaki wylaniające się z jeziora. "Widok ciała dziewczynki toczzonego przez robaki.

- Vasul - zacząłem z nadzieją, że uda mi się skończyć. - A jeśli ofiary składane Szatanowi... jeśli wszystko ma się zacząć od nowa?

Na niby zrobił poważną minę.

- Jaaasne.

- To prawda! - zawołała Isabel. - Coś się święci. Vasul roześmiał się, ale kiedy zobaczył przerażenie

na naszych twarzach, jego uśmiech przygał. Pojawiła się uraza.

- Wiecie co, byłem świadkiem prawdziwego zła. Widziałem na ulicach ciała zabitych. Zmiażdżoną blachę. Eksplodujące bomby. - Pokręcił głową, jakby chciał odsunąć od siebie nasze sugestie. - Ale oni?

Są starzy, bezbronni, odchodzą w zapomnienie. Robią to co zawsze: wypasają owce, pieką chleb, dbają o rodziny. Nie potrafią nawet sprzeciwić się powstaniu elektrowni w miejscu ich domów. Naprawdę miałem o was lepsze zdanie.

Poczułem się jak palant. Ale co z tym, co wydarzyło się w lesie? Co zobaczyliśmy?

- Stary, musimy mu powiedzieć... - zaczął Baz.

- O, tu jesteście! - Mariana przeszła z uśmiechem przez plac. Wyglądała jakoś inaczej. - Już pieką barana. Ależ tam bosko pachnie. Nie mogę się doczekać, żeby...

- Masz nową fryzurę-wypaliłem nagle.

- Iak. - Zrobiła obrót, żeby się zaprezentować. -Mama mnie obcięła. Bardzo jej na tym zależało. Stwierdziła, że nie do twarzy mi w długich włosach. Ach te matki - westchnęła i przewróciła oczami. -Jak wam się podoba?

W wyobraźni widziałem tylko ten okropny warkocz przyczepiony do łba kozła.

- Twoja matka... obcięła ci włosy - powtórzyłem głucho.

- Cóż... to może nie elegancki salon w Paryżu... zresztą skąd bym wzięła tyle pieniędzy... a ona całkiem nieźle posługuje się nożyczkami, pod warunkiem że siedzisz prosto i się nie wierzisz.

Mieli włosy Mariany.

- Mnie babcia też dziś trochę podstrzygła. - Vasul pogładził się po głowie. - Chcemy dobrze wyglądać podczas święta.

Czyż nie widziałem, jak starsi mieszkańcy pędzą do kościoła? Czyż nie zauważyłem czerwonej szaty?

Do Mariany podbiegł chłopiec o puciołowatych policzkach i szepnął jej coś do ucha.

Pogłaskała malca i odpowiedziała mu pieczołtliwie. Dzieciak zerknął na nas i uśmiechnął się, a potem pobiegł do kolegów.

- Co chciał? - zwróciłem się do Mariany.

- Pytał, czy się z nimi pobawicie. Powiedziałam, że może później - wyjaśniła. - Co się dzieje? Jesteście zdenerwowani.

- Musimy wam coś powiedzieć - usłyszałem swój głos. - Przyjdźcie do naszego pokoju jak najszybciej.

Kilka metrów dalej maluchy wróciły do swojej gry. Dzieci z zewnętrznego kręgu runęły na te stłoczone w środku. Wszystkie się przewróciły i wybuchnęły śmiechem.

Dziesięć minut później Mariana i Vasul zjawili się u nas w pokoju, a Baz szybko zaryglował drzwi. Dziewczyna przyglądała się nam badawczo.

- Co jest grane?

- Byliśmy w lesie - zacząłem. Zrobiła wielkie oczy.

- Gdzie? Poe, nie powinniście... Mogło się wam coś złego przydarzyć, lam są stare, zardzewiałe wnyki, głębokie doły i najprawdopodobniej też wściekłe nietoperze.

- Zapomniałaś o duchach - dodałem. Vasui uniósł ręce.

- Nie zaczynaj od nowa.

- Posłuchajcie, błagam. A jeśli rzeczywiście jest powód, dla którego starsi zabraniają wam chodzić do lasu? Jeśli nie chcą, żeby Necuratul został zniszczony? I zamierzają coś z tym zrobić, na przykład złożyć kolejną ofiarę?

Mariana i Vasul spojrzeli po sobie.

- Co ty wygadujesz? - oburzył się Vasul. Opowiedziałem im wszystko. O zagubionych dzieciach, wizjach, ostrzeżeniach.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale zanim wybraliśmy się do lasu, wróżka przepowiedziała mi, że zostanę wystawiony na próbę. Że to będzie pewien sprawdzian. Baz nerwowo oblizwał wargi.

- Ostrzygli was. Iaki był zawsze wstęp do rytuału, prawda? Obciąć włosy i zapleść je w warkocz, żeby dowieść Szatanowi swojej lojalności.

- Potem zaczynają się inkantacje, a małe dzieci topi się w jeziorze - dokończyła szybko Isabel.

- Zgadza się?

- Mariana, sama mówiłaś w kościele: przsesady mają moc. Dlatego ciężko je wykorzenić. - John krążył po pokoju jak lew w klatce.

- Wydaje mi się, że ludzie postanowili wrócić do starych rytuałów - ciągnąłem. - Naprawdę starych... i złych. Dziś w kościele widziałem kogoś w czerwonej szacie... Vasul pokręcił głową.

- Nikt tutaj nie wkłada nic czerwonego. Już od bardzo dawna. To przynosi pecha, kusi Ucho.

- Widziałem - upierałem się, ale nagle straciłem pewność. Oskarżałem matkę Mariany o coś strasznego. Z jednej strony chciałem mieć rację, żeby nie wyszło na to, że zwariowałem, ale równocześnie pragnąłem się mylić.

- To nie są wizje Poego. Byliśmy tarri całą czwórką. Te dzieci... - Isabel zająknęła się - ostrzegały nas!

Vasul i Mariana przysunęli się do siebie i zaczęli szeptać w swoim języku. Nie umiałem odczytać wyrazu ich twarzy. Byli przerażeni? "Zdenerwowani? Wściekli? W ogóle mi uwierzyli? Uścisnęli się, a potem Mariana odwróciła się do nas. Jej oczy stary się ciemne jak wieczorny mrok, który przenikał do pokoju.

- Jeśli nie kłamiecie, musimy prędko stąd uciekać. I zebrać dzieci...

- Nie po to przetrwałem Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Londynie, żeby skończy- na dnie jeziora - próbował rozładować atmosferę Vasul, ale uśmiechał się jak zjawa.

- Mariano, czy twoja matka obcięła dziś jeszcze komuś włosy? - spytałem.

- Każdemu dziecku - szepnęła.

- Trzeba wszystkich ostrzec - dodał cicho Vasul. Mariana wpatrywała się w niego dłuższą chwilę.

- Nikt ze starszych nie wysiedzi dłużej niż do jedenastej trzydzieści. To nasza szansa. Zgarniemy dzieciaki i około północy zaprowadzimy je do kościoła. Kiedy się upewnimy, że jest bezpiecznie i że w pobliżu nie kręci się nikt z dorosłych, damy wam znak: sygnał lampą z okna. Ale uważajcie, bo zrobimy to szybko. I tylko raz. Jak zobaczycie znak, gazem do kościoła.

- A potem? - wymamrotał John.

Usta Mariany zacisnęły się w cienką Unię.

- Potem spadamy stąd.

Staraliśmy się zachowywać normalnie. Siedzieliśmy przy kolacji w karczmie i odgarnialiśmy chlebem mięso na talerzach. Jeśli starsi coś zauważyli, w żaden sposób nie zareagowali. Później wróciliśmy do pokoju i usiedliśmy przy oknie, które wychodziło na kościół przylegający do ściany złowrogiego lasu. Czekaliśmy. Księżyc wyglądał niesamowicie. Jak czerwona rana na tle ciemnego nieba. Dokładnie coś takiego chcieliśmy sfotografować i zamiesić na naszej stronie internetowej: „Zdumiewający czerwony księżyc nad Necuratulem!" Ale teraz ten widok przyprowadził mnie o dreszcze.

- Która godzina? - spytała Isabel.

- Północ.

- Gdzie ten sygnał? - Baz wyrzwał na miasteczko spowite nocną ciszą.

- Może powinniśmy po prostu stąd iść - zasugerował John. - Znają ryzyko.

- Obiecaliśmy - przypomniałem, choć szczerze mówiąc, chętnie bym wziął nogi za pas.

Pięć po północy, dziesięć... Każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie w kościelnym oknie mrugnęło białe światło, jeden jedyny raz, zgodnie z zapowiedzią Mariany.

- Ruszamy - zawołałem cicho. Przekradliśmy się na dół po schodach, z butami w rękach. Z kuchni wpadał blask dogasającego ognia. Przy stole siedzieli: mama Mariany, karczmarz, starsza kobieta spod bramy i kilka innych osób. Mówili przyciszonymi, ale rozemocjonowanymi głosami, tak jak rodzice, kiedy się kłóca i nie chcą, żeby dzieci usłyszały. Wstrzymaliśmy oddech. Jak mieliśmy przemknąć obok nich niepostrzeżenie? Pokazałem Izzie, żeby szła pierwsza. Dotarła do wyjścia, delikatnie uniosła skobel i powolutku otworzyła drzwi. Za nią na palcach podąży! John, potem Baz. Lekki powiew wiatru zatrzęsął drzwi.

W kuchni rozległo się szuranie krzeseł. Matka Mariany i karczmarz wybiegli na zewnątrz, a ja skuliłem się w cieniu na schodach. Gdy się upewnili, że wszystko w porządku, wrócili do kuchni i do przerwanej rozmowy. Bez względu na temat, dyskusja była gorączkowa.

Wyglądało na to, że matka Mariany przekonuje do czegoś całe towarzystwo. Nie zwlekałem dłużej. Wymknąłem się szybko za przyjaciółmi i popędziliśmy pustymi ulicami do kościoła; nieoświetlone domy przypominały drzemiących strażników, którzy w każdej chwili mogą się obudzić. Kościół górował na wzgórzu.

Wśliznęliśmy się do środka przez uchylone drzwi. Z tyłu paliło się kilka świeczek wotywnych, ale nie dawały dużo światła. Nikogo nie widzieliśmy.

- Mariana? - szepnąłem w ciemności. - Vasul?

Z przodu kościoła rozbrzmiewało ciche pojękiwanie. Poszliśmy w tamtym kierunku.

- Dochodzi zza ikonostasu - stwierdziłem. Tym razem drzwi ustąpiły bez trudu.

- Rany... – jęknął Baz.

Ta część kościoła też była pomalowana. Ale tutaj na ścianach przedstawiono zupełnie inną historię. Morderstwa. Wisielcy. Wyciekły tłum. Nieprzyjaciele ukrzyżowani głowami w dół. Makabryczny łeb kozła - duszę Necuratulu, która podobno została zniszczona - wystawiono w ściennej wnęcie jak świętą relikwię. Pod spodem paliła się świeca. Puste oczy jarzyły się dziwnym płomieniem. Grube warkocze uplecione z dziecięcych włosów opadały na podłogę. Znowu rozległ się jęk. Izzie włączyła latarkę i zatoczyła nią koło. Światło padło na ołtarz. Leżała tam związana Mariana. Miała zakneblowane usta, mimo to próbowała coś powiedzieć. A raczej krzyknąć. Wpatrywała się w punkt tuż za naszymi plecami.

Nie widziałem, skąd spadł cios.

Przed oczami zarysował mi się sufit. Dzieci kulą się ze strachu w jeziorze, ich rodzice szykują kamienie, żeby podtopić ofiary. Czułem się tak, jakby ktoś przeturlał mi głowę z kilometr po chodniku.

- Słyszysz mnie? - Głos Mariany.

W skroniach mi pulsowało, kiedy odwróciłem się w jej stronę. Stała kilka kroków dalej, rozmazana plama czerwieni. Mrugnąłem i wzrok znowu mi się wyostrzył. Mariana miała na sobie czerwoną szatę z kapturem.

- To diabelska sutanna - powiedziała, jakbym o to pytał. - Wkładał ją kapłan, który poświęcał ofiarę składaną Czarnemu Panu. Tradycyjnie kapłanem był mężczyzna, ale my staramy się łączyć postępowanie z tradycją.

Chciałem się podnieść, ale zobaczyłem, że mam związane ręce, a wokół kostek owinięty sznur. Iak jak moi przyjaciele. Wokół nas stali wszyscy młodzi z miasteczka. Nie było nikogo z dorosłych. Zgromadzenie składało się wyłącznie z osób poniżej dwudziestego pierwszego roku życia. Zebrano dzieci i przyprowadzono do kościoła - zaspane i zaciekawione. Myślały, że to jakaś zabawa, choć jeszcze nie znały zasad.

- Co wy wyprawiacie? - wycharczałem.

- Zaprowadzamy porządek. Ratujemy Necuratul, zanim będzie za późno - odparła Mariana.

~ Starsi. Czy to oni kazali wam to zrobić? Zmusili was, żebyście... Wybuchnęli śmiechem.

- Starsi? Zmusili? Błagali nas, żebyśmy tego nie robili! Już pakowali manatki, żeby wyjechać z Necuratulu, zrobić miejsce buldożerom. Pozwoliliby zrównać miasteczko z ziemią.

„Odpuście”, prosili. „Docieńcie to, co macie”. Ale my wiemy, na czym stoi świat. Tylko potężni ludzie mogą liczyć na szacunek i bezpieczeństwo. - Mariana złapała się za ręce z Vasulem i Dovką. - Dlatego chcemy wznowić naszą tradycję. Ale ją zmodernizowaliśmy. Po co mamy poświęcać swoich, skoro możemy złożyć w ofierze obcych?

Dovka ucięła każdemu z nas po małym kosmyku włosów.

- Kiedy wpleciemy te włosy w głowę kozła, wasze dusze zostaną przyobiecane zaświatom.

- To niesprawiedliwe! - zawołała Isabel. - Nikt nas nie pytał o zdanie.

- W życiu nie ma sprawiedliwości - skwitowała Dovka.

John zaczął się strasznie pocić.

- Słuchajcie, moi rodzice są bogaci. Zapłacą za mnie okup.

- Co ty wygadujesz, chłopie? - warknął Baz.

- P-przykro mi, stary - wyjąkał.

- Ale... - odezwał się znów Baz, jednak nie dokończył.

Spojrzenie Mariany wędrowało od Johna do nas, i z powrotem.

- Porzuciłbyś swoich przyjaciół i kuzyna na pastwę losu?

John nie patrzył na nas.

- Nie miej mi za złe, Isabel.

- John... - zaczęła Iz i urwała.

- Upadek cywilizacji, rozpad wspólnoty. Brak lojalności - odezwał się Vasul. - Oto dzisiejszy świat.

- W klubie, w którym pracuję, jest mnóstwo znudzonych dzieciaków z bogatych domów.

Mają wszystko. Wciąż gonią za czymś nowym, o czym będą mogli pogadać przy piwie. Tak jak on. - Dovka uśmiechnęła się szyderczo.

- Nie chciałem was urazić - wykrztusił John. Mariana zastanawiała się chwilę.

- Świetnie. Możesz się stać częścią naszej nowej tradycji.

- Jak sobie życzycie. Zrobię wszystko.

- Miło to słyszeć. - Skinęła głową, a Dovka wyjęła z kieszeni nóż.

Poruszyła się tak szybko, że ledwie zarejestrowałem, co się stało. Miałem nadzieję, że John też. Isabel wykrzyknęła jego imię, a zaraz potem John leżał na ziemi bez życia. Cała reszta stała zbryzgana krwią.

- O Boże, o Boże... - zawodził Baz. Zamknął oczy i zaczął się modlić po hebrajsku, choć nie widział synagogi od czasu bar micwy.

Ogarnęło nas takie przerażenie, że wierzyliśmy, iż istnieje jakiś bóg, który nas uratuje. Strach wyolbrzymiał wszystko do tego stopnia, że patrzyłeś na śmierć przyjaciela, a jednocześnie słyszałeś chrobotanie myszy w kącie i pogwizdywanie wiatru w kościelnych murach.

Mariana położyła rękę na głowie Johna.

- O Panie, składamy ci w ofierze nie tylko naszą lojalność, ale również tę krew jako dowód wierności. Od tej chwili zawsze będziemy ci składać takie ofiary. Nowy świat wymaga nowych zobowiązań.

Roztrzęsione dzieci zbiły się w gromadkę. Dovka powiedziała coś łagodnym głosem. To je uspokoiło.

Kazała im wpleść nasze włosy w warkocze na głowie kozła. Bez szemrania wykonały polecenie.

- W dowód naszej lojalności - powiedziała w Necuratulu, potem przetłumaczyła i spojrzała na nas.

Mariana otworzyła starą rytualną księgę i zaczęła czytać w języku, który wymagał pełnego skupienia, przenikał do szpiku kości, przyspieszał bicie serca, docierał do wewnętrznych zakamarków, skrywających najgorsze myśli, największe lęki. To było wezwanie,

przywołanie. Wywołanie imienia. Kiedy skończyła, zamknęła księgę i zmusiła nas, żebyśmy wstali. Dzieci uporały się ze swoim makabrycznym zadaniem, a towarzysze Mariany spętali mnie razem z Bazem i Isabel. Związali ręce takie, że aż bolało. Drugą linę zacisnęli nam wokół pasa, a Dovka złapała za jej koniec. Vasul i inni chłopcy ułożyli sobie na ramionach ciało Johna, jak żałobnicy trumnę.

Nagle otworzyły się drzwi kościoła. Starsi mieszkańcy zablokowali wejście łopatami i drągami. Matka Mariany powiedziała coś do niej ostrym głosem.

- Nie ustąpimy, Baba - odparła dziewczyna po angielsku. - To nasza przyszłość. W sto trzydzieści lat po tym, jak miasteczko przestało składać ofiary, wszystko zaczęło się walić. Czas wznowić rytuał. Nasze pokolenie będzie opływać w dostatek.

Karczmarz złapał Marianę za nadgarstek, ale ona z łatwością wykręciła dłoń z ucisku.

- Wujku Sado, nie możecie nas powstrzymać. Powinniście raczej podziękować. Ratujemy necuratuli -oznajmiła stanowczo.

- Przez was wszyscy zostaniemy przekłęci - odpowiedział, co zaskakujące, po angielsku.

Starszyzna natarła na młodzież, ale słabsza i mniej liczna nie zdołała jej powstrzymać.

- Idziemy nad jezioro - zakomenderowała zdecydowanie Mariana.

Cała grupa pchała nas przed sobą przez miasteczko. Starsi podążali za nami z błaganiem. Zostawiliśmy ich po drugiej stronie obmurowania. Mieli zaniepokojone miny jak rodzice posyłający dzieci na szkolny bal, a nie na rytualny mord z zimną krwią.

Dovka ciągnęła nas w głąb lasu. Jeśli zwalnialiśmy, mocniej szarpała za sznur, wtedy wpadaliśmy na siebie nawzajem. Opór nie wchodził w grę. Noc była ciepła i duszna.

Zaciskała swoje macki na płucach, wyciskała pot, kiedy brnęliśmy przez gąszcz. Ktoś zaczął śpiewać. Stonesów. *Sympathy for the Devil*.

Rozległy się pojedyncze chichoty, jakby to były jakieś studenckie figle, jakby grupa wyrostków chciała w durnowaty sposób dowieść paru kolegom swojej wyższości.

Próbowałem sobie wmawiać, że nic się nie stanie. Ale wtedy wracał widok noża na gardle Johna i znów dopadło mnie przerażenie. Śpiew się wzmógł, ale Vasul uciszył grupę. Przez ramię miał przerzucone zwłoki Johna. Szliśmy dalej w milczeniu, lampy oświetlały drogę. Ukazało się jezioro spowite woalem mgły. Dovka upakowała nam kieszenie i koszułe ciężkimi kamieniami i wepchnęła nas do zimnej, czarnej wody.

- Wchodźcie głębiej! - zawołała Mariana, mierząc z pistoletu. Cofaliśmy się, aż w końcu wystawały nam tylko głowy. - Wystarczy. Teraz zaczekamy.

Nigdy już nie będę przesiadywać w bibliotece - wyjąkała przez łyzy Isabel, - Nigdy nie pójdę na imprezę studencką ani nie umówię się z Declanem.

- Faceci o imieniu Decían są beznadziejni - spróbowałem zażartować, ale nie bardzo mi wyszło.

Baz skończył się modlić. W ciągu czterech lat naszej przyjaźni nigdy nie był aż tak cichy, milczący. Vasul i jego kumple złożyli ciało Johna na ziemi.

- Dłaczego stoimy? - zapytał jeden z chłopaków. -Do dzieła.

- Złożyliśmy ofiarę. Najwyższy musi ją przyjąć. -Mariana ucięła wszelką dyskusję.

Z dała dobiegł mnie głos starszych - śpiewali stare pieśni, proste melodie, pełne rozpacz.

Pieśni lamentacyjne. Babcia opowiadała mi, że kiedy jej ojciec zmarł w obozie na dyzenterię, jej matka śpiewała, dopóki nie ochrypła. Jakby tylko to jej zostało.

Noc gęstniała. Drętwieliśmy z zimna; Isabel zaczęła szczerkać zębami. Próbowałem poruszać palcami,

żeby pobudzić krążenie krwi, nie stracić czucia ani nie zasnąć i nie osunąć się pod wodę. Na początku liczyłem po cichu, bo nie chciałem, żeby mój umysł zapadł się w ciemność, ale kiedy doszedłem do dwóch tysięcy osiemdziesięciu trzech, nie mogłem sobie przypomnieć, co jest dalej. To przeraziło mnie tak bardzo, że przestałem liczyć.

Po chwili Dovka znudziła się i zaczęła rozmawiać z kimś o remiksach. Ktoś żuł gumę i częstował nią innych. Jakaś dziewczyna klepnęła się w ramię i strąciła robaka. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie. Typowa lista obowiązków, w tym morderstwo. Zastanawiałem się, co sprawiło, że ludzie nagle znajdowali uzasadnienie dla czynionych przez siebie potworności. Nieważne czy chodziło o rasizm, terroryzm, ludobójstwo, czy topienie ofiar. Piliśmy razem wino, a potem wpełchnęli nas do jeziora z kamieniami w kieszeniach. Poczulem pod wodą uścisk dłoni Isabel; ucieszył mnie jej dotyk. Miałem wrażenie, że tylko to jest pewne w tej chwili.

- P-przepraszam, że ustawiłam ci dzwonek z Celinę Dion w telefonie - wymamrotała.

- To ty zrobiłaś?

- Tak.

- Świnia.

- No. - Stłumiła parsknięcie, które przerodziło się w płacz.

Nagle Mariana wyprostowała się i kiwnęła na pozostałych.

- Zaczyna się.

Mgła zgęstniała; okropny siarczany smród zdławił mi gardło. Powierzchnia jeziora zbulgotała, a woda zrobiła się wyraźnie cieplejsza i nieprzyjemnie parowała jak w saunie. Muł pod naszymi stopami zaczął lekko ustępować. Baz był zanurzony tylko po szyję, ale usta Isabel znalazły się poniżej poziomu wody; mnie też niewiele brakowało. Isabel gwałtownie odchyliła głowę i rozpaczliwie usiłowała utrzymać nos nad powierzchnią. Ja i Baz podpieraliśmy ją jak najmocniej, żeby się nie przewróciła. Ale z rękami związanymi na plecach to nie takie łatwe. Zaczęła panikować i omal nie pociągnęła nas w brunatną otchłań.

- Trzymaj się, Iz! - zawołałem i napałem ramieniem, żeby stała w pionie. - Nie daj jej upaść, Baz.

W odpowiedzi podtrzymał ją z drugiej strony.

Muł znów trochę ustąpił, a woda wokół nas zaczęła wirować. Isabel płakała, wydmuchiwała bańki nosem i wykastywała wodę.

Mariana i cała reszta wyglądali na brzegu jak duchy w otoczeniu wyniszczonych drzew.

- Necuratul, Necuratul, Necuratul - skandowali. Ktoś nadchodził od strony lasu. Usłyszałem trzask.

Odór siarki przybrał na sile. Ledwie mogłem oddychać.

Krzyknąłem, bo coś otarło się o mnie w ciemnej wodzie.

- Co to było? - wykrztusiła Isabel.

Kolejne uderzenie popchnęło nas głębiej. Zachwiałem się, ale Baz szarpnął za linę i utrzymał całą naszą trójkę prosto. W jednej chwili wszystko zaczęło się ruszać. Zerwał się wiatr.

- Zemsta - zaszeptał.

Coś znów we mnie stuknęło. Nagle zobaczyliśmy, że z głębin jeziora wynurzają się głowy, martwe oczy z ciemnymi obwódkami, rozdziawione usta, w których pełzają robaki i małe węże. Minęły nas i popłynęły do brzegu, a mgła znów zgęstniała. Nic nie widziałem. Las rozbrzmiał krzykiem. Wrzaskiem. To nie był angielski, ale nie potrzebowałem tłumacza. To język strachu.

- Ch-chodźcie! - Pociągnąłem za linę.

Nogi prawie nam zamarły. Z trudem stawialiśmy każdy krok. Wygrzebaliśmy się z jeziora i padliśmy na ziemię. Rozdygotani, obciążeni kamieniami, nie mieliśmy siły iść dalej.

Wsunąłem palce do kieszeni Isabel. Zagryzałem zęby, czując palący ból. Lina wrzynała mi się w nadgarstki. Zdołałem wyciągnąć tylko dwa kamienie. Isabel próbowała mi pomóc, ale nie mogła sięgnąć. Z głębi lasu dobiegł nas rozdzierający krzyk. Zacząłem oddychać szybciej.

- Dalej, dalej... - powtarzała Isabel prawie tak, jakby siłą woli chciała posunąć się naprzód.

- Wstawajcie. Do lasu - wyjąkałem tylko, szcękając zębami.

Podnieśliśmy się z trudem i marszoscokiem ruszyliśmy przed siebie. Mgła była ciężka. Dawiała nam osłonę, ale jednocześnie skrywała wszystko inne. Na samą myśl o czającym się lichu zaczynałem skakać szybciej, zmuszając pozostałych do tego samego. W końcu dotarliśmy do jednego ze spiczastych, obumarłych drzew.

- Pochylcie się - szepnąłem. Przeciąłem sznur na rękach o szorstką krawędź gałęzi, potem rozwiązałem przyjaciół.

- O Boże - sapnęła Isabel, robiąc wielkie oczy. Podążyłem za jej spojrzeniem i przez kłębiące się

opary zobaczyłem przerażoną twarz Mariany. Las za jej plecami był pełen bladych, dawno zmarłych dzieci z Necuratulu. Gnijące zjawy szukały sprawiedliwości. Posuwały się powoli do przodu, z ust wypadały im okruszki chleba. Rzuciły się na Vasula i zaczęły go pożerać, aż nic z niego nie zostało. Potem zwróciły się w stronę Dovki. Dziewczyna wrzeszczała i wyrывała się, kiedy wlokły ją do jeziora. Krzyczała dotąd, aż jej usta wypełniły się wodą. Po chwili zniknęła w mrocznych odmętach. Mariana usiłowała uciekać. Zatrzymało ją kilku widmowych chłopców i mocno przytrzymało w miejscu. Dziewczynka o pustym wzroku objęła twarz Mariany obiema rękami.

W miejscu, gdzie ją dotykała, skóra nabierała szarobrazowego koloru. Mariana nawet nie jęknęła, bo zgnilizna szybko objęła całe ciało. Martwa dziewczynka dmuchnęła lekko, a truchło Mariany rozpadło się w stos mokrych liści, które zostały stratowane przez umarłych. We mgle usłyszałem głosy starszych mieszkańców. Na brzegu polany stał karczmarz i przywoływał młodsze dzieci. Pobiegły do niego i kiwnęły na nas, żebyśmy zrobili to samo. Podałem rękę Isabel; ona złapała Baza i zmusiliśmy się do chwiejnego biegu. Przerazenie pomagało nam przewyciężyć ciężar przemoczonych ubrań i odrętwienie nóg. Wokół ciągle rozlegały się krzyki, a my wpatrywaliśmy się w latarnię trzymaną przez karczmarza jak w ostatnią deskę ratunku. Niedługo potem pokazały się światła miasteczka. Znow zerwał się wiatr; poczułem mrowienie na karku. Las jarzył się zielonkawą mgłą; gdy opary się rozrzedziły, zobaczyłem, że gonią nas umarli.

- Dusze - szeptały. - Oddajcie nam dusze.

Miasteczko było już niedaleko. Strażniczka wypowiadała jakieś niezrozumiałe słowa i rozrzucała wszędzie sól. Dzieci biegły przodem, a ona wepchnęła je za bramę. Obejrzałem się, bo usłyszałem krzyk karczmarza. Pośliznął się i upadł, a pustookie zjawy prawie go już dopadły.

- Dusza - wychrypiał. - Spalcie ją.

- Poe! - wrzasnęła Isabel i pociągnęła mnie za sobą.

Wpadliśmy przez bramę. Starsza kobieta zatrzasnęła ją z hukiem i zabezpieczyła solą. Z lasu dobiegł ryk karczmarza. Nie dało się go uratować.

- Cholera! - zaklął wściekle Baz. Z resztą mieszkańców gnaliśmy do kościoła. - O czym on, do diabła, mówił, Poe?

- Ze dusza musi spłonąć.

- Co to znaczy?

- Głowa kozła - wydyszała Isabel. - Dusza Necuratulu.

Rozległo się więcej krzyków. Sól nie zatrzymała umarłych. Zjedli chleb. Byli silni i parli naprzód.

- Czy to się skończy, jeśli ją spalimy? - spytał Baz.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - odparłem.

Isabel pierwsza wbiegła pod górkę do wiekowej świątyni i w rekordowym tempie otworzyła drzwi.

- Szybciej! - wrzasnęła.

Słyszałem tupot umarłaków goniących nas przez miasteczko, wrzaski starszych, którzy bezskutecznie usiłowali z nimi walczyć. Wtargnęliśmy do kościoła z grupką dzieci. Kiku

dorosłych pędziło za nami, ale już ich doganiały szepty ciemności. Jeden z mężczyzn z piekarni zawył, bo umarły obnażył swoje długie, połyskujące zęby i zaczął ogryzać mu mięso z kości.

Na wzgórze pięła się dwójka dzieci. Chcieliśmy z Bazem im pomóc; nie zdążyliśmy. Wtedy pomyślałem, że może jesteśmy na straconej pozycji. Zabarykadowali się w ponurym wnętrzu. My, garstka dzieciaków i matka Mariany przeciwko całej armii umarłych. Zaczęły walić w drzwi; cofnęliśmy się.

- Przestańcie, do cholery! - zawołał Baz. Może to i brzmiałoby śmieszne, gdybyśmy nie byli tak totalnie przerażeni.

Matka Mariany zniknęła za drzwiami ikonostasu, po chwili wyszła z głową kozła. Wcisnęła mi ją w ręce. Wołaliśmy, żeby to spalić. Kobieta usiłowała nam coś powiedzieć, ale nic nie rozumieliśmy. Dzieci jednak zrozumiały. Rozbiegły się w poszukiwaniu świecy. Z ulgą uświadomiłem sobie, że przynajmniej jesteśmy po tej samej stronie barykady. Matka Mariany poszła im pomóc, a ja z Bazem i Isabel zostaliśmy przy ikonostasie. Jedno z dzieci głośno oznajmiło, że znalazło zapaloną świecę. Walenie w drzwi przybrało na sile, rozległ się okropny huk i umarli znaleźli się w środku.

Na przód wysunęła się dziewczynka o pustym wzroku. Mówiła jednocześnie w swoim i w naszym języku.

- Oddajcie nam duszę. Dług musi zostać spłacony. Matka Mariany pokręciła głową, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami.

- Jeśli ją spalicie, czeka nas wieczne potępienie - powiedziała martwa dziewczynka.

Umarłe dzieci otoczyły żywe. Spojrzenie kobiety wędrowało to do nich, to do trzymanej przeze mnie duszy Necuratulu. Znow pokręciła głowę i było jasne, co chce przez to powiedzieć: nic im nie dawajcie. Ale to znaczyło, że porzucimy dzieci na pastwę losu. Już widziałem śmierć dwojga z nich i nie zamierzałem oglądać kolejnej.

- Masz. Jak chcesz, to chodź i weź ją sobie. - Wyciągnąłem przed siebie głowę kozła.

- Poe, nie! Nie oddawaj łąba tym cholernym umarlakom - błagał Baz.

- Nas też to dotyczy. Nasze włosy są wplecione w warkocze - ostrzegła Isabel.

- To będzie nas dotyczyć bez względu na to, co zrobimy - odparłem. - Jeśli mogą zakończyć tragiczną historię, musimy im na to pozwolić.

Dziewczynka ujęła głowę kozła w obie ręce. Pokazała, żebyśmy poszli za nią do ikonostasu, położyła łeb zwierzęcia na ołtarzu i zaczęła coś mamrotać przyciszonym głosem. Twarze umarłych nabierały kolorów, cienie pod ich oczami bladły. Nagle wiele ze zjaw zamieniło się w smużki dymu, z cichym, zadowolonym westchnieniem.

Dziewczynka urwała gwałtownie. Wyglądała na przestraszoną. Cofnęła się, ołtarz w jednej chwili

zajął się ogniem i coś wychynęło z płomieni. Potężny mężczyzna, piękniejszy niż jakakolwiek ze znanych mi osób. Miał długie, czarne włosy, skórę jak alabaster i skrzydła anioła. Ale jego spojrzenie było mroczne niczym wody jeziora, w których omal nie utonęliśmy. Usta rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu; błysnęły ostre zęby. Po chwili ujrzałem głowę bestii z ogromnymi kręconymi rogami.

- Dług został spłacony! - oznajmiła stanowczo pustooka dziewczynka.

- Długu nie da się spłacić - warknął anioł i bestia w jednym.

Głos kreatury sprawiał, że czułem, jakby skórę obsiadło mi miliony much. Patrzył na nas z wysoka. Na złote ściany buchnęły płomienie. Z malunków ściekała farba, z obrazów doszły mi krzyki. Umarli zaczęli topić się jak wosk, zbierać w kałuże na podłodze i rozpląwać strumyczkami po całym kościele. Dziewczynka krzyknęła. Miałem dość.

- W nogi - wychrypiałem. - Szybko! Rzuciliśmy się do drzwi i wpadliśmy w objęcia

ciemnego gryzącego dymu. Każdy zakamarek Necuratulu płonął. Przed nami nagle znalazła się dziewczynka o pustym spojrzeniu. Stałem jak wryty. Ona kiwnęła jednak, żebyśmy biegli za nią do lasu. Zza naszych pleców dobiegał ryk bestii. Ogień był tuż za nami i szybko się rozprzestrzeniał. Bałem się, że cały las stanie w płomieniach i znajdziemy się w pułapce. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, skąd było widać most. Był częściowo pod wodą, ale dało się przejść. Dziewczynka wskazała na niego palcem.

- Ja nie mogę dalej iść - wyjaśniła.

Oniemiały pokiwałem tylko głową, a Isabel i Baz pomagali w tym czasie mamie Mariany i dzieciom zejść ze wzgórza.

- Poe! - zawołała Isabel z mostu. Dziewczynka o pustym spojrzeniu podeszła bliżej.

Serce zaczęło mi walić w piersiach. W świetle płomieni wydawała się bardzo krucha.

Nachyliła się i pocałowała mnie w usta. Coś przewróciło mi się w żołądku jak wtedy, gdy piłem zatrute wino.

- Ty widzisz to, co żyje w ciemnościach - wyszeptała. - Nie zapominaj.

Jakieś drzewo zajęło się ogniem. Na rękaw posypały mi się iskry i musiałem je zagasić, Isabel i Baz pokrzykiwali na mnie.

- Idź - powiedziała.

Małe ciało zaczęło się chwiać. Drzeć. Jakby coś próbowało się z niego wydostać. Nagle skóra eksplodowała, a w powietrze wzbilo się tysiące maleńkich ciem; ich skrzydełka rysowały się bladymi bliznami na tle niebiesko-pomarańczowych płomieni i krwawego księżyca; zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

Wbiegłem na most i wszyscy bezpiecznie przedostaliśmy się na drugą stronę.

Na stację wędrowaliśmy całą noc i spory kawałek następnego dnia. Zawiadowca stwierdził, że to cud, iż uszliśmy cało z pożaru. Okolice Necuratulu spłonęły do cna. Nic nie zostało oprócz osmalonych kikutów drzew i popiołu. Jak na ironię, teren został tak bardzo zniszczony, że nie wiadomo było nawet, czy nada się pod budowę elektrowni.

Zawiadowca okrył nas kocami i zaparzył po kubku mocnej herbaty. W pewnym momencie matka Mariany zajrzała mi w oczy, zdjęła wisiorek chroniący przed złym urokiem i zawiesiła mi go na szyi. Odeszła, żeby zająć się dziećmi. Zawiadowca o nic nie pytał. Wręczył naszej trójce bilety i zapakował nas do najbliższego pociągu. Pozostali tkwili na rozklekotanym, drewnianym peronie i odprowadzali wzrokiem oddalający się pociąg, jakby chcieli się upewnić, że znikniemy.

Baz i Isabel dużo spali. Za każdym razem, kiedy zamykałem oczy, widziałem martwe twarze, gnijące ciało Mariany i górującą nad nami postać anioła bestii jak zapowiedź czegoś strasznego, co dopiero miało nadejść. Budziłem się z krzykiem. Poszedłem do wagonu restauracyjnego. Zamówiłem ciastko i czarną kawę, zająłem miejsce przy oknie i zapatrzyłem się w noc.

- Przecież ci mówiłam, że ciastka są stare.

Przy mnie usiadła pani Smith. Otworzyła torbę, wyjęła kawałek sera i zaproponowała, żebym się poczęstował. Pokręciłem głową.

- Teraz już widziałeś - powiedziała cicho. - Teraz już wiesz.

. - Tale? I co, do diabła, mam z tym zrobić?

- A jak sądzisz? Powstrzymać tych drani. Wlepiłem w nią wzrok.

- Ale jak?

- Nie da się pokonać całego zła naraz. To był tylko mały sprawdzian. Czekają cię znacznie poważniejsze, Poe Yamamoto.

Odwróciłem się.

- Ale ja nie chcę.

- A kto by chciał? - Zatrzasnęła torbę i wstała, t Nie zgub mojej wizytówki. Jest wytlaczana. A to kosztuje.

- Co się ma wydarzyć? - spytałem, ale ona już wychodziła z wagonu restauracyjnego, podśpiewując pod nosem piosenkę; przysiągłbym, że *Highzoay to Heli* AC/DC. Nie wiem, czy jeszcze to oglądasz, czy nie. Może przełączyłeś na coś innego - na filmik z kotem, który utknął na wentylatorze pod sufitem, albo na talk-show. Albo uważasz, że wszystko zmyśliłem i że w ciemnościach nie kryje się nic poza wytworami naszej żądnej emocji wyobraźni.

Ale jeśli mnie słuchasz, chcę ci na koniec powiedzieć jedno: w drodze powrotnej miałem sen. Byliśmy w nim ja, Baz i Isabel, a wszystko zasnuwała mgła. Nie widziałem, co jest przede mną, ale to coś widziało nas. Nagle zobaczyłem Johna. Zamiast oczu - czarne dziury. Poszarpana półokrągła rana na jego gardle uśmiechała się wściekle. Zęby ostre jak u bestii. - Jest tyle rzeczy po drugiej stronie - szepnął. -Wprost niewyobrażalnych. Tyle zła, któremu trzeba skopać tyłek, Poe. Nie masz pojęcia.

Nie żartowałem.

Postaram się prowadzić ten dziennik na bieżąco i ciągle go uaktualniać, żebyś wiedział to samo co ja. Ale teraz muszę już iść. Baz i Isabel nie będą przytrzymywać tych drzwi wiecznie, a jeśli nie możesz mi szybko przesłać esemesem czegoś o potężnych wilkołakach, trudno. Jakoś sobie poradzę.

Uważaj na siebie, dobra? Ufaj gadom, przyjacielu. Coś nadchodzi. Coś wielkiego. Już się zaczęło.

Przygotuj się.